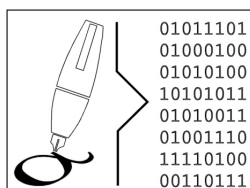


JULIUSZ VERNE
ANDRE LAURIE

ROZBITEK Z „CYNTHII”

(Przełożyła: ALEKSANDRA MAŃKA-CHMURA)



I. Przyjaciel pana Malariusza

Prawdopodobnie ani w Europie, ani nigdzie indziej nie ma uczonego, którego fizjonomia byłaby powszechniej znana niż oblicze doktora Schwaryencrony ze Sztokholmu. Wizerunek doktora, powielony przez kupców pod znakiem fabrycznym jego firmy na milionach zalakowanych na zielono butelek, dociera wraz z nimi do najdalszych zakątków kuli ziemskiej.

Gwoli prawdy wyznać należy, że butelki te zawierają jedynie tran dorszowy, lekarstwo godne szacunku, a nawet zbawienne, stanowiące dla mieszkańców Norwegii corocznie, w koronach o wartości jednego franka trzydziestu dziewięciu centymów, zyski siedmio- lub ośmiocyfrowe.

Niegdyś produkcja tranu była w rękach rybaków. Dziś ekstrakcji dokonuje się metodami naukowymi, a królem tego szczególnego przemysłu jest właśnie słynny doktor Schwaryencrona.

Nie ma takiej osoby, która by nie znała spiczastej bródki, pary okularów na haczykowatym nosie i czapki z futra wydry. Choć reprodukcja nie należy raczej do najbardziej wyszukanych, jej uderzające podobieństwo jest rzeczą pewną. Dowodem niech będzie to, co wydarzyło się pewnego dnia w szkole powszechnej w Nore na zachodnim wybrzeżu Norwegii, kilkanaście mil od Bergen.

Wybiła właśnie druga po południu. Uczniowie siedzieli w dużej, wysypanej piaskiem klasie, dziewczynki po lewej, chłopcy po prawej stronie, zajęci śledzeniem przeprowadzanego na tablicy przez nauczyciela, pana Malariusza, dowodu pewnego twierdzenia, gdy nagle otworzyły się drzwi, a na progu stanęła postać w płaszczu na futrze, futrzanych botkach, futrzanych rękawiczkach i w czapce z futra wydry.

Uczniowie natychmiast powstali z miejsc na znak szacunku, jak należy to czynić, gdy ktoś odwiedzający wchodzi do klasy. Żaden z nich nigdy przedtem nie widział przybysza. A jednak wszyscy zaczęli szeptać na jego widok:

„Pan doktor Schwaryencrona!”

Tak wielkie było podobieństwo portretu utrwalonego na butelkach doktora.

Należy tu dodać, że uczniowie pana Malariusza mieli niemal ciągle te butelki przed oczyma, jako że jedna z głównych fabryk doktora mieściła się właśnie w Nore. Niemniej prawdą jest także, iż od lat ów uczony mąż nie postawił nogi w tych stronach i żadne z dzieci nie mogło aż do tego dnia pochwalić się, że widziało go we własnej osobie.

W wyobraźni tak, ale to inna sprawa. Wiele mówiło się w Nore o doktorze Schwaryncronie podczas wieczornych pogwarek. I gdyby wierzyć ludowym przesądom, często musiałyby mieć czkawkę.

Tak czy inaczej, to rozpoznanie, równie jednogłośne co spontaniczne, stanowiło prawdziwy triumf nieznanego autora portretu, triumf, z którego ten skromny artysta miałby prawo być dumny, a którego niejeden modny fotograf mógłby mu pozazdrościć.

Ależ tak, to bez wątpienia spiczasta bródka, para okularów, haczykowany nos i czapka z futra wydry sławnego uczonego! Nie mogło być mowy o pomyłce. Wszyscy uczniowie pana Malariusza daliby sobie głowę uciąć.

Zdziwiło ich tylko, a nawet trochę rozczarowało, że doktor okazał się mężczyzną normalnego, średniego wzrostu, a nie kolosem, jakiego sobie wyobrażali. Jakże uczony równie znamienity mógł się zadowolić wzrostem pięciu stóp i trzech cali? Jego siwa głowa ledwie sięgała do ramienia pana Malariusza. A przecież lata przygarbiły już nauczyciela. Był jednak o wiele szczuplejszy od doktora, co sprawiało, że wydawał się dwukrotnie wyższy. Jego obszerna, rudawobrazowa opończa, której długie używanie nadało zielonkawych odcieni, powiewała na nim jak sztandar na drzewcu. Był w spodniach za kolana i zapinanych na klamry butach, a spod beretu z czarnego jedwabiu wymykały się kosmyki siwych włosów. Jego różowa, uśmiechnięta twarz tchnęła anielską łagodnością. Podobnie jak doktor nosił okulary, ale nie rzucał zza nich jak tamten przeszywających spojrzeń, przeciwnie, błękitnymi oczami przyglądał się wszystkiemu z nieprzebraną życzliwością.

Jak daleko pamięć uczniowska sięga, pan Malariusz nigdy nie ukarał żadnego ze swych podopiecznych. A jednak czuli przed nim respekt, bo go kochali. Wszyscy bowiem doskonale wiedzieli, że to człowiek wielkiego serca. Dla nikogo w Nore nie było tajemnicą, że w latach swej młodości zdał wspaniale jakieś egzaminy i że on także mógł zdobyć tytuły naukowe, zostać profesorem wielkiego uniwersytetu, dostąpić zaszczytów i dojść do majątku. Lecz miał siostrę, biedną Kristinę, ciągle chorą i cierpiącą, która za nic w świecie nie chciała opuścić swej wioski. Miasto budziło w niej trwogę i bała się, że tam właśnie umrze. Toteż Malariusz poświęcił się cicho dla niej i przyjął ciężką a skromną funkcję szkolnego nauczyciela. A kiedy po dwudziestu latach Kristina zgasła błogosławiąc go, Malariusz, przyzwyczajony do swego życia w cieniu i zapomnieniu, nawet nie pomyślał o rozpoczęciu innego. Pochłonięty własnymi badaniami, zapominając o tym, by je ujawnić światu, znajdował najwyższą przyjemność we wzorowym prowadzeniu

najlepszej szkoły w tych stronach, a nade wszystko w wychodzeniu poza zakres nauczania podstawowego i prowadzeniu lekcji na wyższym poziomie. Lubił rozwijać wiedzę swoich najlepszych uczniów, wprowadzać ich w tajniki nauk ścisłych, w świat literatur starożytnych i nowożytnych, w to wszystko, co zwykle jest udziałem bogaczy, ludzi zaможnych, nigdy zaś rybaków i wieśniaków.

„Dlaczego to, co jest dobre dla jednych, nie miaoby takim być dla innych? — mawiał. — Skoro i tak biedacy nie mają dostępu do wszystkich radości tego świata, dlaczego jeszcze odmawiać im tej jednej, płynącej ze znajomości Homera i Szekspira, z umiejętności nazwania gwiazdy, która ich prowadzi po oceanach, lub rośliny, po której stępują! Nim zniewoleni codziennym trudem zegną swój kark nad bruzdą ziemi, niech choć w dzieciństwie mają możliwość czerpania z tych czystych źródeł i uczestniczenia we wspólnym dziedzictwie wszystkich ludzi!”

W niejednym kraju system ten uznano by za nieostrożny, zdolny wzbudzić niechęć maluczkich do skromności ich doli i pchnąć ich do ryzykownych przedsięwzięć. Ale w Norwegii nikt ani myśli niepokoić się takimi sprawami. Patriarchalna łagodność usposobień, oddalenie od miast, nawyk pracy rozproszonej ludności zdają się z góry wykluczać wszelkie zagrożenia wynikające z tego typu doświadczeń. Toteż bywają one częstsze, niż można by sądzić i nigdzie nie są tak daleko posunięte jak w tamtejszych szkołach, i to zarówno w tych najbiedniejszych wiejskich, jak w miejskich gimnazjach. Dlatego Półwysep Skandynawski może poszczycić się tym, że w stosunku do liczby ludności, wydał więcej uczonych i znakomitości wszystkich dziedzin niż jakikolwiek inny region Europy. Podróżny jest tam ustawicznie zaskakiwany kontrastem między półdziką przyrodą a fabrykami i dziełami sztuki będącymi świadectwem nader wyrafinowanej cywilizacji.

Ale czas już chyba wrócić do doktora Schwaryencrony, którego zostawiliśmy na progu szkoły w Nore.

O ile uczniowie szybko gościa rozpoznali, choć nigdy przedtem go nie widzieli, o tyle ich nauczyciel miał z tym niejaki trudności, mimo iż znał go od dawna.

— Dzień dobry, mój drogi Malariusie! — wykrzyknął serdecznie gość, podchodząc z wyciągniętą ręką do nauczyciela.

— Witamy pana w naszych progach — odrzekł Malarius, nieco stropiony, nieśmiały jak wszyscy samotnicy, zaskoczony w trakcie przeprowadzanego wykładu. — Wybacz pan, jeśli spytam, z kim mam przyjemność?...

— Cóż to? Czyżbym tak bardzo się zmienił od czasu, jak w Christianii biegaliśmy razem po śniegu i palili takie długie fajki? Czy to możliwe, żebyś zapomniał pensjonat pani Krauss i swego kolegę i przyjaciela?

— Schwaryencrona! — wykrzyknął Malarius. — Czy to możliwe? To naprawdę ty? ... Czy to pan, panie doktorze?

— Och, proszę cię, daj spokój ceremoniom! Czyż nie jestem twoim starym Roffem, jak ty zawsze dla mnie zacnym Olafem, najlepszym przyjacielem z lat młodości? Tak, tak, wiem, czas leci i trochę zmieniliśmy się obaj przez te trzydzieści lat! ... Ale serce zostało młode, czyż nie tak? I jest w nim zawsze mały kącik dla tych, których pokochaliśmy, wiodąc wspólnie skromny, acz nie pozbawiony uroków żywot dwudziestolatków?

I doktor śmiał się, ścisnął obie ręce Malariususa, ten zaś miał oczy pełne łez.

— Mój drogi przyjaciel, mój dobry, wspaniały doktor! — powtarzał. — Nie zostaniemy tutaj. Zaraz zwolnię tych wszystkich opryszków, którzy pewnie się tym nie zmartwią i pójdziemy do mnie...

— Nie ma mowy! — oświadczył doktor, odwracając się w stronę uczniów śledzących z żywym zainteresowaniem szczegóły tej sceny. — Nie mogę ani przeszkadzać tobie w pracy, ani zakłócać nauki tej wspaniałej młodzieży. Jeśli chcesz sprawić mi przyjemność, to pozwól usiąść tutaj, obok ciebie i podejmij przerwana lekcję...

— Chętnie — odparł Malarius — tylko, prawdę mówiąc, nie miałbym teraz serca do geometrii, a poza tym, skoro już wspomniałem dzieciakom o zwolnieniu ich do domu, nie mogę tak cofnąć słowa... Jest jednak sposób, aby wszystko pogodzić: pan doktor Schwaryencrona zechce uczynić zaszczyt moim uczniom i przepyta ich z tego, czego się nauczyli, a potem pozwoli im wyfrunąć...

— Doskonały pomysł! Załatwione! Zostałem więc wizytatorem.

Po tych słowach doktor zasiadł na miejscu nauczyciela i zwracając się do całej klasy, zapytał:

— Kto jest najlepszym uczniem?

— Erik Hersebom! — odpowiedziała bez wahania pięćdziesiątka dziecięcych głosów.

— Erik Hersebom?... A więc, Eriku, czy zechciałbyś podejść tutaj?

Dwunastoletni chłopiec wyszedł z pierwszej ławy i zbliżył się do katedry. Było to dziecko niezwykle poważne, o zamyślnym wyrazie twarzy, dużych oczach i głębokim spojrzeniu. Erik chyba wszędzie zostałby zauważony, a tym bardziej tu, wśród otaczających go jasnowłosych głów. Bo też wszystkie dzieciaki obojga płci miały włosy koloru lnu, różową karnację, zielone lub niebieskie oczy, jego zaś włosy, podobnie jak i oczy, były ciemnokasztanowe, a cera śniada. Nie miał wystających kości policzkowych, krótkiego nosa i krępej budowy dzieci skandynawskich. Jednym słowem, fizycznie różnił się od tej oryginalnej i jakże specyficznej rasy, do której należeli jego koledzy ze szkoły.

Nosił jak oni ubranko z grubego sukna na modłę wieśniaków z okolic Bergen, ale subtelna, mała głowa osadzona na smukłej, delikatnej szyi, naturalny wdzięk jego ruchów i postawy — wszystko w nim zdawało się wskazywać na obce pochodzenie. Każdego fizjonomistę podobnie jak doktora Schwaryencronę uderzyłaby natychmiast ta odrębność.

Na razie jednak doktor nie miał żadnego powodu, aby się nad tym dłużej zastanawiać. Toteż po prostu zabrał się do przepytywania.

— Od czego zaczniemy? Od gramatyki? — zapytał chłopca.

— Jak pan doktor każe — odpowiedział skromnie Erik.

Doktor zadał mu dwa bardzo proste pytania, lecz zdumiały go odpowiedzi dotyczące nie tylko języka szwedzkiego, ale także francuskiego i angielskiego. Był to zwyczaj wprowadzony przez pana Malariususa. Uważał on bowiem, że równie łatwo jest nauczyć się trzech języków naraz, jak jednego.

— Uczysz ich więc francuskiego i angielskiego? — zwrócił się doktor do swego przyjaciela.

— A dlaczego nie, i to z elementami greki i łaciny? ... Nie sądzę, by im to zaszkodziło.

— Ja też nie! — roześmiał się doktor.

Po czym otwarł na chybił trafił tom Cycerona, z którego Erik Hersebom zgrabnie przetłumaczył kilka zdań.

We fragmencie tym była mowa o cykucie wypitej przez Sokratesa. Malarius poprosił doktora, aby ten kazał sobie powiedzieć, do jakiej rodziny należy ta roślina. Erik oznajmił bez wahania, że jest to trująca bylina z rodziny baldaszkowatych i określił wszystkie jej cechy gatunkowe.

Od botaniki przeszli do geometrii. Posługując się fachową terminologią, Erik przeprowadził dowód twierdzenia o sumie kątów trójkąta.

Doktor nie mógł wyjść z podziwu.

— Pomówmy trochę o geografii — podjął. — Jakie morze oblewa od północy Skandynawię, Rosję i Syberię?

— Ocean Lodowaty Północny, zwany inaczej Morzem Arktycznym.

— A z jakimi morzami łączy się ten ocean?

— Z Atlantykiem na zachodzie i z Pacyfikiem na wschodzie.

— Czy mógłbyś mi wymienić dwa, trzy ważne porty na Pacyfiku?

— Jokohama w Japonii, Melbourne w Australii, San Francisco w stanie Kalifornia.

— A zatem, skoro Ocean Lodowaty łączy się z jednej strony z Atlantykiem, oblewającym nasze wybrzeża, a z drugiej z Pacyfikiem, to czy nie sądzisz, że najkrótszą drogą do Jokohamy czy do San Francisco byłoby właśnie to arktyczne morze?

— Oczywiście, panie doktorze — odparł Erik — byłaby to najkrótsza droga, gdyby można z niej korzystać. Ale dotąd wszystkich żeglarzy próbujących tamtędy płynąć zatrzymywały lody i musieli rezygnować z przedsięwzięcia, o ile wcześniej nie dosięgła ich śmierć.

— Mówisz, że często próbowano znaleźć Przejście Północno-Wschodnie?

— Blisko pięćdziesiąt razy w ciągu trzech wieków i ciągle na próżno.

— Czy mógłbyś wymienić kilka z tych ekspedycji?

— Pierwsza została zorganizowana pod kierunkiem Franciszka Sebastiana Cabota w roku tysiąc pięćset dwudziestym trzecim. Jej trzema statkami dowodził nieszczęsny sir Hugh Willoughby, który zginął w Laponii wraz z całą załogą. Jeden z jego poruczników, Chancellor, miał początkowo więcej szczęścia i udało mu się utorować sobie bezpośrednią drogę od kanału La Manche do Rosji przez morza arktyczne. Ale i jemu przyszło zginąć podczas kolejnej próby. Kapitan Stephen Borough, wysłany na jego poszukiwanie, zdołał przebyć cieśninę oddzielającą Nową Ziemię od wyspy Wajgacz i przedostać się na Morze Karskie, ale góry lodowe i gęste mgły nie pozwoliły mu posunąć się dalej... Dwie wyprawy podjęte w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym są równie bezowocne. Nie odstąpiono jednak od zamiaru znalezienia Przejścia Północno-Wschodniego i w piętnaście lat później Holendrzy wyprawiają w tym celu trzy kolejne ekspedycje pod dowództwem Barentsa. W roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym szóstym Barents ginie w lodach Nowej Ziemi... Dziesięć lat później podobnie nie wiedzie się w czasie trzech kolejnych wypraw Henry'emu Hudsonowi, wysłanemu przez holenderską Kompanię Indyjską... Duńczycy w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym trzecim nie mają więcej szczęścia... W tysiąc sześćset siedemdziesiątym szóstym ponosi także klęskę kapitan John Wood i od tamtej pory przedsięwzięcie zostało uznane za niewykonalne i zarzucone przez wszystkie potęgi morskie.

— I nigdy nie zostało już podjęte?

— Owszem, przez Rosję, która jest ogromnie zainteresowana, jak zresztą wszystkie narody północy, w znalezieniu bezpośredniej drogi morskiej między swymi wybrzeżami a Syberią. W przeciągu jednego tylko wieku Rosja wysłała kolejno przynajmniej osiemnaście ekspedycji w celu zbadania Nowej Ziemi, Morza Karskiego, wschodnich i zachodnich wybrzeży Syberii. Ale choć wyprawy te przyczyniły się do lepszego poznania tamtych okolic, potwierdziły jednak, że niepodobna utorować stałego przejścia przez wielkie Morze Arktyczne. Akademię von Baer, który po admirałach Litke i Pachтусowie, jako ostatni spróbował szczęścia w roku tysiąc osiemset trzydziestym siódmym, twierdzi, że ocean ten jest niczym innym jak „zwykłą lodownią”, równie dla statków nieprzebyta jak stały ląd.

— Trzeba więc nieodwołalnie zrezygnować z Przejścia Północno-Wschodniego?

— Taki przynajmniej można by wysnuć wniosek z tych tak licznych i zawsze bezowocnych usiłowań. Mówi się jednak, że nasz wielki podróżnik Nordenskjöld myśli o ponowieniu próby, przygotowawszy się do niej wcześniejszymi wyprawami na morza arktyczne. Jeśli to prawda, to znaczy, że uważa on zadanie za wykonalne, a jest wystarczająco doświadczony, aby opinię jego potraktować poważnie.

Doktor Schwaryencrona należał akurat do gorących wielbicieli Nordenskjölda i dlatego sprowadził rozmowę na temat Przejścia Północno-Wschodniego. Precyzja otrzy-

many odpowiedzi zachwycała go.

Z wyrazem najwyższego zainteresowania wpatrywał się w Erika Herseboma.

— Gdzie nauczyłeś się tych wszystkich rzeczy, moje dziecko? — zapytał wreszcie po dość długiej chwili milczenia.

— Tutaj, panie doktorze — odrzekł Erik, zdziwiony pytaniem.

— Nigdy nie chodziłeś do innej szkoły?

— Z całą pewnością nie.

— Pan Malarius może być z ciebie dumny! — oświadczył doktor, odwracając się ku nauczycielowi.

— Jestem bardzo zadowolony z Erika — rzekł Malarius.

— Blisko osiem lat jest moim uczniem, bo przysłano go do mnie, kiedy był jeszcze zupełnie mały, i zawsze przodował w swojej klasie.

Doktor na nowo pogрузił się w milczeniu. Przenikliwym wzrokiem przypatrywał się Erikowi ze szczególnym natężeniem. Wydawało się, że próbuje rozwiązać problem, którego nie uznał za stosowne głośno wyrazić.

— Nie można lepiej odpowiedzieć na moje pytania, uważam więc za zbędne kontynuowanie tego egzaminu! — powiedział na koniec. — Nie będę was dłużej zatrzymywał, moje dzieci, i zgodnie z wolą pana Malariusza, kończymy na dzisiaj.

Po tych słowach nauczyciel klasnął w dłonie. Wszyscy uczniowie jednocześnie wstali, zebrali swoje książki i ustawili się w czterech rzędach przed ławkami.

Pan Malarius klasnął po raz drugi. Kolumna ruszyła i wymaszerowała, wybijając krok z istic wojskową precyzją.

Na trzeci sygnał uczniowie, łamiąc szeregi, popędzili z wesołymi okrzykami i w kilka sekund rozproszyli się wokół niebieskich wód fiordu, w których przegładają się kryte darnią dachy Nore.

II. Z wizytą u rybaka

Dom maaster Herseboma, jak wszystkie domy w Nore, jest kryty darnią i zbudowany z olbrzymich pni jodłowych według starego planu skandynawskiego: dwa duże pomieszczenia rozdzielone biegnącą środkiem sienią, prowadzącą do szopy, gdzie przechowuje się łodzie, sprzęt do połowu ryb oraz stosy małych dorszy z łowisk norweskich i islandzkich, po wysuszeniu i zwinięciu dostarczanych na rynek pod nazwą „sztokfisz” i „rondfisz”.

Każde z dwu pomieszczeń służy jednocześnie za izbę dzienną i sypialnię. Pościel, składającą się z materacy i skór zwierzęcych, przechowuje się w swego rodzaju szufladach zainstalowanych w drewnianych ścianach i wyciąga tylko na noc. Takie rozwiązanie w połączeniu z jasnym kolorem ścian i wesołością wysokiego, umieszczonego w rogu izby kominka, w którym zawsze buzuje ogień, powoduje, że nawet najuboższe domostwa sprawiają wrażenie schludności i wygody, obce wieśniakom Europy Południowej.

Tego wieczoru cała rodzina zgromadziła się wokół paleniska, gdzie gotowała się powoli w ogromnym garze potrawa z wędzonego śledzia, łososia i ziemniaków. Maaster Herseboom, siedząc na wysokim zydlu, wiązał sieci, jak zawsze, gdy nie był na morzu lub w suszarni. Był to twardy marynarz w sile wieku, choć już siwiejący, o cerze ogorzałej od polarnych wiatrów. Jego syn Otto, wyrosnięty czternastolatek, podobny do ojca pod każdym względem, o wyglądzie wskazującym, iż on także zostanie wytrawnym rybakim, siedział pochłonięty na razie przeniknięciem tajemnicy reguły trzech i swym wielkim łapskiem, najwyraźniej znającym się lepiej na władaniu wiosłem, zapisywał cyframi małą tabliczkę. Pochylony nad stołem jadalnym Erik pogrążony był w lekturze grubej książki historycznej, pożyczonej mu przez pana Malariusza. Obok niego Katrina Herseboom, zacna pani domu, przędła spokojnie na kołowrotku, a mała Vanda, dziesięcio- czy też dwunastoletnia blondyneczka, siedząc na taborecie, robiła z zapalem na drutach grubą pończochę z czerwonej wełny. U jej stóp drzemał zwinięty w kłębek wielki pies o żółtawej, gęstej jak owcze runo sierści.

Co najmniej od godziny panowała niczym nie zmacona cisza, a miedziana lampa o czterech płomieniach, zasilana tranem, rzucała łagodne światło na wszystkie szczegóły tego spokojnego wnętrza.

Prawdę mówiąc, cisza ta wydawała się ciążyć pani Katrinie, która od jakiegoś czasu manifestowała na różne sposoby potrzebę puszczenia języka w ruch. Wreszcie nie wytrzymała.

— No, dość pracy na dzisiaj — powiedziała. — Czas nakryć do stołu i zjeść kolację.

Bez słowa sprzeciwu Erik zabrał swoją księgę i przeniósł się bliżej kominka, natomiast Vanda, odłożywszy robótkę, podeszła do kredensu i zajęła się wyciąganiem talerzy i łyżek.

— Mówiłeś, Otto — podjęła przedęc Katrina — że nasz Erik dobrze odpowiadał na pytania pana doktora?

— Dobrze odpowiadał? — wykrzyknął Otto z entuzjazmem. — Mówił jak z książki, taka jest prawda! Nie wiem, skąd on to wszystko wiedział... Im więcej doktor pytał, tym więcej on miał do powiedzenia, a słowa płynęły, płynęły... A jaki zadowolony był pan Malarius!

— Ja też byłam zadowolona — odezwała się poważnym tonem Vanda.

— No pewnie, wszyscy byliśmy zadowoleni! Gdybyś widziała, mamo, jak cała klasa słuchała z otwartymi ustami! Baliśmy się tylko jednego: że i na nas może przyjść kolej! Ale on się wcale nie bał i tak odpowiadał doktorowi, jakby to był nasz nauczyciel.

— Też coś! Uważam, że pan Malarius w niczym nie ustępuje doktorowi i jest uczony jak nie byle kto! — rzekł Erik, którego te wypowiedzane bez ogródek pochwały zdawały się wprawiać w zakłopotanie.

Stary rybak uśmiechnął się z aprobatą.

— Masz rację, mały — powiedział, nie przerywając pracy swych stwardniałych rąk. — Pan Malarius, gdyby chciał, pokazałby tym wszystkim miastowym doktorom! I on przynajmniej nie wykorzystuje nauki do rujnowania biednych ludzi!

— Czyżby doktor Schwaryencrona doprowadził kogoś do ruiny? — zainteresował się Erik.

— Hm... hm! Jeśli tego nie zrobił, nie jego to zasługa!... Czy sądzicie, że przyglądałem się z przyjemnością wznoszeniu tej fabryki, która kopci tam wysoko, na brzegu fiordu? Niech wam matka powie, jak niegdyś sami zbieraliśmy nasz tran i sprzedawaliśmy go bardzo dobrze w Bergen, za sto pięćdziesiąt do dwustu koron rocznie!... Ale skończyło się! Dziś nikt już nie chce ciemnego tranu albo dają za niego tak mało, że nie opłaci się nawet jechać. Trzeba się zadowolić sprzedażą wątroby fabryce, a Bóg jeden wie, jak zarządca potrafi się urządzać, żeby ją tanio kupić! Ledwie udaje mi się wyciągnąć z tego czterdzieści pięć koron, a zadaję sobie trzy razy więcej trudu niż dawniej! No więc?... Powiadam, że to nie jest sprawiedliwe i że doktor lepiej by zrobił, gdyby leczył swoich

chorych w Sztokholmie, zamiast przyjeżdżać tutaj, żeby wyręczać nas w pracy i odbierać nam źródło utrzymania!

Po tych gorzkich słowach zaległa cisza. Przez kilka chwil słychać było tylko pobrękiwanie przesuwanych przez Vandę talerzy, podczas gdy jej matka wykladała zawartość garnka na olbrzymi półmisek z polewanej gliny.

Erik zastanawiał się głęboko nad tym, co przed chwilą powiedział maaster Hersebom. Różne wątpliwości cisnęły mu się do głowy, a ponieważ był uosobieniem prostoduszności, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia ich na głos.

— Wydaje mi się, ojczecze, że masz rację, żałując dawnego zysku — rzekł — ale nie jest chyba całkiem słuszne oskarżanie doktora Schwaryencrony o pomniejszenie go! Czy jego tran nie jest lepszy od tranu domowej produkcji?

— Hmm... hmm... Jest jaśniejszy, to wszystko!... Mówią też, że nie czuć go tak żywica jak nasz... I pewnie dlatego wolą go te wszystkie miastowe paniusie! Ale niech mnie diabli porwą, jeśli on lepiej działa na płuca chorych niż nasz stary, dobry tran!

— Ale w końcu, z takiego czy innego powodu, ten właśnie wolą. A skoro jest to lekarstwo tak zbawienne, to najważniejsze, żeby ludzie zażywając je, odczuwali możliwie jak najmniejszy wstręt. Wobec tego, jeśli lekarz znajduje sposób na zmniejszenie tego wstrętu poprzez zmianę metody wytwarzania leku, to czyż nie jest jego obowiązkiem zastosowanie swego odkrycia?

Maaster Hersebom podrapał się w ucho.

— No tak — przyznał niechętnie — może to i jest jego lekarski obowiązek... Ale to nie powód, żeby uniemożliwiać biednym rybakom zarabianie na życie...

— Zdaje się, że fabryka doktora zatrudnia trzystu rybaków, a w czasach, o których mówisz, ojczecze, nie było ich w Nore nawet dwudziestu — zaoponował nieśmiało Erik.

— Ano właśnie! I dlatego zawód ten zszedł na psy! — wykrzyknął Hersebom.

— Kolacja na stole, siadajcie! — przerwała pani Katrina widząc, że dyskusja rozgorzała bardziej, niżby tego chciała.

Erik rozumiejąc, że dalsze upieranie się przy swoim byłoby nie na miejscu, zrezygnował z odpowiedzi i zajął swoje zwykłe miejsce obok Vandy.

— Doktor i pan Malarius są ze sobą na ty, czyżby więc byli przyjaciółmi z dzieciństwa? — zapytał, aby zmienić temat rozmowy.

— Naturalnie! — odrzekł rybak zasiadając do stołu. — Obaj urodzili się w Nore i pamiętam jeszcze czasy, kiedy grali w piłkę na szkolnym boisku, chociaż są starsi ode mnie o jakieś dziesięć lat. Pan Malarius był synem ówczesnego lekarza, a doktor synem zwykłego rybaka. Ale od tamtych czasów przeszedł długą drogę! Powiadają, że jest milionerem i mieszka w Sztokholmie w prawdziwym pałacu!... O, tak, wykształcenie to wspinała rzecz!

Po wygłoszeniu tej sentencji miał właśnie zanurzyć łyżkę w dymiącym daniu z ryb

i ziemniaków, kiedy pukanie do drzwi zatrzymało gest w pół drogi.

— Czy można wejść, mistrzu Hersebom? — dobiegł z sieni mocny, dźwięczny głos.

Po czym, nie czekając na pozwolenie, wszedł do izby wraz z silnym podmuchem mroźnego powietrza ten, o którym dopiero co mówiono.

— Pan doktor Schwaryencrona! — wykrzyknęła trójka dzieci, a rodzice skwapliwie podnieśli się z miejsc.

— Drogi Hersebom — rzekł uczony, ściskając dłoń rybaka. — Nie widzieliśmy się wiele lat, ale zachowałem wspomnienie o pańskim wspomniałym ojcu i pomyślałem, że mogę zejść do was jako stary przyjaciel z dzieciństwa!

Zacny Hersebom, niewątpliwie zażenowany nieco z powodu oskarżeń kierowanych przed chwilą pod adresem gościa, nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć na te słowa. Poprzestał więc na odwzajemnieniu uścisku ręki doktora z uśmiechem serdecznego powitania na ustach, podczas gdy jego żona zajęła się najpilniejszą sprawą:

— Szybko, Otto, Erik, pomóżcie panu doktorowi zdjąć pelisę, a ty, Vanda, przynieś jeszcze jedno nakrycie! — zarządziła, gościnna jak wszystkie norweskie gospodynie.

— Pan doktor zrobi nam ten zaszczyt i zje z nami odrobinę?

— Słowo daję, nie odmówiłbym, proszę mi wierzyć, gdybym choć trochę był głodny, bo to danie z łososia jest wielce kuszące! Ale nie minęła nawet godzina, jak jadłem kolację z moim przyjacielem Malariusem, i doprawdy nie przyszedłbym tak wcześnie, gdybym wiedział, że zastanę was jeszcze przy stole! Jeśli chcą mi państwo sprawić przyjemność, proszę wrócić na swoje miejsca i zachowywać się tak, jakby mnie tu nie było.

— Och, panie doktorze — nie ustępowała gospodyni — przyjmie pan choć kilka „snorgas” i filiżankę herbaty?

— Zgoda na filiżankę herbaty, ale pod jednym warunkiem: najpierw zje pani kolację — rzekł doktor, sadowiąc się w dużym fotelu, który już na niego czekał.

Vanda zaraz postawiła dyskretnie imbryk na ogniu i znikła jak sylf w sąsiedniej izbie, reszta rodziny zaś, rozumiejąc z wrodzoną sobie uprzejmością, że naleganie sprawiłoby gościowi przykrość, powróciła do posiłku.

Doktor szybko się rozgościł. Przegarniając pogrzebaczem ogień w kominku i grzejąc sobie nogi nad płomieniem podsyconym suchym drewnem, którego Katrina dorzuciła, zanim usiadła ponownie do stołu, rozprawiał o dawnych czasach, o starych znajomych, co odeszli już z tego świata i o tych, co zostali, o zmianach, jakie nastąpiły w kraju i w samym Bergen. Czuł się całkiem jak u siebie i co bardziej godne uwagi, udało mu się już wprowadzić na nowo Herseboma w dobry nastrój, kiedy Vanda wróciła z drewnianą tacą pełną spodeczków i podała ją tak wdzięcznie, że nie sposób było się oprzeć.

Przyniosła słynne „snorgas” norweskie — kawałki wędzonej polędwicy z renifera, filety śledziowe z czerwonym pieprzem, cienkie kromeczki razowca, słony ser i inne pikantne dodatki. Jada się je o każdej porze dla pobudzenia apetytu.

Tym razem spełniły one swoje zadanie do tego stopnia, że doktor, skosztowawszy ich przez grzeczność, wkrótce spałaszował jeszcze konfitury z jeżyn, dumę pani Katriny, i zdjęło go takie pragnienie, że nie jedna, lecz siedem czy osiem filiżanek gorzkiej herbaty z trudem je ugasiło.

Wtedy maaster Hersebom postawił dzban doskonałej jałowcówki zwanej „schiedam”, którą dostał od holenderskiego kupca. Następnie, po skończonej kolacji, doktor przyjął z rąk gospodarza wielką fajkę, nabił ją i wypalił ku ogólnemu zadowoleniu.

Nie trzeba chyba mówić, że na tym etapie wszystkie lody już dawno zostały przełamane i czuli się ze sobą tak, jakby doktor zawsze należał do rodziny. Śmiali się, gwarzyli w najlepszej komitywie, kiedy na starym zegarze z politurowanego drewna wybiła godzina dziesiąta.

— No cóż, mili przyjaciele, zrobiło się już późno — rzekł wtedy doktor. — Gdybyście zechcieli odesłać teraz dzieci do łóżek, porozmawialibyśmy o poważnych sprawach.

Na znak Katriny zaraz Otto, Erik, Vanda powiedzieli wszystkim dobranoc i wyszli.

— Pewnie zastanawiacie się, dlaczego przyszedłem? — podjął doktor po chwili milczenia, utkwivszy swój przenikliwy wzrok w Hersebomie.

— Gość w dom, Bóg w dom — odparł sentencjonalnie rybak.

— Tak, tak, wiem, że gościnność nie zaginęła w Nore. Ale zapewne musieliście sobie w końcu powiedzieć, że nie bez powodu opuściłem tego wieczoru towarzystwo mojego starego przyjaciela Malariusza i przyszedłem do was! Założę się, że pani Hersebom żywi pewne podejrzenia co do tej przyczyny.

— Poznamy ją, jeśli nam ją pan przedstawi — odpowiedziała dyplomatycznie kobieta.

— No cóż! — westchnął doktor. — Skoro nie chcecie mi pomóc, muszę sam przejść do rzeczy!... Wasz syn jest dzieckiem wybitnym, maaster Hersebom.

— Nie skarżę się na niego — odpowiedział rybak.

— Jak na swój wiek, jest wyjątkowo inteligentny i wykształcony — kontynuował doktor. — Przepytywałem go dzisiaj w szkole i byłem mocno zaskoczony rzadko spotykanym darem pracowitości i refleksji, który ten egzamin mi w nim ujawnił... Zaskoczyło mnie także, gdy poznałem jego nazwisko, jak mało jest do was podobny i jak różni się od dzieci tego kraju!

Rybak i jego żona siedzieli bez ruchu i w milczeniu.

— Krótko mówiąc — podjął uczony z pewnym zniecierpliwieniem — to dziecko nie tylko mnie interesuje, ale wręcz intryguje. Rozmawiałem o nim z Malariuszem, dowiedziałem się, że nie jest waszym synem, że jakaś katastrofa na morzu rzuciła go na nasze wybrzeża, że wy przygarnęliście go, wychowali i zaadoptowali, dając mu nawet wasze nazwisko. To wszystko prawda, tak?

— Tak, panie doktorze — odparł z powagą Hersebom.

— Jeśli nawet nie jest synem z krwi naszej, jest nim w naszych sercach i uczuciach! — wykrzyknęła Katrina drżącymi ustami i ze łzami w oczach. — Nie robimy żadnej różnicy między nim a naszym Ottonem czy Wandą. Nigdy nawet przez myśl nam nie przeszło, że mogłaby istnieć jakakolwiek!

— Uczucia te — przynoszą zaszczyt wam obojgu — rzekł doktor, wzruszony wzburzeniem pocziwej kobiety. — Ale proszę was, moi drodzy, opowiedzcie mi całą historię chłopca. Przyszedłem po to, żeby ją poznać, i chcę tylko jego dobra, zapewniam was!

Rybak jakby wahał się przez chwilę, drapiąc się w ucho. Widząc jednak, że doktor czeka cierpliwie na opowieść, zdecydował się w końcu przemówić.

— Sprawy mają się tak, jak je panu przedstawiono. Chłopiec nie jest naszym synem — powiedział z nutką żalu w głosie. — Wkrótce minie dwanaście lat od dnia, gdy popłynąłem łowić ryby z drugiej strony tej wysepki, która zasłania wejście do fiordu od strony otwartego morza. Wie pan, że spoczywa ona na piaszczystej ławicy i że dorsza tam pod dostatkiem... Po całkiem niezłym dniu wyciągałem już ostatnie wędkę i miałem właśnie postawić żagiel, kiedy nagle w blasku zachodzącego słońca dostrzegłem na wodzie, o jakąś milę ode mnie, coś białego, co przyciągnęło moją uwagę. Morze było spokojne i nic nie przynaglało mnie do powrotu. Zamiast wziąć kurs na Noro, powodowany ciekawością skierowałem łódź ku tej białej rzeczy, aby zobaczyć, co to takiego. Po dziesięciu minutach byłem na miejscu. Przedmiot, który tak płynął niesiony przyplwem w stronę brzegu, był małą wiklinową kołyską, obciążoną muslinem i mocno przywiązaną do koła ratunkowego. Pewnie pan się domyśla, jakich doznawałem emocji, zbliżając się do niej na wyciągnięcie ręki. Złapałem koło, wyciągnąłem je z wody i wtedy ujrzałem w kołysce biednego, siedmio-, może ośmiomiesięcznego niemowlaka, śpiącego spokojnie z zaciśniętymi piąstkami! Był trochę bledziutki i zziębnięty, ale wydawało się, że niewiele ucierpiał wskutek swojej niebezpiecznej podróży, bo jak tylko przestał odczuwać kołysanie fali, obudził się i zaczął wrzeszczeć wniebogłosy. Mieliśmy już wtedy naszego Ottona, wiedziałem więc, jak się postępuje z takimi brzdącami. Spiesznie zrobiłem kukielkę z kawałka szmatki, zamoczyłem ją w odrobinie brandevinu rozcieńczonego wodą i dałem mu do ssania. Uspokoił się natychmiast i zdawało się, że z prawdziwą przyjemnością przyjmuje ten kordiał. Ale przeszło mi przez myśl, że długo się tym nie zadowoli. Trzeba było jak najprędzej wrócić do Nore. Naturalnie odwiązałem kołyskę i umieściłem ją na dnie łodzi. Ustawiając żagiel do wiatru, spoglądałem na biedną małą istotkę i zadawałem sobie pytanie, skąd się tu mogła wziąć. Niewątpliwie z jakiegoś zatopionego statku! Morze było bardzo wzburzone tej nocy, wiał huraganowy wiatr i pewnie można by naliczyć całe tuziny nieszczęść. Jakim więc zbiegiem okoliczności dziecko to uniknęło losu tych, którzy się nim zajmowali? Jak to się stało, że ktoś wpadł na pomysł przywiązania go do koła? Od ilu już godzin unosiło się tak na falach? Co się stało z jego ojcem, z jego matką, z kochającymi go ludźmi? Tyle

pytań, a wszystkie miały na zawsze pozostać bez odpowiedzi, bo trudno było jej oczekiwać od nieszczęsnego niemowlęcia. Krótko mówiąc, pół godziny później byłem już w domu i powierzyłem znajdką Katrinie. Mieliśmy wtedy krowę, wnet stała się ona jego karmicielką. Był taki milutki, taki uśmiechnięty, taki różowiuutki, kiedy się już porządnie opił mleka i ogrzał w ciepłe ognia, że słowo daję, natychmiast pokochaliśmy go, jakby był nasz!... A potem, no cóż... zatrzymaliśmy go, wychowali, i nigdy nie robiliśmy różnicy między nim i naszą dwójką... Czyż nie tak, żono? — dorzucił maaster Hersebom, odwracając się do niej.

— Oczywiście! Biedny mały! — poparła go gospodyni, ocierając załzawione przez te wspomnienia oczy. — I to jest nasze dziecko, także i dlatego, żeśmy je adoptowali!... Nie wiem, dlaczego pan Malarius miałby utrzymywać coś przeciwnego!

I dzielna kobieta, szczerze oburzona, ze zdwojoną energią zabrała się na nowo do kręcenia kołowrotkiem.

— Słusznie! — rzekł z naciskiem Hersebom. — Czy to powinno kogokolwiek poza nami obchodzić?

— Macie rację — odparł doktor pojednawczym tonem — ale nie oskarżajcie Malariususa o niedyskrecję. To ja, uderzony fizjonomią chłopca, poprosiłem poufnie nauczyciela, aby opowiedział mi jego historię. Malarius nie omieszkał mnie uświadomić, że Erik uważa się za waszego syna i że wszyscy ludzie w Nore zapomnieli już, w jaki sposób nim został. Jak sami widzieliście, postarałem się nie poruszać tej sprawy w obecności chłopca i najpierw odesłałem go wraz z bratem i siostrą do łóżka... A więc, mówicie, mógł mieć siedem do ośmiu miesięcy, kiedy go przygarnęliście?

— Mniej więcej. Miał już cztery zęby, urwis, i zapewniam pana, niedługo zwlekał ze zrobieniem z nich użytku! — śmiał się Hersebom.

— Och, to było zachwycające dziecko! — podjęła z ożywieniem Katrina. — Taki białutki, jędrny, krępy!... A rączki, a nóżki!... Tego się nie da opowiedzieć!...

— A jak był ubrany? — zapytał doktor Schwaryencrona.

Hersebom nic nie odpowiedział, ale jego żona okazała mniej powściągliwości.

— Jak książętko! — wykrzyknęła. — Niech pan sobie wyobrazi, panie doktorze: sukieneczka z piki cała przybrana koronkami, podszyta atłasem pelisa, jakiej nie powstydziliby się królewski syn, plisowany czepeczek, pelerynka z białego aksamitu! Wszystko co najpiękniejsze! Zresztą może pan sam ocenić, bo przechowałam je nietknięte. Domyśla się pan, że nie zabawialiśmy się strojeniem dzieciaka w te fatałaszk! Ubierałam go po prostu w sukienki Ottona, które zachowałam i które później posłużyły Vandzie. Ale jego wyprawka jest tutaj, pokażę ją panu.

Z tymi słowy uklękła przed wielkim dębowym kufrem ze staromodnym zamkiem, podniosła wieko i jęła przetrząsać jedną z jego przegródek. Wyciągała z niej kolejno wszystkie zapowiedziane ubranka i rozkładała je z dumą przed oczyma doktora. Wyję-

ła też niezwykle delikatne pieluszki, wspaniały śliniaczek zdobny koronkami, małą jedwabną kapę i białe wełniane pantofelki. Jeden rzut oka wystarczył, by doktor zauważył, że wszystkie te rzeczy nosiły starannie wyhaftowany, elegancki monogram, utworzony z liter E. D.

— E. D. ...To dlatego daliście dziecku na imię Erik? — zapytał.

— Właśnie! — odpowiedziała Katrina, którą ta wystawa wyraźnie napawała radością, podczas gdy twarz jej męża wydawała się posępnieć z każdą chwilą. — A oto najpiękniejsza rzecz... miał to na szyi... — dorzuciła, wyciągając ze skrytki grzechotkę ze złota i różowego koralu, zawieszoną na cieniutkim łańcuszku.

Widniały na niej te same inicjały E. D. otoczone łacińską dewizą: *Semper idem*.

— Początkowo myśleliśmy, że to imię i nazwisko dziecka — podjęła, widząc, iż doktor odcyfrowuje tę dewizę — ale pan Malarius powiedział nam, że to znaczy: „Zawsze ten sam”.

— Malarius powiedział wam prawdę — odpowiedział doktor na to, co oczywiście było pośrednim pytaniem. — Dziecko musiało należeć do bogatej i dystygowanej rodziny — dodał patrząc, jak Katrina wkłada wyprawkę z powrotem do kufra. — Nie domyślcie się, z jakiego kraju mógłby pochodzić?

— A skąd niby mielibyśmy wiedzieć? — odezwał się Hersebom. — Przecież znalazłem go na morzu!

— Zgoda, ale sam pan powiedział, że kołyska była przywiązana do koła ratunkowego, a we wszystkich marynarkach świata istnieje zwyczaj wypisywania na kołach nazwy statku, do którego należą! — odparował doktor, utkwivszy na nowo swe przeszywające spojrzenie w oczach marynarza.

— Niby tak... — odrzekł Hersebom spuszczać głowę.

— No więc? Jaka nazwa widniała na kole?

— Do licha, panie doktorze, ja nie jestem wykształcony!... Potrafię trochę czytać w moim własnym języku, ale w obcych?! Nic z tego!... A zresztą, to było tak dawno!...

— Jednak powinien pan choć mniej więcej pamiętać!... Zapewne pokazał pan koło, jak i resztę, Malariusowi?... No, dalejże, maaster Hersebom, odrobina wysiłku! Czy ta nazwa na kole to nie „Cynthia” przypadkiem?

— Chyba coś w tym rodzaju... — odparł wymijająco rybak.

— To obca nazwa. Z jakiego kraju, pańskim zdaniem, maaster Hersebom?

— A bo ja wiem?! Czy ja znam te wszystkie diabelskie kraje? Czy ja kiedykolwiek wypłynąłem poza wody przybrzeżne Nore i Bergen, z wyjątkiem jednego czy dwóch połowów u wybrzeży Islandii i Grenlandii? — zacietrzewiał się biedak coraz bardziej.

— Wygląda mi to na nazwę angielską lub niemiecką — kontynuował doktor, nie zwracając uwagi na wzburzenie rybaka. — Można by to łatwo rozstrzygnąć po kształcie liter, gdybym mógł zobaczyć koło. Nie zachował go pan?

— Skądże! Już dawno zostało spalone! — wykrzyknął triumfująco Hersebom.

— Z tego, co pamięta Malarius, litery były łacińskie — powiedział doktor jakby do siebie — i te na monogramie też. Jest więc prawdopodobne, że „Cynthia” nie była statkiem niemieckim. Skłaniam się raczej ku statkowi angielskiemu. Czy nie jest pan tego zdania, maaster Hersebom?

— Mało mnie to obchodzi! — odparował rybak. — Czy był inglisz, czy rosyjski, czy patagoński, oto najmniejsza z moich trosk!... Wszystko wskazuje na to, że już dawno zabrał swój sekret na dno oceanu, na głębokość jakichś trzech, czterech tysięcy metrów!

Można by przysiąc, że maaster Hersebom był wprost zachwycony świadomością, iż sekret ów spoczywa tak głęboko pod powierzchnią mórz.

— Ale chyba usiłowaliście coś zrobić, aby odnaleźć rodzinę dziecka? — rzekł doktor i wydawało się, że jego okulary błysnęły w tej chwili ironicznie. — Napisał pan, oczywiście, do gubernatora Bergen, zamieścił ogłoszenie w prasie?...

— Ja! — wykrzyknął rybak. — Nic podobnego nie zrobiłem!... Bóg jeden wie, skąd przybyło niemowlę i czy kogoś to zmartwiło! Miałem wydawać pieniądze na szukanie ludzi, którzy tak mało się o niego troszczyli? Niech pan wejdzie w moje położenie, panie doktorze... Ja nie jestem milionerem!... Przecież gdybyśmy nawet wydali wszystko, co posiadamy, i tak niczego byśmy nie wskórali! Zrobiliśmy więc, co było w naszej mocy, wychowaliśmy małego jak własnego syna, kochaliśmy go, chuchali i dmuchali...

— I to bardziej jeszcze niż na dwoje pozostałych, jeśli to w ogóle możliwe! — weszła mu w słowo Katrina, ocierając oczy rąbkiem fartucha. — Bo jeśli mamy sobie coś do zarzucenia, to chyba tylko to, że daliśmy mu zbyt wielką część naszej czułości!

— Ależ, pani Hersebom, ubliżyłaby mi pani sądząc, że wasze dobrodziejstwa dla biednego małego rozbitka wywołują we mnie inne uczucie niż najgłębszy podziw! — wykrzyknął doktor. — Nie, nie myśli pani w ten sposób!... Ale jeśli mam być całkiem szczerzy, uważam, że owa czułość przesłoniła wam obowiązek! A było nim przede wszystkim poszukiwanie rodziny dziecka w miarę waszych możliwości!

Zapanowała głucha cisza.

— Być może! — rzekł wreszcie maaster Hersebom, zwiesiwszy głowę pod ciężarem tego zarzutu. — Ale co się stało, to się nie odstanie! Teraz Erik jest nasz i nie mam zamiaru opowiadać mu tych starych historii.

— Niech się pan nie obawia, nie nadużyję waszego zaufania! — odparł doktor wstając. — Późno się zrobiło... Pożegnaj was już, moi drodzy, życząc wam dobrej nocy... nocy bez wyrzutów sumienia — dorzucił poważnie.

To rzekłszy, włożył swą pelisę i pomimo nalegań rybaka, nie zgodził się na odprowadzenie, uściśnął tylko serdecznie ręce gospodarzy i odszedł w stronę fabryki.

Hersebom powstał chwilę na progu, patrząc na oddalającego się w świetle księżyca doktora.

— Co za człowiek! — zamruczał pod nosem, kiedy wreszcie zdecydował się zamknąć drzwi.

III. Rozmyślania Herseboma

Następnego dnia, po generalnej inspekcji fabryki, doktor Schwaryencrona kończył właśnie obiad w towarzystwie swego zarządcy, kiedy w drzwiach stanął ktoś, w kim doktor z niejakim trudem rozpoznał Herseboma.

Wystrojony odświętnie w haftowany kaftan, w podszyty futrem surdut, w cylindrze na głowie, jakże różnił się od rybaka w roboczej bluzie. Zmiany dopełniały głęboki smutek i pokora widoczne na twarzy. Miał zaczerwienione oczy i wyglądał, jakby nie spał całą noc.

Bo tak w rzeczy samej było. Maaster Hersebom, który nigdy dotąd nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia, spędził na swym skórzanym materacu bardzo ciężkie chwile. Nad ranem podzielił się najboleśniejnymi przemyśleniami z panią Katriną, bo i ona nie zmrużyła oka.

— Myślę o tym, co nam powiedział doktor — rzekł do niej po kilku godzinach bezsenności.

— Ja też nie przestaję o tym myśleć, odkąd poszedł — odpowiedziała gospodyni.

— Moim zdaniem jest w tym jakaś część prawdy i kto wie, czy nie byliśmy bardziej egoistyczni, niż nam się zdawało! Może mały ma prawo do jakiejś wielkiej fortuny, której pozbawiło go nasze zaniedbanie?... Kto wie, czy od dwunastu lat nie opłakuje go rodzina, która słusznie mogłaby oskarżyć nas o to, że nie zrobiliśmy niczego, aby jej go zwrócić?

— Dokładnie to samo sobie powtarzam — westchnęła Katrina. — Jeśli jego matka żyje, jakże straszna musi być dla tej biednej kobiety świadomość, że jej dziecko utonęło!... Wczuвам się w jej położenie i myślę, co by było, gdybyśmy to my utracili w taki sposób naszego Ottona!... Bylibyśmy na zawsze niepokieszeni!

— Matka to jeszcze nie wszystko, co mnie niepokoi, bo ona według wszelkiego prawdopodobieństwa nie żyje — podjął Hersebom po chwili ciszy, przerywanej tylko westchnieniami obojga. — Trudno uwierzyć, żeby tak małe dziecko podróżowało bez matki albo żeby mogło zostać przywiązane do koła i zdane na łaskę oceanu, gdyby jesz-

cze żyła!

— To prawda, tylko co my o tym wiemy... Może ona także cudem ocalała!

— I może nawet zabrano jej dziecko!... Taka myśl nachodziła mnie czasami — ciągnął Hersebom. — Wiadomo to, czy ktoś nie odniósł korzyści z jego zniknięcia? Porzucenie dziecka na kole ratunkowym jest postępkami tak niezwykłym, że wszelkie domniemania stają się możliwe... Gdyby tak było, stalibyśmy się współnikami zbrodni, przyczyniając się do jej powodzenia!... Aż strach o tym pomyśleć!

— I kto by to powiedział!... A myśmy święcie wierzyli, że robimy dobry uczynek, przygarniając biedaka!

— Och, jasne, że nie mieliśmy złych intencji! Wykarmiliśmy go i wychowaliśmy najlepiej, jak umieliśmy, co nie przeszkadza, że postępowaliśmy bardzo nierozważnie i mały może nam to kiedyś słusznie zarzucić!

— O to akurat jestem spokojna! Wystarczy, że my sami mamy sobie coś do zarzucenia!

— Czy to nie dziwne, że ten sam czyn, oglądany z innego punktu widzenia, może być osądzony tak skrajnie inaczej? Nigdy by mi nawet przez myśl nie przeszło coś podobnego! A wystarczyło kilka słów doktora, żebyśmy teraz łamali sobie głowę!

W taki oto sposób snuli rozważania ci zacni ludzie.

Rezultatem ich nocnej rozmowy było przyjscie Herseboma do doktora Schwaryencrony, aby naradzić się co do możliwości naprawienia dawnego błędu.

Doktor Schwaryencrona nie uznał początkowo za stosowne wracać do tego, co zostało powiedziane poprzedniego dnia. Przyjął rybaka życzliwie, porozmawiał z nim o pogodzie i o cenach ryb, ale udawał, że bierze jego przyjscie za zwykłą grzecznościową wizytę.

Nie ułatwiało to sprawy Hersebomowi. Toteż najpierw krążył wokół zaprzatającego mu umysł tematu, mówił o szkole pana Malariusza, aż wreszcie rzucił się na głęboką wodę.

— Panie doktorze — rzekł, podjąwszy raz decyzję — moja żona i ja przez całą noc myśleliśmy o tym, co nam pan wczoraj powiedział na temat małego... Nigdy nie sądziłmy, że wyrządzamy mu krzywdę wychowując go jak naszego syna. Ale pan obudził w nas wątpliwości i chciałbym wiedzieć, co nam pan radzi, żebyśmy więcej nie grzeszyli nieświadomością... Myśli pan, że jest jeszcze czas na szukanie rodziny Erika?

— Nigdy nie jest za późno na wypełnienie swego obowiązku — odparł doktor — choć, rzecz jasna, zadanie to jest dziś o wiele trudniejsze niż zaraz na początku całej sprawy... Czy zechce mi je pan powierzyć? Zajmę się tym z przyjemnością i zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale pod jednym warunkiem: pozwoli mi pan zabrać chłopca do Sztokholmu...

Cios maczugą, spadający na głowę Herseboma, bardziej by go nie oszołomił. Zbladł

i wyraźnie się mieszał.

— Pozwolić panu... zabrać go do Sztokholmu?... A po cóż to, panie doktorze? — pytał zmienionym głosem.

— Już panu mówię... Otóż tym, co zwróciło moją uwagę na chłopca, obok cech fizycznych, którymi już na pierwszy rzut oka różni się on od swoich kolegów z klasy, była jego żywa inteligencja, jego wyraźne powołanie do wyższych studiów. Zanim się dowiedziałem, skutkiem jakich przypadków znalazł się w Nore, powiedziałem sobie, że byłoby zbrodnią pozostawienie tak uzdolnionego chłopca w prowincjonalnej szkole, nawet pod kierunkiem takiego nauczyciela, jakim jest Malarius, ponieważ tu nie znajdzie niczego, co mogłoby pomóc w rozwoju jego wyjątkowych zdolności, ani muzeów, ani zbiorów naukowych, ani bibliotek, ani godnych siebie rywali... Właśnie to skłoniło mnie do rozpytywania o Erika, o jego historię. Jeszcze zanim ją poznałem, zapragnąłem zapewnić mu możliwość skorzystania z pełnego wykształcenia... Pojmuje pan więc, że dowiedziawszy się od was wszystkiego, tym bardziej przywiązałem się do swojej myśli. A misja, której gotów jestem się podjąć, bynajmniej nie odwiedzie mnie od tego zamiaru... Nie muszę panu przypominać, maaster Hersebom, że wasz przybrany syn należy bez wątpienia do rodziny bogatej i dystyngowanej. Czy chce pan, abym naraził się, odnalazłszy ją, na oddanie jej dziecka wychowanego na wsi i bez wykształcenia, którego brak raziłby w nowym środowisku?... Nie byłoby to mądre, ma pan zbyt wiele zdrowego rozsądku, żeby tego nie rozumieć...

Maaster Hersebom spuścił głowę. Nie poczuł nawet, że po jego ogorzałych policzkach spłynęły dwie duże łzy.

— Ale to oznaczałoby definitywne rozstanie! — powiedział. — Mielibyśmy wygnąć go z domu nie wiedząc nawet, czy odnajdzie tamtą rodzinę?... Zbyt wiele pan wymaga, doktorze, zbyt wiele ode mnie i od mojej żony!... Chłopiec jest u nas szczęśliwy! Dlaczego nie pozostawić go tu, przynajmniej póki nie będzie pewien świetniejszego losu?

— Szczęśliwy!... Skąd pan wie, że będzie tak i później? Że dorósłszy, nie będzie żałował, iż został uratowany? Inteligentny, wybitny, a taki prawdopodobnie będzie, udusi się w tym życiu, jakie możecie mu stworzyć w Nore, drogi Hersebom!

— Doprawdy, panie doktorze, skoro to życie, którym pan pogardza, jest dobre dla nas, dlaczego nie miałyby być dobre dla małego?

— Nie pogardzam waszym życiem! — wykrzyknął uczony z zapałem. — Nikt tak jak ja nie podziwia i nie szanuje pracy! Sądzi pan, mistrzu Hersebom, że mógłbym zapomnieć, skąd się wywodzę? Mój ojciec i dziadek byli rybakami jak pan! I właśnie dlatego, że mieli zdolność przewidywania i dali mi wykształcenie, potrafię docenić wartość tego dobrodziejstwa i chciałbym zapewnić je dziecku, które na to zasługuje!... Kieruję się wyłącznie jego dobrem, niech mi pan wierzy...

— Ech, czy ja wiem?... Erik świetnie na tym wyjdzie, kiedy zrobi pan z niego wielkie-

go pana, który nie będzie umiał zrobić użytku z własnych rąk!... Oddamy mu niedźwiedzią przysługę, jeśli nie odnajdzie pan jego rodziny, co jest więcej niż pewne po dwunastu latach!... W końcu, doktorze, życie człowieka morza to życie uczciwe i warte tyle co inne!... Mając dobrą łódź pod stopami, rzeński powiew północnego wiatru we włosach i cztery lub pięć tuzinów dorszy na końcach gruntowych wędek, norweski rybak nie obawia się niczego i nic nikomu nie jest winien!... Mówi pan, że Erik nie byłby szczęśliwy, wiodąc takie życie? Pozwoli pan, że będę odmiennego zdania! Znam dobrze tego chłopca. Kocha książki, to prawda, ale nade wszystko kocha morze! Zupełnie tak, jakby czuł, że to ono go kołysało. Cierpiałby z dala od niego i wszystkie muzea świata razem wzięte nie mogłyby go pocieszyć!

— Ależ my w Sztokholmie także mamy morze! — rzekł uśmiechając się doktor, wzruszony mimo woli tym płynącym z serca oporem.

— Czego więc ostatecznie pan chce? Co pan proponuje, doktorze? — zapytał rybak, skrzyżowawszy ramiona.

— No widzi pan, mimo wszystko odczuwa pan potrzebę zrobienia czegoś... Skoro tak, oto moja propozycja: Erik ma dwanaście lat, wkrótce trzynaście, i sprawia wrażenie dziecka wyjątkowo uzdolnionego. Nieważne, skąd pochodzi... Zostawmy tę kwestię na boku... Zasługuje na to, aby mu umożliwić rozwój i wykorzystanie uzdolnień, i tym się na razie zajmijmy. Ja jestem bogaty i nie mam dzieci. Biorę więc na siebie zapewnienie mu wszystkich dostępnych środków, najlepszych nauczycieli i wszelkich udogodnień, by mógł skorzystać z ich nauk... Próba niech potrwa dwa lata... W tym czasie ja przystępuję do działania, prowadzę poszukiwania, zamieszczam ogłoszenia w prasie, poruszam niebo i ziemię, aby odnaleźć rodzinę dziecka. Jeżeli nie uda się w dwa lata — nie uda się nigdy!... A jeśli rodzice zostaną odnalezieni? Oni naturalnie zdecydują o wszystkim, co należy zrobić! W przeciwnym wypadku odsyłam wam Erika. Ma piętnaście lat, poznał świat!... To odpowiednia chwila, by powiedzieć mu prawdę o jego urodzeniu. Zasięgnąwszy naszej rady i na podstawie uzasadnionych opinii swoich nauczycieli, może postanowić z całą świadomością o swym dalszym losie!... Zechce być rybakiem? Ja się temu na pewno nie sprzeciwię!... Zechce kontynuować studia? Najprawdopodobniej będzie tego godzien i ja zobowiązuję się sprawić, by je ukończył i mógł wykonywać wybrany przez siebie zawód!... Czy to wszystko nie wydaje się panu rozsądne?

— Więcej niż rozsądne! To sama mądrość przemawia przez pańskie usta, panie doktorze! — wykrzyknął poddając się ostatecznie Hersebom. — Co to jednak znaczy być wykształconym! — dodał, kiwając głową. — Można sobie łatwo poradzić z nieuczonymi!... Teraz cała trudność w tym, jak to wszystko powtórzyć mojej żonie!... Jak prędko zabierze pan małego?

— Jutro!... Nie mogę opóźnić ani o jeden dzień mojego powrotu do Sztokholmu.

Z ust Herseboma wyrwało się westchnienie podobne do szlochu.

— Jutro... Tak szybko!... Zresztą, co ma być, będzie!... Porozmawiam o tym z żoną...

— No właśnie. Niech pan poradzi się także Malariusza. Zobaczy pan, że jest mojego zdania.

— Och, domyślam się — odrzekł rybak, uśmiechając się smutno.

Uściskał wyciągniętą ku niemu dłoń Schwaryencrony i odszedł pogrążony w zadumie.

Wieczorem, przed kolacją, doktor ponownie udał się do domu Herseboma. Zastał całą rodzinę zgromadzoną wokół kominka, jak poprzedniego dnia, ale już nie w tym samym nastroju spokoju i szczęścia. Ojciec siedział z dala od ognia, milczący, z bezczynnie spoczywającymi rękoma. Katrina, z oczami pełnymi łez, ścisnęła dłonie Erika, a on, z policzkami ożywionymi nadzieją nowych losów i spojrzeniem zasmuconym perspektywą opuszczenia wszystkiego, co kocha, niezbyt wiedział, któremu uczuciu pozwolić wziąć górę. Mała Vanda ukryła twarz na kolanach rybaka i widać było tylko długie srebrnoblond warkocze, ciężko opadające na jej delikatne i pełne wdzięku ramiona. Otto, także żywo poruszony nieuchronnym rozstaniem, tkwił nieruchomo obok swego przybranego brata.

— Cóż za posępne i strapione miny! — wykrzyknął doktor stając w progu. — Gdyby Erik miał właśnie wyruszyć na najodleglejszą i najniebezpieczniejszą wyprawę, nie moglibyście okazać większego zmartwienia!... Doprawdy nie ma powodu, zapewniam was, moi drodzy! Sztokholm nie jest na końcu świata, a chłopiec nie opuszcza was na zawsze! Będzie mógł do was pisać i jestem pewien, że będzie to często robił! Jest w sytuacji wszystkich chłopców idących do gimnazjum. Za dwa lata powróci do was duży i mądry, doskonały w każdym calu! Czy jest w tym wielki powód do zmartwienia?... Naprawdę, to nierozsądne!

Katrina podniosła się z wrodzoną godnością wieśniaczek z Północy.

— Panie doktorze, Bóg mi świadkiem, że jestem panu głęboko wdzięczna za wszystko, co pan robi dla naszego Erika — powiedziała. — Ale nie można nam mieć za złe, że jego wyjazd nas zasmuca. Hersebom wytłumaczył mi, iż rozłąka jest niezbędna. Uległam, jednak niech pan nie wymaga, żeby się to odbyło bez żalu!

— Mamo — wykrzyknął Erik — nigdzie nie pojedę, jeśli ma ci to sprawić ból!

— Nie, moje dziecko — odrzekła zacna kobieta, ściskając go w swych ramionach. — Wykształcenie jest wielkim dobrodziejstwem. Nie mamy prawa pozbawiać cię go!... Idź, synu, podziękuj panu doktorowi za to, że chce ci je zapewnić, i zawsze, przykładając się do nauki, staraj się udowodnić mu, iż doceniasz jego olbrzymią dobroć!

— No już, już! — rzekł doktor, którego okulary jakby się przesłoniły dziwną mgiełką. — Czy i mnie chcecie wzruszyć?... Lepiej pomówmy o sprawach praktycznych. Jak wiecie, musimy wyjechać jutro o świcie. Czy wszystko będzie gotowe? Mówię wszystko, co nie znaczy, że będzie potrzebna cała wyprawa. Pojedziemy samami tylko do Ber-

gen, a tam przesiądziemy się na pociąg. Erik będzie potrzebował raptem trochę bielizny, resztę znajdzie w Sztokholmie...

— Wszystko będzie gotowe — odrzekła z prostotą pani Hersebom. — Vanda — do-
rzuciła z norweską uprzejmością — pan doktor ciągle stoi!

Dziewczyna spieszenie podsunęła Schwaryencronie wielki fotel z politurowanego dębu.

— Muszę już iść — oświadczył doktor. — Malariusz czeka na mnie z kolacją... No cóż, panienko — dodał, kładąc dłoń na jasnej główce dziewczynki — bardzo masz mi za złe, że ci zabieram braciszka?

— Nie, panie doktorze — odpowiedziała poważnie Vanda. — Erik będzie tam szczęśliwszy. On nie jest stworzony do życia na wsi!

— A ty, moja mała, będziesz nieszczęśliwa bez niego?

— Plaża opustoszeje — odparło dziecko ze słodyczą. — Mewy daremnie będą go szukały. Małe, niebieskie fale zdziwią się, że już go nie spotkają, a mnie dom będzie się wydawał pusty. Ale Erik będzie szczęśliwy, mając książki, i stanie się uczony.

— A jego dzielna siostrzyczka będzie się cieszyła jego szczęściem, prawda, moje dziecko? — rzekł doktor, całując dziewczynkę w czoło. — I będzie dumna z niego, kiedy wróci!... No to sprawa załatwiona! Muszę już koniecznie iść! Do jutra!

— Panie doktorze — wyszeptała nieśmiało Vanda — ja także chciałabym prosić pana o łaskę.

— Mów, panienczko.

— Powiedział pan, że wyjeżdżacie saniami? Czy mogłabym, za pozwoleniem ojca i matki, powozić do pierwszej zmiany koni?

— Hm, hm... tylko że ja umówiłem już w tym celu Regnild, córkę mojego zarządcy.

— Wiem o tym, i to od niej samej. Ale ona zgadza się ustąpić mi swoje miejsce, jeśli pan zechce wyrazić zgodę.

— Skoro tak, to pozostaje ci tylko uzyskać pozwolenie taty i mamy.

— Mam je.

— Masz więc i moje, drogie dziecko — rzekł doktor na odchodnym.

Następnego dnia rano, kiedy wielkie sanie zatrzymały się przed domem państwa Hersebom, mała Vanda, tak jak o to prosiła, trzymała lejce siedząc na koźle. Miała powozić do najbliższej wioski, gdzie doktor wynajmie innego konia i inną dziewczynkę, i tak dalej aż do Bergen. Ten rodzaj woźnicy na pewno zdziwiłby obcokrajowca, ale taki jest zwyczaj w Szwecji i Norwegii. Mężczyźni uważaliby za stratę czasu pełnienie podobnych funkcji i nie jest rzadkością powierzanie dzieciom dziesięcio- czy dwunastoletnim ciężkich zaprzęgów, którymi potrafią kierować z całkowitą swobodą.

Doktor siedział już w głębi pojazdu, starannie otulony futrami. Erik zajął miejsce obok Vandy, ucałował uprzednio serdecznie ojca i brata, niemym smutkiem wyra-

żających ból, jaki im sprawiał jego wyjazd, a następnie zasnęła Katrinę. Ta była bardziej wylewna.

— Żegnaj, mój synu! — mówiła przez łzy. — Nie zapomnij nigdy, czego nauczyli cię twoi biedni rodzice! Bądź uczciwy i mężny! Nigdy nie kłam! Pracuj najlepiej, jak będziesz umiał! Broń zawsze słabszych od siebie! A jeśli nie znajdziesz szczęścia, na jakie zasługujesz, wracaj poszukać go wśród nas!

Vanda popędziła konia, który ruszył wyciągniętym kłusem, pobrzękując dzwoneczkami. Powietrze było mroźne, a droga twarda, jakby ze szkła. Nisko nad horyzontem blade słońce kładło swój złoty płaszcz na śnieżny krajobraz. W kilka minut Nore zniknęło w oddali.

IV. W Sztokholmie

Doktor Schwaryencrona mieszkał w Sztokholmie we wspaniałej rezydencji na wyspie Stadsholmen. To najstarsza i najwytworniejsza dzielnica tej uroczej stolicy, jednej z najpiękniejszych, najprzyjemniejszych w Europie, jednej z tych, które cudzoziemcy zwiedzaliby najczęściej, gdyby moda i uprzedzenia nie miały na plany podróży zwykłego turysty co najmniej takiego wpływu jak na kształt jego kapelusza.

Położony między jeziorem Melar i Bałtykiem, na skupisku ośmiu wysp połączonych niezliczonymi mostami, z ciągnącymi się wzdłuż brzegów wspaniałymi bulwarami, ożywiony ruchem statków parowych, pełniących funkcję omnibusów, i wesołością pracowniczą i zadowolonej ludności, najgościnniejszej, najuprzejmiejszej i najbardziej wykształconej w Europie, ze swymi parkami miejskimi, bibliotekami, muzeami, instytucjami naukowymi, Sztokholm jest zarówno prawdziwymi Atenami Północy, jak i bardzo ważnym ośrodkiem handlowym.

Erik wszakże pozostawał ciągle jeszcze pod wrażeniem rozstania z Wandą po pierwszej zmianie koni. Pożegnanie było o wiele poważniejsze, niż można by się spodziewać po dzieciach w ich wieku. Te dwa młode serca nie potrafiły ukryć przed sobą nawzajem głębokiego wzruszenia.

Ale kiedy pojazd oczekujący Erika na dworcu zatrzymał się przed wielkim domem z czerwonej cegły, którego dubeltowe okna błyszczały w świetle gazowych lamp, Erik był oczarowany. Miedziana kołatka u drzwi wydała mu się ze szczerego złota, a sień, wyłożona marmurowymi płytami, ozdobiona posągami, brązowymi kandelabrami i wielkimi chińskimi wazami, wprawiła go w całkowite osłupienie.

Podczas gdy służący w liberii uwalniał swego pana z futer, dopytując się o jego zdrowie z serdecznością będącą zwyczajowym tonem szwedzkich służących, Erik wodził wokół siebie zdumionym wzrokiem.

Dźwięk głosów przyciągnął jego uwagę ku pokrytym grubym dywanem schodom o wielkiej, dębowej poręczy. Odwrócił się i zobaczył dwie osoby, których ubiór wydał mu się szczytem elegancji.

Jedną z nich była siwowłosa dama średniego wzrostu, sztywno wyprostowana w swej plisowanej czarnej sukni, na tyle krótkiej, by można było dojrzeć czerwone pończochy z żółtymi klinami i zapinane na klamry buty. Olbrzymi pęk kluczy na stalowym łańcuszku zwisał u jej pasa. Szła z podniesioną głową, wodząc na wszystkie strony żywym, przenikliwym wzrokiem. Była to „fru” Greta-Maria, ochmistrzyni doktora, bezsprzeczna samowładczyni we wszystkich sprawach kulinarnych i domowych.

Za nią postępowała dziewczynka jedenasto-, może dwunastoletnia, która w oczach Erika wyglądała jak królewna z bajki. Nie była, jak wszystkie znane mu dotąd dziewczynki w jej wieku, odziana w strój ludowy, lecz w sukienkę z granatowego aksamitu, a na niej układały się splecione w dwa jedwabiste warkocze jej złote włosy; na nogach miała czarne pończochy i atłasowe trzewiczki, na głowie zaś spoczywała jak motyl wiśniowa kokarda, ożywiająca swym jaskrawym kolorem oblicze dziwne i blade, rozjaśnione fosforyzującym blaskiem wielkich, zielonych oczu.

— Nareszcie, stryju! Co za szczęście znów cię widzieć! Czy miałeś przyjemną podróż? — wykrzyknęła, rzucając się doktorowi na szyję.

Ledwie raczyła zniżyć swe spojrzenie na Erika, skromnie trzymającego się na uboczu.

Doktor odwzajemnił jej pieśczoć, uściśnął rękę ochmistrzyni, a następnie dał znak swemu pupilowi, aby się przybliżył.

— Kajso, pani Greto, proszę was o względy dla Erika Herseboma, którego przywiozłem z Norwegii — powiedział. — A ty, mój chłopcze, nie bój się! — podjął dobrotliwie. — Pani Greta nie jest taka surowa, na jaką wygląda, a moja bratanica Kajsa już wkrótce będzie z tobą w najlepszej komitywie!... Prawda, panienczko? — dorzucił, szczypiąc delikatnie w policzek małą czarodziejkę.

Całą odpowiedzią małej czarodziejki była dość pogardliwa mina. Ochmistrzyni także nie wydawała się specjalnie zachwycona przedstawionym jej nowym domownikiem.

— Za pozwoleniem, herr doktor — rzekła z kwaśną miną, wchodząc z powrotem po schodach — czy można spytać, co to za dziecko?

— Oczywiście — odpowiedział doktor — wszystkiego się pani dowie Greto, w najdrobniejszych szczegółach, ale najpierw pozwoli pani, że coś przegryziemy.

W „matsal”, czyli jadalni, na przygotowanym do posiłku stole przykrytym białym obrusem wznosiła się piękna kompozycja kryształów i snorgas. O istnieniu takiego luksusu biedny Erik nie miał najmniejszego pojęcia, norwescy wieśniacy bowiem nie znają bielizny stołowej, a i talerze pojawiły się u nich całkiem niedawno; wielu z nich nadal jada ryby na kawałkach razowca i nie czują się przez to pokrzywdzeni. Toteż doktor wielokrotnie musiał ponawiać swoje zaproszenie, by wreszcie chłopiec zasiadł do stołu. Niezręczność ruchów ściągnęła na niego niejedno ironiczne spojrzenie panny Kajsy. Ale dzięki apetytowi podróżnych wszystko potoczyło się bez zakłóceń. Po snorgas

nastąpiła kolacja, która sytnością przeraziłaby francuski żołądek, a obfitością mogłaby zaspokoić głód batalionu piechoty po dwudziestu ośmiu kilometrach marszu. Składała się z zupy rybnej, chleba domowego wypieku, gęsi nadziewanej kasztanami, gotowanej wołowiny obłożonej górą warzyw, stosu ziemniaków, tuzinów jaj na twardo, puddingu z kiściami rodzynek — wszystko to zostało odważnie zaatakowane i unicestwione.

Po sutym posiłku, spożytym niemal bez jednego słowa, wszyscy przeszli do bawialni, przestronnego pomieszczenia wyłożonego drewnem, o sześciu oknach, których nisze za ciężkimi sukienkami zasłonami wystarczyłyby paryskiemu architektowi na urządzenie całych mieszkań. Doktor usadowił się przy kominku w wielkim skórzanym fotelu, Kajsa siadła na stołeczku u jego stóp, podczas gdy Erik, onieśmielony i skrępowany, posuwał się ku oknu, mając nieprzepartą ochotę schronić się w ciemne głąbie tego ustronia. Doktor jednak nie zostawił mu na to czasu.

— Ejże, chłopcze, chodź się ogrzać! — krzyknął swym donośnym głosem. — I powiedz nam, co sądzisz o Sztokholmie?

— Ulice są bardzo mroczne, bardzo wąskie, a domy bardzo wysokie, tak że zasłaniają gwiazdy — odrzekł Erik.

— Owszem, odrobinę wyższe niż w Nore — rzekł doktor ze śmiechem.

— Bo to szlachecka dzielnica — wtrąciła Kajsa, dotknięta tymi krytykami. — Wystarczy przejść przez most, żeby znaleźć szersze ulice.

— Widziałem je po drodze z dworca, ale najpiękniejsza jest i tak węższa od fiordu w Nore! — odparował Erik.

— Ach, czyżbyśmy już tęsknili za rodzinnymi stronami? — rzekł doktor.

— Nie — odpowiedział stanowczo Erik — zbyt jestem panu zobowiązany, panie doktorze, aby choć przez chwilę żałować, że tu przyjechałem. Ale pyta mnie pan, co sądzę o Sztokholmie, więc mówię.

— To Nore musi być okropną dziurą! — rzekła Kajsa.

— Okropną dziurą! — powtórzył Erik z oburzeniem. — Trzeba nie mieć oczu, żeby mówić takie rzeczy, panno Kajso! Gdyby tylko mogła panienka zobaczyć granitowy pas skał wokół naszego fiordu i nasze góry, lodowce, nasze sosnowe lasy, całkiem czarne na tle bladego nieba! A dalej wielkie morze, raz wzburzone i straszne, to znów łagodne, jakby chciało ukołysać do snu. I mewy, przelatujące i ginące w oddali, żeby wkrótce powrócić i musnąć cię skrzydłem... To wszystko jest piękne, och, o wiele piękniejsze niż miasto!

— Nie mówiłam o krajobrazie, ale o domach — odparła Kajsa. — To same wiejskie chałupy, prawda, wuju?

— Wiejskie chałupy, w których urodził się zarówno twój ojciec i dziadek, jak i ja, moje dziecko — odrzekł poważnie doktor.

Kajsa zaczerwieniła się i umilkła.

— Wprawdzie są to tylko drewniane domy, ale warte tyle co inne — podjął Erik. — Często wieczorami, gdy ojciec reperuje sieci, a matka przędzie na kołowrotku, siadamy wszyscy troje, Otto, Vanda i ja, na ławeczce, z wielkim psem Klaasem u naszych stóp, i powtarzamy chórem stare sagi, patrząc na grę cieni na suficie. A kiedy na dworze wieje wiatr i wszyscy rybacy powrócili już z połowów, jakże cudownie jest czuć ciepło własnego domu! Jest tam równie przyjemnie jak w takim pięknym pokoju jak ten...

— To nie jest najpiękniejszy pokój — powiedziała Kajsa z dumą. — Gdybym ci pokazała salon, tobyś dopiero zobaczył!

— Ale tu jest tyle książek! — odparł Erik. — Czy w salonie jest ich więcej?

— Eee tam, książki! Kto mówi o książkach? Chodzi o aksamitne fotele, koronkowe firanki, o wielki francuski zegar wahadłowy, o perskie dywany!

Wylicznka ta nie zrobiła na Eriku większego wrażenia; zerkał pożądliwie w stronę ogromnej dębowej biblioteki, zajmującej całą jedną ścianę bawialni.

— Możesz obejrzyć książki z bliska i wziąć tę, która ci się spodoba — powiedział doktor.

Erikowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wybrał jakiś tom, usadowił się w dobrze oświetlonym miejscu i wkrótce pogrążył w lekturze. Ledwie zdał sobie sprawę z przybycia jednego po drugim dwóch starszych panów, wiernych współbiesiadników doktora Schwaryencrony, którzy przychodzili prawie każdego wieczoru na partyjkę wista.

Pierwszym był profesor Hochstedt, wysoki starzec o powściągliwym i dostojnym sposobie bycia. W sposób nader akademicki wyraził doktorowi przyjemność, jakiej doznaje widząc go znowu. Ledwie zdążył zasiąść w tym samym co zwykle fotelu, nazwanym z czasem „fotelem profesora”, gdy rozległ się energiczny, zdecydowany dzwonek.

— Otóż i Bredejord! — powiedzieli jednocześnie obaj przyjaciele.

Wkrótce drzwi otworzyły się przed niskim, szczupłym i żwawym mężczyzną, który wszedł jak burza, ucisnął obie ręce doktora, ucałował w czoło Kajse, serdecznie przywitał się z profesorem i swym żywym jak u myszy spojrzeniem omiółł pokój.

Był to mecenas Bredejord, jedna z ozdób sztokholmskiej palestry.

— Ejże, kogóż my tu mamy? — powiedział nagle, dostrzegając Erika. — Młodego poławiacza dorszy czy też majtka z Bergen? I to czytającego Gibbona po angielsku! — dodał, sprawdzwszy jednym spojrzeniem, co za absorbująca lektura pochłania małego wieśniaka. — I to cię interesuje, chłopcze? — spytał.

— Tak, proszę pana, od dawna pragnąłem przeczytać to dzieło, pierwszy tom „Zmierzchu cesarstwa rzymskiego” — odpowiedział z całą szczerością Erik.

— Do licha! — wykrzyknął adwokat. — Zdaje się, że majtkowie z Bergen lubią poważne lektury!... Ale czy ty aby jesteś z Bergen? — podjął prawie zaraz.

— Jestem z Nore, ale to niedaleko Bergen — odparł Erik.

— Hm... A czy w Nore mają oczy i włosy równie ciemne jak ty?

— Nie, proszę pana. Mój brat, moja siostra i wszyscy inni są blondynami, prawie jak panienska Kajsa — odparł Erik. — Ale nie ubierają się tak jak ona — dodał z uśmiechem. — I bynajmniej nie są do niej podobni.

— Tak też myślę — rzekł Bredejord. — Panna Kajsa jest wytworem cywilizacji. U ciebie zaś króluje piękna natura, „co za całą ozdobę ma swą prostotę”. A w jakim celu przyjechałeś do Sztokholmu, mój chłopcze, jeśli wolno spytać?

— Pan doktor jest łaskaw umieścić mnie w gimnazjum — powiedział Erik.

— Ach, tak! — rzekł adwokat, stukając palcami w tabakierkę.

Jego bystre spojrzenie wydawało się szukać u doktora wyjaśnień, ale za sprawą ledwie dostrzegalnego znaku zrozumiał, iż należy odłożyć dochodzenie, i natychmiast zmienił temat rozmowy.

Mówiono tedy o dworze królewskim, o mieście, o tym, co się wydarzyło w Sztokholmie od wyjazdu doktora. Potem pani Greta przysła rozłożyć stolik do gry, przygotować żetony i karty. Wkrótce nastąpiła cisza, a trzech przyjaciele pograżyli się w zawilościach wista.

Doktor rościł sobie nieszkodliwe pretensje do maestrii w tej grze i miał też mniej nieszkodliwy zwyczaj bezlitosnego traktowania błędów, jakie przytrafiały się jego partnerom. Nie posiadał się wprost z radości, kiedy na skutek tychże błędów wygrywał, i zrzędził, kiedy przegrywał. Co więcej, po każdym robrze nie odmawiał sobie przyjemności wytykania winowajcy jego błędów, tłumaczenia, jaką kartą powinien był zagrać po takiej czy innej lewie, jaką kartę powinien był dobrać po innej. Jest to skłonność nader często spotykana u graczy w wista, niemniej staje się nieprzyjemna, gdy przeradza się w manię i wyżywa każdego wieczoru na tych samych ofiarach.

Na szczęście doktor miał do czynienia z dwoma przyjaciółmi, którzy zawsze go rozbajali — profesor swą niezmaconą flegmą, adwokat zaś pogodą swego sceptycyzmu.

— Ma pan rację — zwykł odpowiadać z godnością pierwszy na najbardziej cierpkie wymówki.

— Mój drogi Schwaryencrona, dobrze pan wie, że daremnie się pan trzodzi, prawiąc mi kazania! — mawiał śmiejąc się Bredejord. — Przez całe życie będę popełniał w wicie najprostsze błędy i co gorsza, bez najmniejszych wyrzutów sumienia!

Co tu począć z tak zatwardziałymi grzesznikami? Doktor musiał poskromić swój język, ale tylko po to, by po kwadransie rozpuścić go na nowo — był bowiem niepoprawny.

Przypadek chciał, iż właśnie tego wieczoru przegrywał za każdym razem. Toteż jego zły humor uzewnętrzniał się w najbardziej przykrych zarzutach pod adresem profesora, adwokata, a nawet „dziadka”, kiedy ta fikcyjna postać nie miała tej liczby atutów, jaką doktor spodziewał się u niej znaleźć.

Ale profesor z niezmaconym spokojem ustawiał swoje żetony, adwokat zaś zbywał

żartem najbardziej zjadliwe wymówki.

— Dlaczego miałbym zmienić metodę, skoro wygrywam grając źle, podczas gdy pan przegrywa grając doskonale? — mawiał doktorowi.

Tak zastała ich dziesiąta. Kajsza przygotowała herbatę we wspnianym miedzianym samowarze i podała ją z dużym wdziękiem, po czym ulotniła się dyskretnie. Wkrótce pani Greta zawołała Erika i zaprowadziła go do mieszczącego się na drugim piętrze ślicznego i schludnego pokoiku, który odtąd miał być jego pokojem. Trójka przyjaciół została sama.

— Czy powie nam pan wreszcie, kim jest ten młody rybak z Nore czytający Gibbona w oryginale? — zapytał wówczas Bredejord, słodząc drugą filiżankę herbaty. — A może to temat zakazany i ma być starannie ustrzeżony przed naszą niedyskrecją?

— Tematu nie okrywa tajemnica i chętnie opowiem wam historię Erika, o ile jesteście zdolni zachować ją dla siebie — odrzekł Schwaryencrona z resztką urazy.

— Och, wiedziałem, że musi się w tym kryć jakaś historia! — wykrzyknął adwokat, sadowiąc się wygodnie w fotelu. — Słuchamy pana, drogi przyjacielu, i może pan być pewien, że nie zawiedzimy pańskiego zaufania!... Wyznam panu, iż ten człowieczek już mnie intryguje jako swego rodzaju problem.

— Bo też jest to rzeczywiście żywy problem — podjął doktor, mile polectany ciekawością swego przyjaciela — problem, którego rozwiązanie, jak ośmielam się sądzić, najprawdopodobniej znalazłem. Przedstawię wam wszystkie dane, a wy powiecie mi, czy zgadzacie się z moimi wnioskami.

Schwaryencrona oparł się o duży piec kaflowy i zaczynając od momentu, w którym rozpoczyna się nasza opowieść, wyjawiał, jak doszło do tego, że zauważył Erika w szkole w Nore i zasięgnął o nim wiadomości. Nie pomijając żadnego szczegółu, opowiedział, co mu wyznali Malarius i Hersebom, mówił o kole ratunkowym z napisem „Cynthia”, o ubrankach pokazanych mu przez panią Katrinę, o wyhaftowanych na nich inicjałach, o koralowej grzechotce, o łacińskiej dewizie, wreszcie o cechach antropologicznych, tak wyraźnych u Erika.

— Jesteście teraz w posiadaniu wszystkich elementów powstałego przede mną problemu — ciągnął. — Spieszę zwrócić waszą uwagę na to, że poziom wykształcenia chłopca, jakkolwiek wyjątkowy, jest jedynie zjawiskiem drugorzędnym, zawdzięczanym wpływowi Malariususa, i nie trzeba go brać pod uwagę. Ów poziom wykształcenia sprawił, że zainteresowałem się podmiotem sprawy i zebrałem informacje na jego temat. Ale w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia dla kwestii zasadniczej, którą stawiam w sposób następujący: Skąd pochodzi chłopiec? Gdzie należy wszcząć poszukiwania w celu odnalezienia jego rodziny?

Podstawowymi elementami problemu, jedynymi, jakie mogą naprowadzić nas na ślad, są więc:

1) Fizyczne cechy rasy chłopca;

2) Nazwa „Cynthia” wypisana na kole ratunkowym. Co do punktu pierwszego nie ma wątpliwości: dziecko należy do rasy celtyckiej. Prezentuje wręcz typ celtycki w całej krasie i czystości.

Przejdźmy do punktu drugiego. „Cynthia” jest bez wątpienia nazwą statku, do którego należało koło. Taką nazwę mógł nosić zarówno statek niemiecki, jak i angielski. Nie była Jednak napisana gotykiem. Wobec tego statek był angielski... no, powiedzmy anglosaski, gwoli dokładności.

Wszystko zresztą potwierdza tę hipotezę, albowiem tylko statek angielski, płynący do Inverness lub na Orkady czy też stamtąd wracający, mógł zostać zepchnięty przez sztorm na wody przybrzeżne Nore. A zdajecie sobie chyba sprawę, że mały żywy rozbiitek nie mógł dryfować zbyt długo, przetrzymał bowiem głód i niebezpieczeństwa swojej ryzykownej żeglugi!... A teraz, kiedy już wszystko zostało powiedziane, jakie są wasze wnioski, drodzy przyjaciele?

Ani profesor, ani adwokat nie uznali za stosowne odezwać się choć słowem.

— Zapewne nie wiecie, jaki z tego płynie wniosek — podjął doktor z nutką triumfu w głosie. — Może nawet dostrzegacie pewną sprzeczność między tymi dwoma elementami: dziecko rasy celtyckiej i statek o nazwie anglosaskiej? A to po prostu dlatego, że zapomnieliście o pewnej okoliczności o kapitalnym znaczeniu, a mianowicie o istnieniu w łonie Wielkiej Brytanii ludu rasy celtyckiej z siostrzanej wyspy Irlandii!... Ja także początkowo nie pomyślałem o tym i dlatego nie dostrzegałem oczywistego rozwiązania problemu. Ale teraz wniosek narzuca się sam: chłopiec jest Irlandczykiem! Czy nie jest pan tego zdania, Hochstedt?

Jeśli było coś na świecie, czego szacowny profesor nie lubił, to właśnie wypowiedzenia na jakikolwiek temat jednoznacznych opinii. A trzeba przyznać, że w przypadku poddanym teraz jego bezstronnemu osądowi wszelka opinia była co najmniej przedwczesna. Toteż ograniczył się do niewyraźnego kiwnięcia głową i rzekł:

— Jest rzeczą bezsporną, że Irlandczycy należą do celtyckiego odgałęzienia rasy aryjskiej.

Było to niewątpliwie jedno z tych stwierdzeń, którym trudno zarzucić nadmierną śmiałość.

Niemniej wystarczyło ono doktorowi Schwaryencronie, albowiem zobaczył w nim całkowite potwierdzenie swojej teorii.

— A więc sam pan przyznaje! — wykrzyknął z zapalem. — Skoro Irlandczycy są Celtami i dziecko ma wszystkie cechy rasy celtyckiej, a „Cynthia” była statkiem angielskim, to wydaje mi się, że trzymamy koniec nici, która zaprowadzi nas do rodziny nieboraka. I to w Wielkiej Brytanii należy jej szukać. Kilka ogłoszeń w „Timesie” prawdopodobnie wystarczy, żeby nas naprowadzić na jej ślad.

Doktor niewątpliwie rozwijałby dalej swoje plany poszukiwań, gdyby nie zdał sobie sprawy z uporczywego milczenia adwokata i lekko ironicznego spojrzenia, z jakim ten zdawał się przyjmować jego wywody.

— Jeśli nie jest pan mojego zdania, Bredejord, niech pan powie! Pan wie, że nie uchylam się od dyskusji! — rzekł, przerywając swój monolog.

— Ja nic nie powiedziałem! — odparł Bredejord. — Hochstedt świadkiem, że ja nic nie powiedziałem...

— Nie, aleja dobrze widzę, że nie podziela pan mojej opinii!... I rad bym wiedzieć, dlaczego? — zapytał doktor, ogarnięty na nowo kłótlwym nastrojem, który rozwinął w nim wist. — Czy „Cynthia” jest nazwą angielską? — dorzucił zapalczywie. — Tak, ponieważ nie była napisana gotykiem, co wskazywałoby na statek niemiecki... Czy Irlandczycy są Celtami? Bez wątpienia! Właśnie usłyszał pan przed chwilą człowieka tak kompetentnego, jak nasz znamienity przyjaciel Hochstedt, który oznajmił to w pańskiej obecności!... Czy dziecko ma wszystkie cechy rasy celtyckiej? Mógł pan sam ocenić i był pan tym zaskoczony, zanim jeszcze powiedziałem cokolwiek na ten temat! Wnioskuje więc, iż trzeba niesłuchanie złej woli, aby nie przychylić się do mojego zdania i nie uznać wraz ze mną, że dziecko musi należeć do rodziny irlandzkiej!

— Zła wola, to mocno powiedziane! — odparł Bredejord. — Jeśli mnie ma pan na myśli, to przypominam, że słowem jeszcze nie wyraziłem swojej opinii...

— Nie, ale okazuje pan nader wyraźnie, że nie podziela mojej!

— Chyba mam do tego prawo!...

— Musiałby pan jeszcze przedstawić trafiające do przekonania uzasadnienie pańskiej tezy!

— A kto panu powiedział, że mam takową?

— Więc jest to czysta przekora, zwykła potrzeba przeciwstawiania mi się we wszystkim, tak samo jak przy wiście?

— Nic nie jest mi bardziej obce niż przekora, zapewniam pana! Po prostu pańskie rozumowanie nie wydaje mi się niepodważalne, i to wszystko!

— A czemuż to, jeśli łaska? Rad bym wiedzieć!...

— Zbyt długo musiałbym to panu tłumaczyć, a właśnie wybiła jedenasta!... Proponuję więc panu pewien zakład: stawiam mojego Kwintylia, pierwsze wydanie weneckie, przeciwko pańskiemu Pliniuszowi wydanemu przez oficynę Aldusa Manutiusa, że nie odgadł pan prawidłowo i że ten chłopiec nie jest Irlandczykiem!

— Wie pan, że nie lubię się zakładać — powiedział doktor, ułagodzony wreszcie niezmaconym dobrym humorem adwokata. — Ale nie potrafię odmówić sobie przyjemności zawstydenia pana i dlatego przyjmuję wyzwanie.

— W takim razie sprawa postanowiona... Ile czasu potrzebuje pan na swoje poszukiwania?

— Mam nadzieję, że wystarczy kilka miesięcy, ale umówiłem się z Hersebomem na dwa lata, tak na wszelki wypadek.

— W takim razie wyzywam pana na dwa lata. Hochstedt będzie naszym arbitrem. I bez urazy, tak?

— Bez urazy, oczywiście! Ale już teraz widzę, że pańskiemu Kwintylianowi poważnie zagraża dołączenie do mojego Pliniusza — odparł doktor.

Po czym uścisnął dłonie swych przyjaciół i odprowadził ich do drzwi.

V. Wesołych Świąt!

Od następnego dnia nowe życie Erika potoczyło się swym zwykłym trybem. Doktor Schwaryencrona zaprowadził go do krawca, po czym, ubranego już po miejsku, przedstawił dyrektorowi jednej z najlepszych szkół w mieście. Była to szkoła w rodzaju naszych gimnazjów, nazywanych w Szwecji „Hogre elementar larovek”. Zakres nauczania obejmował języki starożytne i nowożytne, podstawowe dziedziny wiedzy oraz to wszystko, co należy poznać przed podjęciem studiów wyższych na uniwersytecie. Podobnie jak w Niemczech i we Włoszech, wszyscy uczniowie byli eksternami. Ci, którzy nie mieli w mieście rodziny, mieszkali u nauczycieli lub innych odpowiedzialnych za nich opiekunów. Czesne było znikome, w przypadku zaś dzieci nie posiadających środków na jego opłacenie, zredukowane wręcz do zera. Każda z klas posiadała własną dużą salę gimnastyczną, toteż kultura fizyczna szła tam zawsze w parze z kulturą umysłową.

Erik od razu znalazł się w czołówce swojej klasy. Nauka przychodziła mu z najwyższą łatwością, skutkiem czego miał wiele czasu dla siebie. Widząc to doktor uznał wkrótce, iż Erik mógłby wieczorami słuchać wykładów w „Slodjaskolan”, czyli sztokholmskiej wyższej szkole przemysłowej. Była to specjalistyczna instytucja zajmująca się praktykowaniem nauk, doświadczeniami z dziedziny fizyki i chemii, konstrukcjami geometrycznymi, tym, co w gimnazjum poznaje się wyłącznie od strony teoretycznej. Schwaryencrona słusznie uważał, że nauka w takiej szkole, będącej jednym z cudów Sztokholmu, nada nowego rozmachu szybkim postępom Erika; jednak rezultaty tego dwójki kształcenia przeszły najśmielsze oczekiwania doktora.

Jego młody pupil bowiem błyskawicznie przyswajał sobie wiadomości, które pozwalały mu zgłębić tajniki głównych dziedzin wiedzy. W miejsce mglistych i powierzchownych wyobrażeń, będących zwykle udziałem tylu uczniów, on gromadził zasoby pojęć ścisłych, precyzyjnych i ostatecznych. Dalszy rozwój na tak solidnych podstawach był jedynie kwestią czasu. W przyszłości wspięcie się na najwyższe szczeble studiów uniwersyteckich będzie dla niego dziecinną igraszką. Tak jak niegdyś przysłużył mu się pan Malarius, każąc długo i wnikliwie studiować podstawy języków, historii, geografii i bo-

taniki, tak „Slodjskolan” oddał mu wielką przysługę w zakresie nauk ścisłych wpajając mu owo abc praktycznych umiejętności, bez których nawet najlepsze wykłady na długo mogą pozostać bezużyteczne.

Mnogość i różnorodność zadań nie tylko nie przeciążały umysłu Erika, lecz ćwiczyły go lepiej, niżby to uczyniły studia zbyt jednostronne. Zresztą po to były sale gimnastyczne, aby po ćwiczeniach umysłu mogła przyjść kolej na ćwiczenia ciała, a Erik przodował tu tak samo jak w szkolnej ławie. Poza tym bynajmniej nie zapomniał o morzu, które kochał miłością synowską, i w dni wolne od nauki chadzał popatrzeć na nie, gawędził z marynarzami i rybakami pomagając im czasem, a nieraz przynosił do domu jakąś wspaniałą rybę, zawsze mile widzianą przez panią Gretę.

Zacna kobieta wkrótce prawdziwie polubiła nowego domownika. Erik był tak łagodny, tak naturalnie układny i uczynny, tak pracowity i dzielny, że nie sposób było, poznawszy go, nie polubić. Nim minął tydzień, stał się ulubieńcem już nie tylko doktora Schwaryencrony, ale także mecenasa Bredejorda i profesora Hochstedta. Jedyną osobą, która źle się do niego odnosiła, była Kajsa. Czy to czuła się zagrożona w swym bezsprzecznym dotąd panowaniu w domu, czy winiła Erika za nieszkodliwe w gruncie rzeczy przycinki, do jakich prowokowały doktora jej maniery księżniczki, dość, że uparcie traktowała przybysza z pogardliwą oschłością, której żadna uprzedzająca grzeczność nie była w stanie pokonać. Na szczęście niewiele miała okazji do przejawiania swej wzgardy w całej rozciągłości, Erik bowiem zwykle przebywał poza domem lub zamknięty w swoim pokoiku.

Życie toczyło się więc spokojnie, a czas upływał bez godnych odnotowania wydarzeń. Skorzystamy z tego, by wraz z Czytelnikiem przenieść się do Noro w dwa lata później.

Zbliżały się drugie od wyjazdu Erika święta Bożego Narodzenia. Są to w całej Europie środkowej i północnej wielkie doroczne święta, zbiegające się z martwym sezonem w prawie wszystkich gałęziach przemysłu. W Norwegii trwają aż trzynaście dni i stają się okazją do wyjątkowych uciech. To czas rodzinnych spotkań, wystawnych kolacji, a nawet zrękowin. Jadła i napitków nie brakuje w najuboższych domostwach. Wszędzie najdalej idąca gościnność jest na porządku dziennym. „Yule ol”, czyli bożonarodzeniowe piwo, płynie strumieniami. Każdy, kto przychodzi z wizytą, dostaje wypełniony nim po brzegi drewniany puchar oprawny w złoto, srebro lub miedź, przekazywany od niepamiętnych czasów z pokolenia na pokolenie nawet w najskromniejszych rodzinach. Należy obowiązkowo wychylić go do dna na stojąco, wymieniając z gospodarzem życzenia „wesołych świąt i dobrego roku”. Także na Boże Narodzenie służba domowa wszelkiego rodzaju otrzymuje nowe ubrania, które nierzadko stanowią jedyną wyraźną zapłatę, a woły, barany i inne stworzenia, do ptaków niebieskich włącznie, mają prawo do podwójnej porcji jedzenia lub wyjątkowej hojności. O ubogim człowieku mawia

się w Norwegii: „Jest tak biedny, że nie stać go nawet na postawienie wróblom bożonarodzeniowej kolacji”.

Z trzynastu tradycyjnych dni wigilia Bożego Narodzenia jest dniem najweselszym. Starym zwyczajem gromady chłopców i dziewczynek przemierzają na ślizgówkach wioski, zatrzymując się pod domami i śpiewając stare ludowe piosenki. Ich czyste głosy, rozbrzmiewające znieca w mroźnym powietrzu nocy wśród samotnych dolin spowitych śniegiem, robią tyleż czarowne co niezwykle wrażenie. Drzwi otwierają się zaraz, śpiewające dzieci zapraszane są do środka, gdzie częstuje się je ciastkami, suszonymi jabłkami i piwem, czasami dochodzi nawet do wspólnych tańców. Po tym skromnym poczęstunku wesoła kompania wyfruwa jak stadko mew, by gdzieś dalej rozpocząć wszystko od nowa. Odległości są niczym, gdy ma się ślizgówki brzozone długie na dwa do trzech metrów, przywiązywane rzemieniami do stóp, na których wieśniacy norwescy, pomagając sobie mocnym kijem dla nabrania rozpędu i przyspieszenia, pokonują z zadziwiającą prędkością wielomilowe dystanse.

W tym roku u Hersebomów szykowało się podwójne święto. Oczekiwano bowiem Erika. List ze Sztokholmu zapowiedział jego przyjazd w samą wigilię Bożego Narodzenia. Toteż ani Otto, ani Vanda nie mogli usiedzieć na miejscu. Co chwila biegali do drzwi, by zobaczyć, czy podróżny nie nadchodzi. Pani Katrina, choć strofowała ich za tę niecierpliwość, w pełni ją podzielała. Jedynie maaster Hersebom palił w milczeniu fajkę i wydawało się, że pragnienie ujżenia przybranego syna miesza się w nim z obawą, iż nie będzie można zatrzymać go na dłużej.

Otto już chyba po raz setny poszedł na zwiady. Nagle wrócił wołając:

— Mamo! Vanda! To chyba on!

Wszyscy rzucili się ku drzwiom. W dali, na drodze prowadzącej z Bergen, widać było istotnie jakiś czarny punkt rosnący szybko, by wreszcie przybrać kształt młodzieńca w ciemnym ubraniu i futrzanej czapce, dziarsko dźwigającego na ramionach tornister z lakierowanej skóry. Dzięki ślizgówkom zbliżał się w okamgnieniu.

Wkrótce nie było już żadnych wątpliwości. Podróżny, dojrawszy oczekujących go przed domem bliskich, zdjął zaraz czapkę i jął wymachiwać nią nad głową.

W chwilę później Erik rzucił się w objęcia pani Katriny, Vandy, Ottona i Herseboma, który podniósłszy się z fotela, wyszedł na próg.

Omal nie udusili go w uściskach, zasypali pieścizotami i zachwycali się jego wspaniałym wyglądem. Szczególnie pani Katrina nie mogła przyjść do siebie.

Gdzie podziało się maleństwo, które huśtała na swych kolanach? Miałże to być ów wysoki, dobrze zbudowany chłopiec o już ocienionej wąsem wardze, eleganckiej sylwetce i szczerzej, zdecydowanej twarzy?... Czy to możliwe?

Zacna kobieta poczuła nagle coś w rodzaju respektu dla swego dawnego wychowanka. Była z niego dumna, dumna głównie z łez szczęścia, które widziała w jego ciemnych

oczach, bo i on był głęboko wzruszony.

— Mamo... to ty... nareszcie! Mogę znów na ciebie patrzeć, czuć cię blisko siebie!... Jakże dłużyły mi się te dwa lata!... Czy tęskniliście za mną tak jak ja za wami?

— Naturalnie! — powiedział z całą powagą maaster Hersebom. — Nie było dnia, żebyśmy o tobie nie mówili! Podczas wieczornych rozmów lub rano, przy stole, twoje imię wciąż powracało na nasze usta!... Ale ty, chłopcze, nie zapomniałeś o nas tam, w tym dużym mieście?... Cieszysz się z powrotu do starego domu w starym kraju?

— No, chyba w to nie wątpicie! — rzekł Erik i jał znów w najlepsze ścisnąć wszystkich i całować. — Ani na chwilę nie przestałem o was myśleć! A gdy wiał sztormowy wiatr, myślałem głównie o tobie, ojczule!... Mówiłem sobie: Gdzie on teraz jest? Czy zdążył wrócić do domu? Czy chociaż znalazł bezpieczną kryjówkę? Co wieczór przeglądałem komunikaty meteorologiczne w gazecie doktora, żeby sprawdzić, czy pogoda na tym wybrzeżu była taka sama jak na szwedzkim. I stwierdziłem, że tu o wiele częściej niż w Sztokholmie występują huragany, które nadciągają z Ameryki i uderzają w nasze góry. Jakże pragnąłem w takich chwilach być z tobą, ojczule, w łodzi, pomagać ci w pracy przy żaglu i pokonaniu wszystkich trudności!... A kiedy była piękna pogoda, to znów czułem się więźniem w tym wielkim mieście, otoczony trzypiętrowymi domami. Wówczas oddałbym wszystkie skarby świata za jedną godzinę na morzu, żeby jak niegdyś, wolny i radosny, cieszyć się orzeźwiającą bryzą!

Uśmiech rozpromienił ogorzałą twarz rybaka.

— Nie zepsuły go książki! — rzekł z prawdziwą satysfakcją. — Wesołych świąt i dobrego roku, mój synu! — dorzucił. — No, siadaj do stołu! Czekamy z kolacją tylko na ciebie.

Usiadłszy na swym dawnym miejscu, po prawej stronie zacnej Katriny, Erik mógł wreszcie rozejrzeć się wkoło i skonstatować zmiany, jakie te dwa lata poczyniły w rodzinie. Otto był teraz rosnącym i krzepkim szesnastoletnim chłopcem wyglądającym na dwudziestolatka. Vanda w ciągu tych dwóch lat też bardzo wyrosła i wypiękniała. Jej ładna buzia wysubtelniała, a wspaniałe popielatoblond włosy, opadające ciężkimi warkoczami na ramiona, tworzyły wokół czoła lekką, srebrzystą mgiełkę. Jak zawsze skromna i łagodna, nie zwracając na siebie uwagi starała się, by nikomu niczego nie zabrakło.

— Vanda to już dorosła panna — powiedziała matka z dumą. — A gdybyś wiedział, Eriku, jaka jest mądra, ile czasu poświęca nauce, odkąd wyjechałeś! Jest najlepsza w całej szkole. Pan Malarius mówi, że to jego jedyna pociecha, odkąd nie ma ciebie wśród swoich uczniów!

— Kochany pan Malarius! Szczęśliwy będę mogąc go też uściskać! — wykrzyknął Erik. — A więc nasza Vanda stała się aż tak wykształcona? — podjął z zainteresowaniem, gdy tymczasem dziewczyna pod wpływem matczynych pochwał zaczerwieniła się po cebulki włosów.

— Uczy się też gry na organach — dorzuciła pani Katrina — a pan Malarius mówi, że ma najładniejszy głos z całego chóru!

— No proszę! Toż to prawdziwie edukowana panna! — rzekł ze śmiechem Erik, chcąc rozproszyć zakłopotanie siostry. — Będzie musiała zaraz jutro zaprezentować nam swoje talenty!

Po czym w sposób naturalny sprowadził rozmowę na mieszkańców Nore pytając, co u każdego z nich słychać, dowiadując się o swoich kolegów, o to, co się wydarzyło od jego wyjazdu, o rybackie przygody, o wszystkie szczegóły miejscowego życia. Następnie musiał zaspokoić ciekawość rodziny, opowiadając o swoim życiu w Sztokholmie, o pani Grecie, o Kajsie, o doktorze.

— To mi przypomniało, że mam dla ciebie list, ojciec — powiedział, wyciągając go z wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Nie wiem, co zawiera, ale doktor powierzył go mojej pieczy, bo dotyczy właśnie mnie.

Maaster Hersebom wziął dużą zalakowaną kopertę i położył obok siebie na stole.

— Jak to? — spytał Erik — więc nie przeczytasz go nam?

— Nie — odparł lakonicznie rybak.

— Ale skoro on dotyczy mnie... — nalegał chłopiec.

— Zaadresowany jest chyba do mnie — rzekł na to maaster Hersebom, podnosząc list do oczu. — Tak! Wobec tego przeczytam go w swoim czasie!

Posłuszeństwo syna względem ojca leży u podstaw norweskiej rodziny. Erik spuścił głowę. Wszyscy wstali od stołu, a trójka dzieci, usiadłszy jak niegdyś na ławeczce przy kominku, rozpoczęła zwierzenia, opowiadając sobie bez końca i wciąż na nowo wszystko, co każde z nich pragnęło wiedzieć.

Katrina tymczasem kręciła się po pokoju robiąc porządki, chcąc by choć raz Vanda „była damą”, jak to określiła, to znaczy by w ogóle nie zajmowała się gospodarstwem.

Natomiast maaster Hersebom zasiadł w swym wielkim fotelu i palił w milczeniu fajkę. Dopiero gdy ukończył tę jakże ważną czynność, zdecydował się otworzyć list doktora.

Przeczytał go, po czym bez słowa złożył, wsadził do kieszeni i nabił drugą fajkę. Wypalił ją jak pierwszą, nie wypowiedziawszy słowa, i już przez cały wieczór trwał tak, pograżony we własnych myślach.

Jakkolwiek nigdy nie był szczególnie rozmowny, jego milczenie musiało wydać się osobliwe pani Katrinie, która ukończyła wreszcie pracę i również usiadła przy ogniu. Zagadnęła męża raz i drugi, lecz zrażona brakiem odpowiedzi, popadła w głęboką zadumę, a i dzieci, nagadawszy się do utraty tchu, poczuły, jak udziela im się widoczny smutek rodziców.

Nagle za drzwiami rozległ się chór młodych głosów, przerywając w samą porę cią-

żącą ciszę. To grupa rozbawionych uczniów wpadła na wspaniały pomysł serdecznego przywitania Erika.

Wpuszczeni do środka i ugoszczeni tradycyjnym poczęstunkiem, tłoczyli się wokół dawnego kolegi, okazując mu radość, jaką sprawiało im to spotkanie. Erik, wzruszony nieoczekiwaną wizytą przyjaciół z dzieciństwa, chciał koniecznie towarzyszyć im w dalszej bożonarodzeniowej wędrówce po okolicy.

Otto i Vanda naturalnie przyłączyli się do niego. Pani Katrina poleciła im nie oddalać się za bardzo i prędko przyprowadzić brata z powrotem, bo przecież potrzebuje wypoczynku.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, wróciła do męża.

— No i co, czy doktor dowiedział się czegoś? — zapytała z niepokojem.

Maaster Hersebom nie odpowiedział, lecz wyjął z kieszeni list, rozłożył go i zaczął czytać na głos, zacinając się czasami, gdy natrafiał na jakieś niezbyt mu znane słowo.

Mój drogi Hersebom — pisał doktor — od blisko dwu lat, odkąd powierzyliście mi Wasze ukochane dziecko, każdego dnia na nowo miałem przyjemność stwierdzać jego postępy w każdej dziedzinie. Erik ma umysł równie błyskotliwy jak serce szlachetne. To wyjątkowy chłopiec. Rodzice, którzy utracili takiego syna, gdyby jeszcze mogli znać rozmiar swej straty, mieliby istotnie wszelkie powody, by go opłakiwać. Lecz to, że owi rodzice jeszcze istnieją, jest więcej niż wątpliwe. Zgodnie z naszą umową, zrobiłem wszystko, co magłem, by trafić na ich ślad. Napisałem do kilku osób w Anglii, zleciłem specjalnej agencji wszczęcie poszukiwań, zamieściłem ogłoszenia w dwudziestu dziennikach angielskich, irlandzkich, szkockich. Uzyskane dotąd informacje nie dość, że w niczym nie przyczyniły się do rozwikłania zagadki, to jeszcze, powiedziałbym, bardziej ją skomplikowały.

Nazwa „Cynthia” jest bowiem bardzo rozpowszechniona w angielskiej marynarce. Biuro Lloyda powiadomiło mnie o istnieniu co najmniej siedemnastu statków wszystkich tonaży noszących tę nazwę i należących do portów Anglii, Szkocji i Irlandii. Tak więc moja hipoteza dotycząca pochodzenia chłopca wydaje się całkowicie potwierdzona i jestem coraz bardziej przekonany, że Erik wywodzi się z rodziny irlandzkiej. Nie wiem, czy uwiadomiłem Pana o moich w tym względzie wnioskach, lecz zasygnalizowałem je zaraz po powrocie do Sztokholmu dwóm z moich najbliższych przyjaciół. Powtarzam raz jeszcze: wszystko je potwierdza.

Nie wiadomo, czy owa irlandzka rodzina całkowicie wymarła, czy też ma interes w tym, by się nie ujawniać, dość że nie dała najmniejszego znaku życia.

Jest jeszcze inna zastanawiająca i moim zdaniem wielce podejrzana okoliczność: otóż żadna z odnotowanych przez Lloyda czy inne morskie towarzystwa ubezpieczeniowe katastrofa na morzu nie pozostaje w związku z datą pojawienia się dziecka u na-

szych wybrzeży. Owszem, w bieżącym wieku zatoneły dwie „*Cynthia*”, ale jedna na Oceanie Indyjskim trzydzieści dwa lata temu, druga w okolicach Portsmouth osiemnaście lat temu.

Stąd wniosek, że dziecko nie było ofiarą zatonięcia statku. Bez wątpienia zostało celowo zdane na łaskę fal!... To by tłumaczyło, dlaczego wszystkie moje ogłoszenia pozostały bez echa.

Tak czy inaczej, wypytawszy kolejno wszystkich armatorów lub właścicieli statków o nazwie „Cynthia” i wyczerpawszy wszelkie sposoby poszukiwań, mam podstawy sądzić, że nie ma już żadnych szans na odnalezienie rodziny Erika.

Musimy sobie teraz postawić pytanie, a szczególnie Pan, drogi Hersebom, co powie dzieć chłopcu i co dla niego uczynić.

Oświadczam Panu z całą szczerością, że na Pańskim miejscu powiedziałbym mu niezwłocznie całą prawdę i pozwolił podjąć samodzielną decyzję. Jak Pan pamięta, uzgodniliśmy wspólnie przyjąć tę linię postępowania w przypadku nieskuteczności mych poszukiwań. Nadeszła chwila dotrzymania słowa. Chciałem, aby Pan opowiedział wszystko Erikowi. Wracając do Noro nie wie jeszcze, że nie jest Waszym synem, nie wie też, czy wróci do Sztokholmu, czy zostanie z Wami. Teraz kolej na Pana, *maaster Hersebom*.

Proszę jednak nie zapominać, że jeśli uchyli się Pan od tego obowiązku, Erik może pewnego dnia przeżyć szok. Niech Pan też pamięta, że chłopca o tak niezwykłej inteligencji nie godzi się skazywać na życie w nędzy i ciemnocie. Taki wyrok byłby już niezasłużony dwa lata temu, a teraz, kiedy Erik odniósł tak wspaniałe sukcesy w Sztokholmie, wręcz niewybaczalny.

Ponawiam więc moją propozycję. Umożliwię mu ukończenie studiów i uzyskanie w Uppsali tytułu doktora medycyny; będzie nadal traktowany jak mój własny syn i otworzy się przed nim droga ku zaszczytom i dostatkowi.

Wiem, że zwracając się do Pana i wspaniałej przybranej matki Erika, oddaję jego los w dobre ręce. Jestem pewien, że żadne względy natury osobistej nie przeszkodzą Wam w przyjęciu mojej propozycji. Zasięgnijcie w tej sprawie opinii Malariususa. Oczekując na Pańską odpowiedź. Panie Hersebom, ściskam Pana serdecznie i proszę o przekazanie pozdrowień Pańskiej zacnej małżonce i Waszym dzieciom.

R. W. Schwaryencrona

Kiedy Hersebom skończył czytać, pani Katrina, która słuchała go płacząc, zapytała, co zamierza zrobić.

— To jasne — odparł. — Porozmawiam z chłopcem.

— Ja też tak myślę, i trzeba z tym wreszcie skończyć, bo inaczej nigdy nie zaznamy spokoju — wyszeptała, ocierając łzy, po czym oboje pogrążyli się w milczeniu.

Minęła północ, kiedy dzieci wróciły ze swej eskapady. Z zaróżowionymi od ruchu na

powietrzu policzkami, z błyszczącymi oczami, siadły przy kominku, by w blasku rzuca-
nym przez żarzącą się w wielkim polanie jamę wesoło zakończyć wigilię Bożego Naro-
dzenia, chrupiąc ostatnie ciasteczka.

VI. Erik podejmuje decyzję

Nazajutrz rybak przywołał Erika i w obecności pani Katriny, Vandy i Ottona powiedział mu:

— Eriku, list doktora Schwaryencrony rzeczywiście dotyczy ciebie. Pisze w nim, że w pełni ukontentowałeś nauczycieli i doktor gotów jest pokryć do końca koszty twojej nauki, jeśli ją masz kontynuować. Wymaga jednak, żebyś ty sam, z całą świadomością zdecydował, czy chcesz zmienić całkowicie swój los, czy zostać z nami w Nore, czego, jak się domyślasz, pragniemy najbardziej... W związku z tym muszę ci wyjawić wielki sekret, choć moja żona i ja wolelibyśmy zachować go dla siebie.

W tym momencie pani Katrina, nie mogąc dłużej powstrzymać łez, wybuchnęła płaczem i chwyciwszy rękę Erika przycisnęła ją do serca, jakby w odruchu protestu przeciwko temu, co chłopiec miał zaraz usłyszeć.

— Tym sekretem jest to — ciągnął Hersebm łamiącym się ze wzruszenia głosem — że jesteś tylko naszym przybranym synem!... Znalazłem cię na morzu, mój chłopcze, i przygarnąłem, gdy miałeś zaledwie osiem czy dziewięć miesięcy. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy powiedzieć ci o tym i że nigdy ani matka ani ja nie robiliśmy najmniejszej różnicy między tobą i Ottonem czy Wandą!... Ale doktor się tego domaga!... Przeczytaj sobie, co do mnie pisze!

Twarz Erika pokryła się śmiertelną bladością. Otto i Vanda, wstrząśnięci wiadomością, wydali kolejno okrzyki zdumienia i prawie zaraz uczynili jak ich matka. Otoczywszy ramionami szyję Erika, przytulili się mocno do niego, jedno z prawej, drugie z lewej strony. Erik wziął list doktora i nie starając się ukryć emocji, jakie wywoływała w nim lektura, przeczytał go do końca.

Maaster Hersebm powtórzył wtedy jeszcze raz szczegółowo to, co już mówił doktorowi. Opowiedział, jak pan Schwaryencrona wbił sobie do głowy, że znajdzie rodzinę Erika, i jak się na koniec okazało, że to jednak on, Hersebm, miał rację, nie dbając o rozwiązanie problemu niemożliwego do rozwiązania. Następnie pani Katrina wydobyla z dębowego kufra ubranka, które miało na sobie niemowlę, i pokazała grzechot-

kę zdjętą z jego szyi. Naturalnie opowiadanie nabrało zaraz dla trójki dzieci wymiaru przygody, zacierając płynącą z niego gorycz. Patrzyły oczarowane na koronki i aksamit, na złoto grzechotki i widniejącą na niej dewizę, i miały wrażenie, jakby znalazły się w środku toczącej się wokół baśni. Stwierdzona przez doktora niemożność praktycznego wykorzystania tych całkiem przecież realnych wskazówek nadawała im nawet posmaku świętości.

Erik przyglądał się wszystkiemu jak we śnie, a jego myśl ulatywała ku nie znanej matce, która zapewne sama go w to ubrała i nieraz musiała potrząsać tą właśnie grzechotką przed oczyma dziecka, by wywołać jego uśmiech. Wydawało mu się, gdy dotykał tych przedmiotów, że poprzez czas i przestrzeń łączy się z nią duchowo... Tylko gdzie była ta matka? Żyła jeszcze czy zginęła? Opłakiwała swego syna czy też ów syn powinien ją raczej uważać za utraconą na zawsze?...

Z zamyślenia wyrwała go dopiero pani Katrina, której jedno zdanie kazało mu podnieść zwieszoną dotąd na piersi głowę.

— Erik, ty wciąż jesteś naszym dzieckiem! — wykrzyknęła, zaniepokojona jego milczeniem.

Chłopiec powiódł wzrokiem po tych wszystkich dobrych i kochających twarzach, napotkał matczyne spojrzenie zacnej niewiasty, prawie oblicze Herseboma, twarz Ottona jeszcze serdeczniejszą niż zwykle, twarz Vandy — poważną i zasmuconą, a czytając w nich czułość i niepokój poczuł, jak kraje mu się serce.

Nagle wróciło poczucie rzeczywistości; ujrzał całą scenę tak, jak przedstawił mu ją ojciec: rzuconą na pastwę fal kołyskę, którą twardy rybak wyławia i po prostu przynosi żonie; biednych i skromnych ludzi przygarniających bez wahania obce dziecko, adoptujących je i kochających jak własne, nie wspominających nawet o tym wszystkim przez czternaście lat; a teraz ci sami ludzie zawisnęli wzrokiem na jego ustach, jakby w oczekiwaniu wyroku życia lub śmierci.

Wzruszyło go to do łez. Przemóżne uczucie wdzięczności i miłości zawładnęło całym jego jestestwem. Zapragnął i on poświęcić się, a zostając z nimi, przywiązując się na zawsze do nich i Nore, zadowalając się ich skromną dołą, oddać tym dobrym ludziom choć cząstkę owej ślepej czułości, jaką oni go obdarzali.

— Mamo — powiedział i rzucił się w ramiona Katriny. — Myślisz, że mógłbym się wahać, teraz, kiedy znam całą prawdę?... Napiszemy do doktora, żeby mu podziękować za wszystkie dobrodziejstwa i powiadomić, że zostaję!... Będę rybakiem jak ty, ojczu, jak ty, Otto!... Zrobiliście mi miejsce między wami — pozwólcie je zachować!... Wy karmiliście mnie z pracy waszych rąk; pragnę oddać wam na stare lata to, czym tak hojnie obdzieliliście mnie w dzieciństwie!

— Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknęła pani Katrina przyciskając Erika do serca w pełnym czułości radosnym uniesieniu.

— Zawsze wiedziałem, że chłopak woli morze od wszystkich książek! — rzekł po prostu maaster Hersebmom, nie zdając sobie sprawy z ofiary, jaką była podjęta przez Erika decyzja. — No to sprawa załatwiona!... Nie mówmy o tym więcej i pomyślmy raczej, jak spędzić wesoło Boże Narodzenie!

Łzy szczęścia zamgłiły im oczy, gdy ściskając się przysięgali, że już zawsze będą razem.

Kiedy Erik został sam, nie potrafił stłumić westchnienia na myśl o wszystkich swych marzeniach dotyczących pracy i sukcesach, z których trzeba mu było zrezygnować. Umiał jednak napawać się płynącą z wyrzeczenia radością.

— Jeśli takie jest życzenie moich przybranych rodziców — mówił sobie — cóż znaczy cała reszta? Muszę się z tym pogodzić i pracować dla nich tu, gdzie wyznaczył mi miejsce los i ich oddanie!... Czyż nie po to pragnąłem lepszego życia, aby je z nimi dzielić? Skoro jednak zadowoleni są z tego, co mają, i nie pragną niczego więcej, powinienem i ja poprzestać na tym, usiłując jedynie moim zachowaniem i pracą spełnić wszystkie ich oczekiwania. Żegnajcie więc, książki, i niech żyje morze!

A potem, wracając do wszystkiego, czego się dowiedział, zaczął znów zadawać sobie pytania, skąd się wziął na grzbietach fal, gdy całkiem małego znalazł go Hersebmom, gdzie była jego ojczyzna, kim byli rodzice... Czy jeszcze żyją?... Czy ma w jakimś odległym kraju braci lub siostry, których nie będzie mu dane poznać?

Także w Sztokholmie u doktora Schwaryencrony Boże Narodzenie stało się okazją do innych niż zwykle wieczornych rozmów. W tym dniu, jak pamiętamy, miało nastąpić rozstrzygnięcie zakładu między panem Bredejordem i jego znamienitym przyjacielem, a sędzią w sporze obrano profesora Hochstedta.

Od dwóch lat żaden z nich nie wyrzekł słowa na temat zakładu. Doktor cierpliwie prowadził poszukiwania w Anglii, pisywał do biur okrętowych, mnożył ogłoszenia w gazetach i daleki był od przyznania się do jałowości swych wysiłków. Natomiast Bredejord, z powściągliwością w najlepszym guście, unikał sprowadzania rozmowy na ten temat, zadowolając się, gdy tylko znalazł po temu okazję, robieniem delikatnych aluzji do urody jaśniejącego w bibliotece doktora egzemplarza Pliniusza, który wyszedł spod prasy Aldusa Manutiusa. W takich chwilach tylko szydercze postukiwanie koniuszkami palców w tabakierkę pozwalało zgadnąć, że myśli sobie:

— Ten Pliniusz będzie się nieźle prezentował między pierwszym weneckim wydaniem Kwintyliana a Horacym z szerokimi marginesami, wydanym przez braci Elzevirów na chińskim papierze!

Tak przynajmniej doktor interpretował na ogół ową pantomimę, która miała tę osobliwą właściwość, że grała mu na nerwach. W takie wieczory bywał szczególnie bezlitosny w wiście i niczego nie przepuszczał nieszczęsnemu partnerowi.

A czas mijał nieubłaganie i wreszcie wybiła godzina poddania sporu bezstronnemu arbitrażowi profesora Hochstedta.

Kiedy tylko Kajsa zostawiła ich samych, doktor Schwaryencrona otwarcie wyznał przyjacielom, jak to wcześniej uczynił w liście do Herseboma, iż jego poszukiwania nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Nie znalazł niczego, co mogłoby uchylić rąbka tajemnicy okrywającej pochodzenie Erika, i musiał szczerze przyznać, że owa zagadka wydaje mu się nie do rozwiązania.

— Niemniej — kontynuował — oddając sobie sprawiedliwość muszę oświadczyć z równą szczerością, iż w najmniejszym stopniu nie uważam, abym przegrał zakład. To prawda, nie znalazłem rodziny Erika, ale zebrane informacje raczej potwierdzają niż podważają moje wnioski. „Cynthia” jest lub była statkiem angielskim, skoro figuruje ich ponad siedemnaście w rejestrach Lloyda. W kwestii cech etnicznych nic się nie zmieniło: są nadal tak ewidentnie celtyckie jak dawniej. Mogę więc powiedzieć, że moja hipoteza co do pochodzenia Erika wyszła z próby zwycięsko. Dziś bardziej niż kiedykolwiek żywię przekonanie, że chłopiec jest Irlandczykiem, tak jak to przeczuwałem. Oczywiście nie jestem w stanie zmusić rodziny do ujawnienia się, jeżeli ma ona powody, by tego nie zrobić lub jeśli gdzieś przepadła... To wszystko, drogi profesorze, co mam do powiedzenia. Teraz niech pan sam powie, czy Kwintylian naszego przyjaciela Bredejorda nie powinien, zgodnie z prawem, znaleźć się w mojej bibliotece!

Na te słowa, które wyraźnie go ubawiły, adwokat opadł na oparcie fotela, wykonując nieznaczny ruch ręką, jakby chciał zaprotestować, po czym utkwiał swe małe błyszczące oczka w profesorze, ciekaw zobaczyć, jak też ów wybrnie z sytuacji.

Tymczasem profesor Hochstedt nie okazał spodziewanego zakłopotania. Byłby zakłopotany dopiero wówczas, gdyby jakiś argument nie do odparcia przytoczony przez doktora postawił go przed bolesną koniecznością wypowiedzenia się na korzyść jednej ze stron. Ostrożny i niezdecydowany z natury, wolał sprawy nie rozstrzygnięte. Był wówczas niezrównany w przedstawianiu kolejno wszystkich aspektów zagadnienia, pławiąc się w niedomówieniach jak ryba w wodzie. Toteż tego wieczoru stanął na wysokości zadania.

— Nie ulega wątpliwości — przemówił kiwając głową — iż w samym fakcie istnienia siedemnastu angielskich statków noszących miano „Cynthia” znajdujemy niezwykle ważką okoliczność przemawiającą na korzyść wniosku wyrażonego przez naszego znamienitego przyjaciela. Rzeczona okoliczność, skojarzona, jak to ma miejsce, z cechami etnicznymi podmiotu, jest oczywiście wielkiej wagi i nie waham się powiedzieć, iż wydaje mi się niemal decydująca. Nie widzę przeszkód, by wyznać, że gdybym miał wyrazić moją prywatną opinię na temat pochodzenia Erika, opinia ta byłaby następująca: według wszelkiego prawdopodobieństwa chodzi tu o pochodzenie irlandzkie!... Ale co innego prawdopodobieństwo, a co innego pewność. Pozwolę sobie zauważyć, że gdy

idzie o zakład, konieczna jednak jest pewność. Na nic zda się bowiem największe prawdopodobieństwo słuszności sądu Schwaryencrony — Bredejord zawsze może się powołać na brak niezbitego dowodu. Toteż nie widzę wystarczającego powodu, by uznać, iż doktor wygrał Kwintyliana ani że Pliniusz został przegrany!... Moim zdaniem, skoro kwestia nie została rozstrzygnięta, zakład należy anulować i będzie to najlepsze, co można zrobić w podobnym wypadku!

Jak wszystkie osądy odsyłające z kwitkiem skłócone strony, tak i ten, wydany przez profesora Hochstedta, nie wydawał się zadowalać żadnej z nich. Wykrzywiona w grymasie dolna warga doktora niedwuznacznie na to wskazywała. Natomiast Bredejord skoczył na równe nogi wołając:

— Hola, drogi Hochstedt, niech się pan tak nie spieszy z wnioskami!... Mówi pan, że Schwaryencrona nie ustalił wystarczająco faktu, który zresztą wydaje się panu prawdopodobny, wobec czego nie może pan uznać jego wygranej? Więc co by pan powiedział, gdybym udowodnił tu zaraz, że „Cynthia” nie była wcale angielskim statkiem?

— Co bym powiedział? — rzekł profesor, lekko zmieszany tym nagłym atakiem. — Na honor, nie wiem! Musiałbym przestudiować kwestię pod różnymi aspektami...

— No to niech ją pan sobie studiuje do woli! — odparował adwokat, zanurzając prawą rękę w wewnętrznej kieszeni surduta i wydobywając z niej portfel, aż portfela list w kanarkowej kopercie, od pierwszego rzutu oka wskazującej na amerykańskie pochodzenie. — Oto dokument, któremu nie odmówicie wartości — dorzucił, podtykając ów list przed oczy doktorowi, ten zaś przeczytał go na głos:

Do pana mecenasa Bredejorda, w Sztokholmie

Nowy Jork, 27 października

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na list Pana z dnia 5 bieżącego miesiąca spieszę powiadomić o tym, co następuje:

1° Statek o nazwie „Cynthia”, kapitan Barton, własność Głównej Kanadyjskiej Spółki Transportowej, zatonął z całą załogą i ładunkiem dokładnie czternaście lat temu w pobliżu *Wysp Owczych*;

2° Statek ten był ubezpieczony w General Steam Navigation Insurance Company w Nowym Jorku na sumę trzech milionów ośmiuset tysięcy dolarów;

3° Ponieważ zatonięcie „Cynthii” nie zostało wyjaśnione, a przyczyny katastrofy nie wydały się towarzystwu ubezpieczeniowemu wystarczająco zrozumiałe, wszczęto proces, przegrany przez właścicieli rzeczzonego statku;

4° Przegrana w procesie pociągnęła za sobą rozwiązanie Kanadyjskiej Spółki Transportowej, która na skutek likwidacji nie istnieje już od jedenastu lat.

Oczekując na nowe polecenia, łączę szczerze wyrazy szacunku.

Jeremy Smith, Walker i S-ka
agenci morscy

— No i co wy na to, panowie? — zapytał Bredejord, kiedy doktor ukończył czytanie.
— Zgodzicie się, że to dokument, który ma swoją wartość?

— Chętnie się z tym zgadzam — odrzekł doktor. — Ale jak, do diabła, pan go zdobył?!

— Najzwyczajniej w świecie. W dniu, kiedy mówił pan o „Cynthii” jako o statku bezsprzecznie angielskim, pomyślałem natychmiast, że zbyt ogranicza pan pole swych poszukiwań i że statek mógł być równie dobrze amerykański. Widząc, jak czas upływa, a pan do niczego nie dochodzi — bo w przeciwnym wypadku byłby nam pan coś powiedział — wpadłem na pomysł napisania do Nowego Jorku. Rezultat trzeciego listu leży przed panem. Ot, cała sztuka... Czy nie uważa pan, że uprawnia mnie on do wejścia w posiadanie pańskiego Pliniusza?

— Niekoniecznie — odparł doktor, który jeszcze raz czytał list po cichu, jakby szukał w nim nowych argumentów na poparcie swojej tezy.

— Jak to niekoniecznie?! — wykrzyknął adwokat. — Udowadniam panu, że statek był amerykański, że zatonął na wysokości Wysp Owczych dokładnie w okresie pojawienia się dziecka, a pan nie jest przekonany o swojej pomyłce?

— Ani trochę! Zechce pan zauważyć, drogi przyjacielu, że absolutnie nie neguję wielkiej wartości pańskiego dokumentu. Znalazł pan to, do czego ja nie byłem w stanie dotrzeć, prawdziwą „Cynthię”, która zatoneła w niewielkiej odległości od naszych wybrzeży, i to we właściwym okresie... Ale pozwoli pan, że zwrócę jego uwagę na fakt, iż to szczęśliwe odkrycie dokładnie potwierdza moją teorię. Bo przecież statek był kanadyjski, to znaczy angielski, a ponieważ pierwiastek irlandzki jest mocno rozpowszechniony w Kanadzie, mam odtąd jeszcze jeden dowód na to, że chłopiec jest pochodzenia irlandzkiego!

— Ach, więc tego się pan doczytał w moim liście! — wykrzyknął Bredejord, bardziej urażony, niż chciał okazać. — I niewątpliwie trwa pan w przekonaniu, iż nie przegrał swego Pliniusza?

— Oczywiście!

— Może nawet rości pan sobie jakieś prawa do mojego Kwintyliana?

— W każdym razie mam nadzieję nabyć je właśnie dzięki pańskiemu odkryciu, jeśli tylko zechce pan dać mi trochę czasu i odnowić zakład.

— Bardzo proszę! Ile potrzebuje pan czasu?

— Przyjmijmy jeszcze dwa lata licząc od dziś. Odłóżmy rozstrzygnięcie do drugich Świąt Bożego Narodzenia!

— Załatwione! — odrzekł Bredejord. — Ale zapewniam pana, iż równie dobrze

mógłby pan zaraz przesłać mi pańskiego Pliniusza!

— Co to, to nie! Zbyt pięknie będzie wyglądał w mojej bibliotece obok pańskiego Kwintyliana!

VII. Zdaniem Vandy

Początkowo Erik, z duszą przepojoną żarliwością wyrzeczenia, rzucił się na złamanie karku w wir życia rybaka, próbując w dobrej wierze zapomnieć, że zaznał innego. Wstawał zawsze pierwszy, pierwszy też przygotowywał łódź przybranego ojca i wszystko tak urządził, by Hersebomowi pozostało tylko ująć ster i wypłynąć. Gdy nie było wiatru, Erik chwycił za ciężkie wiosła i machał nimi z zapalem; zdawał się wyszukiwać najtrudniejsze i najbardziej męczące zajęcia. Nic go nie odstraszało, ani długie stanie w beczce o podwójnym dnie, gdzie poławiacz dorszy czeka, aż ryba złapie się na wędkę, ani rozmaite czynności związane, z oporządzaniem zdobyczy — począwszy od usunięcia języka, zaliczanego do najdelikatniejszych kasków, poprzez oddzielenie głowy i ości, a kończąc na wrzuceniu ryby do zbiornika, w którym przejdzie pierwsze nasolenie. Jakakolwiek była to praca, Erik wykonywał ją nie tylko sumiennie, ale wręcz z pasją. Swym przykładaniem się do najdrobniejszych szczegółów zawodu wprawiał Ottona w zdumienie.

— Jakże musiałeś cierpieć w mieście! — mawiał do niego prostodusznie dzielny chłopiec. — Wydajesz się być w swoim żywiole tylko wtedy, gdy wypłyniesz z fiordu i wyjedziesz na pełne morze!

Prawie zawsze, gdy rozmowa szła w tym kierunku, Erik milczał. Kiedy indziej przeciwnie, sam poruszał ten temat, próbując udowodnić Ottonowi, a raczej samemu sobie, że nie ma życia piękniejszego.

— I ja tak myślę — mówił tamten, uśmiechając się łagodnie jak zawsze.

A biedny Erik odwracał się, tłumiąc westchnienie.

Bo prawda była taka, że okrutnie cierpiał z powodu rezygnacji ze studiów i skazania na pracę czysto fizyczną. Kiedy nachodziły go takie myśli, starał się je ze wszystkich sił oddalić i niejako walczył z nimi pierś w pierś. Lecz mimo to czuł, jak ogarnia go żal i gorycz. Za nic w świecie nie chciał dać poznać po sobie zniechęcenia, toteż skrywał je głęboko i tym dotkliwiej cierpiał. Katastrofa, która wydarzyła się na początku wiosny, nadała tym zmartwieniom jeszcze ostrzejszy charakter.

Owego dnia w szopie było dużo roboty przy układaniu w stosy solonych dorszy. Ma-ster Hersebm, powierzwszy ją Erikowi i Ottonowi, wypłynął sam na połów. Było wyjątkowo szaro i ponuro jak na tę porę roku. Energicznie ruszający się chłopcy wkrótce zauważyli, jak szczególnie męcząca wydaje im się ta praca, a wszystkie przedmioty wokół nich cięższe niż zwykle, z powietrzem włącznie.

— Dziwne to — rzekł Erik — w uszach mi szumi, jakbym się znajdował w balonie na wysokości czterech czy pięciu tysięcy metrów!

I prawie zaraz puścił mu się krwotok z nosa. Otto miał podobne objawy, choć nie umiał ich tak dokładnie zdefiniować.

— Przypuszczam, że ciśnienie musi być osobliwie niskie — podjął Erik. — Gdybym miał czas, pobiegłbym do pana Malariusza i zbadał to.

— Masz mnóstwo czasu — odrzekł Otto. — Zobacz, prawie skończyliśmy, a nawet jak się zaszedzisz, bez trudu dam sobie radę sam!

— W takim razie lecę! — powiedział Erik. — Nie wiem, dlaczego stan atmosfery mnie tak niepokoi... Chciałbym mieć pewność, że ojciec już wrócił!

Po drodze do szkoły spotkał Malariusza.

— No, jesteś Eriku — rzekł do niego nauczyciel. — Cieszę się, że cię widzę, bo przynajmniej wiem, że nie jesteś na morzu. Szedłem właśnie dowiedzieć się o to... W ciągu ostatniej pół godziny barometr spadł w tak szybkim tempie... Nigdy czegoś podobnego nie widziałem! W tej chwili jest siedemset osiemnaście milimetrów. Będziemy na pewno mieli zmianę pogody!

Jeszcze nie skończył mówić, gdy rozległ się daleki pomruk, a zaraz po nim złowróżbny świst rozdarł przestworza. Niebo, które niemal natychmiast pokryło się od zachodu atramentowoczarną chmurą, ściemniało się ze wszystkich stron z niebywałą prędkością. Zapanowała całkowita cisza. Nagle gwałtowny podmuch wiatru porwał z ziemi liście drzew, zdźbła słomy, ziarenka piasku, kamyki. Nadciągał huragan, który wkrótce rozpętał się z niesłychaną siłą. Kominy, okiennice, a gdzieniegdzie nawet całe dachy ułatywały jak piórka na wietrze, waliły się domy, rozlatywały szopy. Olbrzymie fale, rozbijając się o brzeg z ogłuszającym łoskotem, wypełniły fiord, zwykle spokojny jak studnia nawet podczas najstraszniejszych sztormów na pełnym morzu.

Huragan szalał przez godzinę, po czym odbiwszy się od wysokich norweskich szczytów uderzył na południe i nawiedził kontynent europejski. Odnotowano go w annałach meteorologii jako jeden z najniezwyklejszych i najstraszliwszych, jakie kiedykolwiek przebyły Atlantyk.

Dzięki telegrafowi wieść o tych wielkich ruchach mas powietrza najczęściej wyprzedza je; toteż większość portów Europy miała na szczęście dość czasu, aby uprzedzić wpływające lub źle zakotwiczone statki o zbliżającej się nawałnicy. Złagodziło to w pewnej mierze jej tragiczne skutki. Lecz u mało uczęszczanych wybrzeży, w rybackich wio-

skach i na pełnym morzu doszło do niezliczonych katastrof. Samo tylko biuro „Veritas” we Francji i Lloyd w Anglii odnotowały ich nie mniej niż siedemset trzydzieści.

W tym fatalnym dniu cała rodzina Herseboomów, jak tysiące innych rybackich rodzin, myślała przede wszystkim o tym, który był na morzu. Maaster Herseboom wypływał najczęściej ku zachodniemu wybrzeżu dość dużej wyspy, odległej jakieś dwie mile od wejścia do fiordu, tej samej, w pobliżu której znalazł Erika. Wziąwszy pod uwagę godzinę rozpętania się burzy można było żywić nadzieję, że udało mu się na czas znaleźć bezpieczne schronienie, choćby osadzając łódź na niskim, piaszczystym brzegu. Lecz niepokój nie pozwalał Erikowi i Ottonowi czekać do wieczora na potwierdzenie słuszności takiej hipotezy.

Gdy tylko fiord uspokoił się po przejściu huraganu, poprosili jednego z sąsiadów o pożyczenie łodzi, by wypłynąć na poszukiwania. Pan Malarius koniecznie chciał im w tej wyprawie towarzyszyć. Wyruszyli więc we trójkę, odprowadzani niespokojnym spojrzeniem pani Katriny i jej córki.

Choć w fiordzie wiatr prawie się uspokoił, wiał jednak z zachodu i trzeba było użyć wiosła, by dotrzeć do przesmyku, co zabrało ponad godzinę.

Dotarłszy tam, natknęli się na nieoczekiwaną przeszkodę. Na morzu wciąż jeszcze szalała burza i fale, rozbijając się o wysepkę zamykającą wejście do fiordu, tworzyły dwa prądy, które łącząc się z jej drugiej strony, wpadały z impetem w zwężenie przesmyku jak do leja. Nie można było nawet marzyć o przebyciu go w takich warunkach; parowiec miałby z tym kłopoty, a co dopiero płynąca pod wiatr łódź poruszana wiosłami.

Trzeba było wrócić do Nore i czekać.

Minęła zwykła godzina powrotu, a Herseboma nie było. Lecz nie wrócili także inni rybacy, którzy wypłynęli tego dnia. Można więc było mieć nadzieję, że nie doszło do nieszczęścia, że to jakaś wspólna przeszkoda zatrzymała ich poza fiordem. Niemniej we wszystkich domach, w których kogoś brakowało, panował tego wieczoru głęboki smutek. I w miarę, jak upływała noc, a nieobecni się nie zjawiali, niepokój wzrastał. U Herseboomów nikt nie poszedł spać. Długie godziny oczekiwania spędzono przy kominku, w ciszy i przygnębieniu.

Wprawdzie w marcu na tej szerokości geograficznej dzień wstaje jeszcze dość późno, ale rano przyniósł piękną, słoneczną pogodę. Lądowa bryza wiała w stronę pełnego morza, co pozwalało żywić nadzieję na przebycie przesmyku. Prawdziwa flotylla, uformowana ze wszystkich będących w Nore do dyspozycji statków, przygotowywała się właśnie do wypłynięcia na poszukiwania, kiedy kilka łodzi pojawiło się od strony cieśniny i wkrótce przybiło do wioski.

Były to łodzie, które wyszły w morze poprzedniego dnia, jeszcze przed huraganem. Wróciły wszystkie, oprócz łodzi Herseboma.

Nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nim stało. Wyjątek ten był tym bardziej niepo-

kojący, że przecież wszyscy rybacy narażeni byli na równie wielkie niebezpieczeństwa. Ci, których nawałnica zaskoczyła na morzu, zostali zepchnięci w kierunku brzegu. Ich łodzie osiadły na mieliźnie. Inni zdążyli się schronić w małych, osłoniętych od huraganu zatoczkach. Tylko niewielu znalazło się na lądzie w krytycznym momencie.

Zdecydowano, że skoro flotylla gotowa jest do wyjścia w morze, to popłynie na poszukiwanie brakującego rybaka. Pan Malarius i tym razem pragnął uczestniczyć w wyprawie razem z Erikiem i Ottonem. Zgodę na dołączenie do nich otrzymała także pewna wielka, żółta bestia, która aż rwała się do drogi. Był to Klaas, grenlandzki pies, przywieziony przez Herseboma z podróży do przylądka Farvel.

Po wyjściu z przesmyku statki rozproszyły się, jedne na prawo, drugie na lewo, aby spenetrować brzegi niezliczonych wysp, rozsianych w okolicach fiordu Nore jak wzdłuż całego wybrzeża norweskiego.

Kiedy w południe, zgodnie z umową, zgromadziły się przy południowym cyplu przesmyku, okazało się, że nie odnaleziono żadnych śladów Herseboma. Ponieważ poszukiwania prowadzone były starannie, wszyscy orzekli, że niestety, nie pozostało nic innego, jak wrócić.

Jednak Erik nie chciał dać za wygraną ani wyrzec się tak łatwo wszelkiej nadziei. Oświadczył, że teraz, gdy przetrząsnęto wyspy południowe, chciałby zbadać północne. Pan Malarius i Otto poparli jego prośbę. Zadośćuczyniono więc ich pragnieniu i zostawiono im łatwą do manewrowania jolkę, by mogli jeszcze raz przeszukać okolice, po czym pożegnano się.

Ich nieustępliwość miała być nagrodzona. Około drugiej, kiedy łódź płynęła wzdłuż sąsiadującej ze stałym lądem wysepki, Klaas zaczął nagle gwałtownie ujadać. Zanim się spostrzegli, wskoczył do wody i popłynął w stronę raf.

Erik i Otto powiosłowali z całych sił w tym samym kierunku. Wkrótce ujrzeli, jak pies dopłynąwszy do brzegu wysepki krąży wyjąc wokół czegoś, co kształtem przypominało wyciągniętego na szarej skale człowieka.

Gdy i oni przybili do brzegu, okazało się, że istotnie był to człowiek i że ten człowiek to Herseboom!... Herseboom cały we krwi, błydy, nieruchomy i zimny, bez ducha — martwy może!... Klaas skamłając lizał mu dłonie.

Erik rzucił się na klęczki obok tego zimnego jak lód ciała i przyłożył ucho do jego piersi.

— Żyje!... Słyszę bicie serca! — wykrzyknął.

Pan Malarius, który ujął rękę Herseboma w poszukiwaniu pulsu, potrząsnął smutno głową na znak powątpiewania, jednak postanowił spróbować wszystkich zalecanych w podobnych przypadkach środków. Odwinąwszy szeroki wełniany pas, który nosił wokół krzyża, podarł go na trzy kawałki, dał po jednym każdemu ze swych młodych przyjaciół i wspólnie zabrali się do energicznego rozcierania piersi, nóg i rąk rybaka.

Wkrótce stało się widoczne, że ta prosta kuracja dała efekty i pobudziła krążenie. Bicie serca stało się wyraźniejsze, pierś uniosła się, a z ust wydobył się słaby oddech... Wreszcie maaster Herseboom odzyskał przytomność i wydał niewyraźny jęk.

Wtedy pan Malarius i chłopcy podnieśli go z ziemi i spiesznie zabrali do łodzi. Kiedy kładli go na posłaniu z żagli, otworzył oczy i wyszeptał:

— Pić...

Erik przyłożył mu do ust butelkę brandevinu. Hersebom pociągnął z niej łyk, a jego serdeczne, pełne wdzięczności spojrzenie wskazywało, że ma świadomość tego, co się z nim dzieje. Wkrótce jednak zmęczenie wzięło górę i zapadł w sen przypominający letarg.

Uznawszy słusznie, że najlepsze, co mogą zrobić, to jak najprędzej wrócić do domu, jego wybawcy chwycili znów za wiosła i pomknęli ku przesmykowi, a stamtąd, wspomagani wiatrem, do Noro.

Przeniesiony do łóżka i obłożony okładami z arniki górskiej, pokrzepiony bulionem i szklaneczką piwa, maaster Hersebom ostatecznie przyszedł do siebie. Nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń, miał tylko złamane przedramię, a także stłuczenia i okaleczenia na całym ciele. Mimo to Malarius kazał mu wypoczywać i nie męczyć się rozmową. Zasnął więc spokojnie.

Dopiero nazajutrz pozwolono mu w kilku słowach opowiedzieć, co się zdarzyło.

Sztorm zaskoczył go w chwili, gdy stawiał żagiel, by wrócić do Nore. Rzucona na rafy wysepki łódź rozbiła się w drobny mak, a szczątki porwała burza. On sam rzucił się do morza na kilka sekund przed katastrofą, aby uniknąć tego strasznego zderzenia, lecz niewiele brakowało, a roztrzaskałby się o skały. Z największym trudem udało mu się wyczołgać poza zasięg fal. Wyczerpany, ze złamaną ręką i ciałem pokrytym krwawymi wybroczynami, leżał bez sił i nie wiedział, co się z nim dzieło przez te dwadzieścia cztery godziny oczekiwania; prawdopodobnie to majaczył w gorączce, to tracił przytomność.

Teraz, gdy minęło niebezpieczeństwo, zaczął zamartwiać się utratą łodzi i ręką unieruchomioną w łubkach. Co się z nim stanie, nawet jeśli po ośmiu czy dziesięciu tygodniach będzie mógł jeszcze posługiwać się ręką, skoro łódź — jedyny kapitał rodziny — przepadła z podmuchem wiatru? Zgodzić się do pracy u kogoś nie było łatwo w jego wieku. I czy w ogóle znalazłby pracę? Było to co najmniej wątpliwe, bo nikt w Nore nie zatrudniał pomocników, a fabryka musiała niedawno zredukować swój personel.

Takie oto gorzkie myśli snuły się po głowie Hersebomowi już wtedy, gdy leżał na łożu boleści, a wzmogły się, kiedy na tyle wydobrał, że mógł zasiąść z ręką na temblaku w swym wielkim fotelu.

W oczekiwaniu na jego całkowite wyzdrowienie, rodzina żyła z ostatnich rezerw i solonych dorszy, które miała jeszcze na składzie. Ale przyszłość malowała się w ciemnych barwach i nikt nie wiedział, jak można to zmienić.

Grożąca nędza nadała wkrótce nowy bieg rozmyśleniom Erika. Przez pierwsze dwa lub trzy dni radość z uratowania życia Hersebomowi — bo przecież gorącemu oddaniu

Erika je zawdzięczał — zajmowała całkowicie jego myśli. Jakże miał nie być dumny, kiedy widział łzy wdzięczności w oczach pani Katriny czy Vandy, gdy ich spojrzenia spoczywały na nim, jakby chciały powiedzieć:

— Kochany Eriku, ojciec wyratował cię z fal, ty za to wydarłeś go śmierci!

Nie mógł sobie wymarzyć lepszej zapłaty za wyrzeczenie, jakim było skazanie się na życie rybaka. Czyż mogła istnieć myśl słodsza i bardziej budująca nad świadomość, że oto odwdzieczył się za wszystkie dobrodziejstwa, jakich doznał od swej przybranej rodziny?

Lecz ta rodzina, która tak wielkodusznie dzieliła z nim dotąd owoce swej pracy, znalazła się teraz u progu nędzy. Czy miał nadal być dla nich ciężarem? Czy nie należało raczej wszelkimi sposobami przyjść im z pomocą?

Erik miał pełną świadomość swego obowiązku. Wahał się tylko, jak postąpić: czy wyjechać do Bergen i zamustrować się jako marynarz, czy też znaleźć inny sposób, aby się stać pomocnym od zaraz.

Pewnego dnia podzielił się swymi wątpliwościami z panem Malariuszem, który wysłuchawszy go uznał wprawdzie jego racje, jednak zaprotestował przeciwko pracy na statku.

— Rozumiałem jeszcze, choć z bólem serca — powiedział — że zdecydowałeś się pozostać tutaj, aby dzielić los twych przybranych rodziców. Lecz nie rozumiem, jak mógłbyś z dala od nich skazać się na zawód bez przyszłości, kiedy doktor Schwaryencrona gotów jest otworzyć przed tobą drogę do kariery w wolnym zawodzie! Zastanów się, mój drogi chłopcze, zanim podejmiesz taką decyzję!

Nie powiedział mu jednak, że napisał już do Sztokholmu, powiadamiając doktora o sytuacji, w jakiej znalazła się rodzina Erika na skutek huraganu w dniu 3 marca. To też nie zdziwił się, gdy trzy dni później otrzymał list, który zresztą natychmiast przekazał Hersebomom. Oto jego treść:

Sztokholm, 17 marca

Drogi Malariusie,

Dziękuję Ci serdecznie za powiadomienie mnie o smutnych konsekwencjach, jakie dla zacnego Herseboma miot huragan z 3 b.m. Jestem szczęśliwy i dumny, że Erik, jak zawsze, tak i w tych okolicznościach, postąpił jak przystało na dzielnego chłopca i oddanego syna. Załączam pięćset koron z prośbą, byś przekazał je ode mnie Erikowi. Powiedz mu, że jeśli to nie wystarczy na kupno w Bergen najlepszej łodzi rybackiej, ma mnie bezzwłocznie zawiadomić. Niech nada jej miano „Cynthia” i podaruje Hersebomowi na pamiątkę od syna. A potem, jeśli tylko zechce mi zaufać, mógłby wrócić do mnie do Sztokholmu i podjąć studia. Jego miejsce w moim domu jest wolne, a na wypadek gdyby potrzebny był jakiś argument, by skłonić go do powrotu, dodam, że posia-

dam obecnie pewne dane i mam nadzieję na przeniknięcie tajemnicy jego pochodzenia.

Twój zawsze szczerze oddany przyjaciel

R. W. Schwaryencrona

Nietrudno zgadnąć, z jaką radością został przyjęty ten list. Kierując swój dar do Erika, doktor wykazał się znajomością charakteru starego rybaka. Było mało prawdopodobne, by maaster przyjął łódź ofiarowaną bezpośrednio jemu. Ale jak nie przyjąć jej od swego przybranego syna, jeśli w dodatku nosić ma imię „Cynthia”, które przypomina, jak Erik wszedł do rodziny!...

Była jednak i druga strona medalu, a myśl o tym zachmurzyła wszystkie czoła: oto Erik miał znów wyjechać! Nikt nie ośmielił się na ten temat mówić, choć wszyscy o tym myśleli. Sam Erik, z głową zwieszoną na piersi, przeżywał wewnętrzne rozdarcie między dwoma równie naturalnymi pragnieniami: z jednej strony chciał ku zadowoleniu doktora zrealizować ciche życzenie swego serca, z drugiej nie chciał sprawić bólu przybranym rodzicom.

Wreszcie Vanda wzięła na siebie przełamanie zmowy milczenia.

— Eriku — powiedziała swym słodkim a poważnym głosem — nie możesz odmówić doktorowi po takim liście. Nie możesz, bo byłoby to jednocześnie okazaniem mu niewdzięczności i grzechem przeciwko sobie samemu! Twoje miejsce jest wśród uczonych, nie wśród rybaków! Od dawna jestem tego zdania, a ponieważ nikt nie ma śmiałości powiedzieć ci o tym, więc ja to czynię!

— Vanda ma rację — wykrzyknął Malarius z uśmiechem.

— Vanda ma rację — powtórzyła pani Katrina, ocierając łzę.

I tak oto, po raz drugi, wyjazd Erika został postanowiony.

VIII. Patrick O'Donoghhan

To, czego dowiedział się doktor Schwaryencrona, nie miało zbyt wielkiego znaczenia, ale mogło w końcu naprowadzić na jakiś ślad.

Znał nazwisko byłego dyrektora Kanadyjskiej Spółki Transportowej. Był nim pan Joshua Churchill.

Niestety, nie wiadomo było, co się z nim stało po likwidacji Spółki, toteż poszukiwania poszły naturalnie w tym kierunku. Niech tylko znajdzie się Joshua Churchill, a pewnie przez niego uda się dotrzeć do starych rejestrów Spółki i uzyskać w ten sposób listę pasażerów „Cynthii”. Dziecko powinno tam figurować wraz z rodziną lub osobami obciążonymi opieką nad nim. Od tej chwili pole poszukiwań zostałoby znacznie ograniczone. Takiej rady udzielił radca prawny, który niegdyś miał te rejestry w ręce jako likwidator Spółki. Nie wiedział jednak, co działo się z Joshua Churchillem przez ostatnie dziesięć lat.

Krótko trwała radość doktora, gdy odkrył, że dzienniki amerykańskie mają zwyczaj publikowania list pasażerów zaokrętowanych do Europy. Powiedział sobie wtedy, że wystarczy prawdopodobnie przejrzeć rocznik starych gazet, by odnaleźć listę „Cynthii”. Lecz w praktyce hipoteza okazała się mylna — zwyczaj publikowania list istniał bowiem od niedawna, od kilku zaledwie lat. Niemniej stare gazety przydały się do czegoś: podawały dokładną datę wypłynięcia „Cynthii”, która 3 listopada opuściła nie port kanadyjski, jak początkowo sądzono, lecz port nowojorski, by udać się do Hamburga.

Toteż doktor zlecił zbieranie informacji najpierw w Hamburgu, a potem w Stanach Zjednoczonych.

Z Hamburga nie przyszło prawie nic. Konsygnatariusze Kanadyjskiej Spółki Transportowej nie potrafili niczego powiedzieć o pasażerach „Cynthii”, mogli co najwyżej podać rodzaj frachtu, a to już było wiadome.

Erik od sześciu miesięcy był w Sztokholmie, kiedy wreszcie przyszła wiadomość z Nowego Jorku, że były dyrektor Joshua Churchill wyzionął ducha siedem lat wcześniej w szpitalu przy Dziewiątej Alei, nie pozostawiając ani spadkobierców, ani, jak się

wydaje, spadku. Co do rejestrów Spółki, to zostały bez wątpienia już dawno sprzedane jako makulatura i zamienione na tutki przez nowojorskich handlarzy tytoniu.

Ślad prowadził więc donikąd, a jedynym rezultatem tego długiego dochodzenia było sprowokowanie pana Bredejorda do wygłoszenia kilku sarkastycznych uwag pod adresem przyjaciela, które choć w gruncie rzeczy całkiem nieszkodliwe, boleśnie zraniły jego miłość własną.

Historia Erika była teraz powszechnie znana w domu doktora. Nie krępowano się już mówić o niej otwarcie, a wszystkie fazy dochodzenia były dyskutowane przy stole i w salonie. Chyba słuszniej postępował doktor przez pierwsze dwa lata, utrzymując całą sprawę w tajemnicy, teraz bowiem stała się ona pożywką dla paplaniny pani Grety i Kajsy, a także dla rozmyślań samego Erika. Rozmyślenia te zaś były często bardzo smutne.

Nie znać swoich rodziców, nie wiedzieć, czy jeszcze żyją, mieć świadomość, że być może nigdy nie przeniknie tajemnicy swego pochodzenia, było już samo w sobie rzeczą trudną. Najsmutniejsze było jednak to, że nie wiedział, jaki kraj jest jego ojczyzną.

— Najbiedniejsze dziecko ulicy, najnędzniejszy wieśniak wie przynajmniej, do jakiego kraju, do której z wielkich ludzkich rodzin należy! — mówił sobie czasami, gdy myślał o tych sprawach. — A ja tego nie wiem! Jestem jak rozbitek na ziemskim globie, jak pyłek kurzu przyniesiony przez wiatr nie wiadomo skąd! Nie mam korzeni, nie mam tradycji, nie mam przeszłości! Ziemia, gdzie urodziła się moja matka, gdzie spoczywają lub spoczną jej kości, może zostać zhańbiona i zdeptana przez wroga, a mnie nie będzie dane jej bronić, przelać dla niej krew!

Myśl ta zasmucała biednego Erika. W takich chwilach na próżno mówił sobie, że znalazł matkę w pani Katrinie, rodzinny dom u Herseboma, ojczyznę w Noro; na próżno przysięgał sobie, że po stokroć zwróci im te dobrodziejstwa i będzie najbardziej oddanym synem Norwegii — czuł, że jest w sytuacji wyjątkowej.

Różnice fizyczne między nim a otoczeniem, kolor oczu, cera — przelotnie dostrzeżone w lustrze, w szybie sklepowej — wszystko budziło w nim co chwila te bolesne refleksje. Czasami zastanawiał się, który kraj wybrałby na swą ojczyznę, gdyby mógł wybierać. Studiował pod tym kątem historię i geografę, dokonywał przeglądu kultur i narodów. Pewnym pocieszeniem było dla niego, że przynajmniej jedno może sobie powiedzieć: jest z rasy celtyckiej, i szukał w książkach potwierdzenia faktu stwierdzonego przez doktora.

Ale kiedy ów powtarzał mu, że jego zdaniem Erik jest na pewno Irlandczykiem, chłopiec czuł, jak kraje mu się serce. Jak to! Czy ze wszystkich ludów celtyckich trzeba było mu wybrać najbardziej ciemniejszy?... Gdyby tylko miał na to niepodważalny dowód, oczywiście kochałby tę nieszczęśliwą ojczyznę tak, jak kochałby największą i najznakomitszą! Jednak tego dowodu nie było! Dlaczegoż nie miałby na przykład być Francu-

zem?... We Francji też są Celtowie!... Taką ojczyznę chciałby mieć, z jej wspaniałymi tradycjami, dramatyczną historią i plennymi prawami, które zaszczerpiła światu! Och, jak żarliwie kochałby taką ojczyznę i służył jej ze wszystkich sił!... Jakże byłby dumny, że do niej przynależy! Z jaką synowską miłością studiowałby jej chwalebne kroniki, czytał książki jej pisarzy, podziwiał dzieła artystów!... Niestety! Właśnie ten rodzaj wrażeń miał dla niego pozostać niedostępny na zawsze!... Dobrze wiedział, że problem jego pochodzenia nigdy nie zostanie rozwiązany, skoro tyle poszukiwań nie dało żadnych rezultatów!

A jednak wydawało się Erikowi, że gdyby tak osobiście sięgnął do źródeł już uzyskanych informacji, sam zbadał na miejscu nowe ślady, które mogą się jeszcze pojawić, może udałoby mu się coś osiągnąć. Czego nie potrafiły dokonać starania wynajętych agentów, mogła zdziałać jego własna aktywność, poparta wniesionym zapałem i wolą zwycięstwa, których nic przecież nie zastąpi!

Ta prześladowająca go myśl wpłynęła niepostrzeżenie a bardzo wyraźnie na jego działania i nadała im, niemal bez jego wiedzy, specjalny kierunek. Jakby to było z góry postanowione, że musi podróżować, zaczął dogłębnie studiować kosmografię, geografię, sztukę żeglowania, cały program szkół morskich.

— Któregoś dnia — mawiał sobie — zdam egzamin na kapitana żeglugi wielkiej, a wtedy będę mógł, na własny koszt, popłynąć do Nowego Jorku i podjąć dochodzenie w sprawie „Cynthii”!

W rozmowach siłą rzeczy Erik z całą młodzieńczą pasją rozwijał swój projekt osobistych poszukiwań.

Na koniec doktor Schwaryencrona, mecenas Bredejord i profesor Hochstedt prześląknęli nim do tego stopnia, że przyjęli go za własny, albowiem kwestia pochodzenia Erika, która początkowo była dla nich wyłącznie interesującym problemem, coraz bardziej ich pasjonowała. Widzieli, jak bardzo Erik wziął ją sobie do serca, a ponieważ kochali go szczerze, byli gotowi zrobić wszystko, by rzucić nieco światła na tę tajemniczą sprawę.

I tak oto pewnego pięknego wieczoru zrodził się pomysł wspólnego wyjazdu na wakacyjną wycieczkę do Nowego Jorku, by sprawdzić osobiście, czy nie dałoby się dowiedzieć czegoś jeszcze na podstawie tego, co już wiedzieli.

Kto pierwszy wpadł na ów pomysł? Kwestia ta pozostała nie wyjaśniona i stała się przedmiotem sporów między doktorem i Bredejordem, każdy z nich bowiem rościł sobie pretensje do pierwszeństwa. Prawdopodobnie wpadli nań jednocześnie, gdyż Erik, pielęgnując go nieustannie, musiał przesycać nim atmosferę. Najważniejsze jednak, że projekt przybrał realne kształty, został ostatecznie przyjęty i we wrześniu następnego roku Erik i trójka przyjaciół zaokrętowali się w Chrystianii* na statek płynący do Sta-

*Christiania — obecnie Oslo

nów Zjednoczonych.

Dziesięć dni później byli już w Nowym Jorku, gdzie nie zwlekając nawiązali kontakt z firmą Jeremy Smith, Walker i S-ka, skąd przyszły pierwsze informacje.

Od tej chwili włączył się do gry nowy czynnik, którego mocy nikt jeszcze nie podejrzewał. Była nim osobista aktywność Erika. W Nowym Jorku i Stanach Zjednoczonych, we wszystkich tak nie znanych mu przecież widokach, zauważał głównie to, co mogło pozostawać w związku z przedmiotem jego poszukiwań. Zrywał się o świcie, biegł do portu, chodził wzdłuż nabrzeży, docierał nawet do statków na redzie, zbierając bez wyczerpania najdrobniejsze informacje.

— Czy znał pan Kanadyjską Spółkę Transportową? Czy mógłby mi pan wskazać jakiegoś oficera, pasażera czy marynarza, który pływał na „Cynthii”? — rozpytywał się wszędzie.

Dzięki swej doskonałej znajomości angielskiego, miłej i poważnej twarzy, obeznaniu we wszystkich morskich sprawach, był wszędzie dobrze przyjmowany. Wskazano mu kolejno kilku dawnych oficerów, marynarzy lub urzędników Kanadyjskiej Spółki Transportowej. Niektórych zdołał odszukać, po innych ślad zaginął. Ale żaden z nich nie potrafił udzielić mu istotnych informacji o ostatnim rejsie „Cynthii”. Dopiero po dwóch tygodniach nieprzerwanych poszukiwań, chodzenia tu i tam, dotarł do informacji, która swoją precyzją odcinała się od beładnej masy często sprzecznych wiadomości, jakie udało mu się dotąd zebrać. Informacja ta doprawdy wydawała się na wagę złota.

Okazało się bowiem, że pewien marynarz, niejaki Patrick O’Donoghon, przeżył zatonięcie „Cynthii” i nawet powracał kilkakrotnie do Nowego Jorku od czasu katastrofy. Tenże Patrick O’Donoghon służył, jak mówiono, jako chłopiec okrętowy na pokładzie „Cynthii” w czasie ostatniego rejsu tego statku. Przydzielony był do służby kapitana i według wszelkiego prawdopodobieństwa, znał pasażerów pierwszej klasy, którzy jadaliby zawsze przy stole na rufie. Sądząc po wykwinotności ubranek, dziecko przywiązane do koła ratunkowego „Cynthii” należało bez wątpienia do tej kategorii podróżnych. Odnalezienie marynarza mogło mieć kapitalne znaczenie.

Do takiego wniosku doszli doktor i Bredejord, kiedy Erik, wróciwszy na kolację do hotelu przy Piątej Alei, podzielił się z nimi swym odkryciem. Zresztą prawie zaraz rozmowa zbieczyła z głównego toru, doktor bowiem usiłował wyciągnąć z tego nowego elementu dowód na poparcie swojej ulubionej tezy.

— Jeśli kiedykolwiek jakieś nazwisko było irlandzkie — wykrzyknął — to właśnie to: Patrick O’Donoghon!... A nie mówiłem, że Irlandia łączy się ze sprawą Erika?

— Jak dotąd wcale tego nie widzę — odparł uśmiechając się Bredejord. — Irlandzki chłopiec na pokładzie niczego wielkiego nie dowodzi, trudniej obyłoby, jak sądzę, znaleźć amerykański statek, który by nie miał w swej załodze syna Zielonej Wyspy!

Było o co przekomarzać się przez dwie, trzy godziny, co też się stało. Od owego dnia

Erik skoncentrował wszystkie swe wysiłki na tym jednym celu: odnaleźć Patricka O'Donoghana!

Co prawda nie udało mu się to, ale dzięki nieustannemu szukaniu i rozpytywaniu trafił na nabrzeżu rzeki Hudson na marynarza, który znał rzeczoną osobę i mógł podać kilka szczegółów. Patrick O'Donoghan był rzeczywiście Irlandczykiem, urodzonym w Innishannon w hrabstwie Cork, mężczyzną między trzydziestym trzecim a trzydziestym piątym rokiem życia, średniego wzrostu, o rudych włosach, czarnych oczach, ze złamanym w jakimś wypadku nosem.

— Chwat jakich mało! — rzekł marynarz. — Nie widziałem go siedem czy osiem lat, ale pamiętam bardzo dobrze!

— Czy spotykał go pan zwykle w Nowym Jorku?

— W Nowym Jorku i gdzie indziej. Ale ostatnim razem na pewno w Nowym Jorku.

— Czy nie mógłby mi pan wskazać kogoś, kto by mnie poinformował, co się z nim stało?

— Nie, słowo daję... No, chyba że właściciel oberży „Pod Czerwoną Kotwicą” w Brooklynie. Tam zatrzymywał się Patrick O'Donoghan, kiedy schodził na ląd w Nowym Jorku... Niejaki Bowles, były marynarz... Jeśli on nie wie, gdzie jest O'Donoghan, to już chyba nikt!

Erik wskoczył spiesznie na jeden z wielkich parowych promów kursujących po East River i dwadzieścia minut później był w Brooklynie.

U wejścia do oberży „Pod Czerwoną Kotwicą” zastał starą, nieskazitelnie czystą kobietę, pochłoniętą obieraniem ziemniaków.

— Czy pan Bowles jest w domu, proszę pani? — spytał Erik kłaniając się grzecznie, jak wszyscy z jego przybranej ojczyzny.

— Jest, ale właśnie odbywa sjęstę — odpowiedziała zacna kobieta, obrzucając zaciękawionym spojrzeniem rozmówcę.

— Jeśli ma mu pan coś do powiedzenia, mogę przekazać... Jestem jego żoną!

— Och, wobec tego pewnie i pani będzie mogła udzielić mi informacji — podjął Erik. — Chciałbym się dowiedzieć, czy znacie marynarza nazywającego się Patrick O'Donoghan, czy jest obecnie u was, a jeśli nie, to czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie go znajdę?

— Patrick O'Donoghan?... Tak, znam go, ale już od dobrych pięciu czy sześciu lat w ogóle się tu nie pokazał!... A gdybym miała powiedzieć, gdzie on może być, to słowo daję, miałabym z tym kłopot.

Na twarzy Erika tak wyraźnie odmalował się głęboki zawód, że nie uszło to uwagi kobiety i zaintrygowało ją.

— Musi pan bardzo potrzebować Patricka O'Donoghana, skoro tak pana martwi, że go tu nie ma — powiedziała.

— O, tak, bardzo go potrzebuję, proszę pani! — odpowiedział ze smutkiem młodzieniec. — Prawdopodobnie on jeden mógłby rozwikłać zagadkę, której rozwiązania będę szukać całe życie.

W ciągu trzech tygodni biegania w różnych kierunkach w poszukiwaniu informacji Erik nabrał pewnego doświadczenia w kontaktach z ludźmi. Toteż zauważył, że mocno pobudził ciekawość pani Bowles i pomyślał, że bez trudu uda mu się ją wypytać. Zapytał więc, czy mógłby dostać dla orzeźwienia szklanek wody sodowej, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, wszedł do oberży.

Znalazł się w jej dolnej sali pełnej stołów z politurowanego drewna i wyplatanych ze słomy krzesel. Nie było w niej nikogo. Okoliczność ta ośmieliła Erika do wszczęcia rozmowy ze starszą panią, kiedy ta wróciła z piwnicy z małą kamionkową butelką.

— Niewątpliwie zadaje sobie pani pytanie, czegóż to ja mogę chcieć od Patricka O'Donoghana — rzekł swym ciepłym głosem.

— Otóż Patrick O'Donoghan, jak się zdaje, przeżył katastrofę „Cynthii”, amerykańskiego statku, który zatonął około siedemnastu lat temu u wybrzeży Norwegii!... A ja, jako dziewięciomiesięczne niemowlę, zostałem przygarnięty przez pewnego norweskiego rybaka, który znalazł mnie w kołysce unoszącej się na falach, przywiązanej do koła ratunkowego z „Cynthii”!... Szukam O'Donoghana, bo może on mógłby mi powiedzieć, kim są moi rodzice lub przynajmniej jaki kraj jest moją ojczyzną...

Krzyk pani Bowles przerwał jego wynurzenia.

— Do koła ratunkowego, mówi pan? Był pan przywiązany do koła ratunkowego?

I nie czekając na odpowiedź pobiegła ku schodom.

— Bowles!... Bowles!... Schodź prędko! — zawołała przenikliwym głosem. — Do koła! Pan jest dzieckiem z koła ratunkowego?... Któż by się spodziewał czegoś podobnego? — powtarzała wracając do Erika, który pobladł z zaskoczenia i nadziei.

Miałżeby wreszcie poznać rozwiązanie zagadki, z taką pasją poszukiwanej?

Na drewnianych schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i po chwili na progu sali pojawił się mały, okrągłutki i różowiotki Staruszek o twarzy okolonej wielkimi siwymi faworytami, w ubraniu z niebieskiego sukna i ze złotymi kolczykami w uszach.

— Co tam?... Co się dzieje? — pytał, przecierając oczy.

— A to, że cię potrzebujemy! — odpowiedziała stanowczo pani Bowles. — Usiądź tu i posłuchaj tego pana, który ci powtórzy to, co mi przed chwilą powiedział.

Pan Bowles usłuchał bez sprzeciwu, Erik także. Powtórzył mniej więcej to, co wyznał przed chwilą zacnej pani Bowles.

Twarz Bowlesa rozjaśniła się niczym księżyc w pełni, a wargi rozciągnęły w szerokim uśmiechu i zaczął spoglądać na małżonkę zacierając ręce. Ona wydawała się nie mniej zadowolona.

— Czyżbyście znali już moją historię? — zapytał Erik z bijącym sercem.

Bowles uczynił potakujący gest, poskrobał się w ucho i wreszcie powiedział:

— I tak, i nie! Moja żona i ja często rozmawialiśmy o niej, nic z tego nie rozumiejąc!

Erik, blady i z zaciśniętymi zębami, chłonał słowa w nadziei na wyjaśnienia, lecz one kazały na siebie czekać. Pan Bowles nie posiadał ani daru wymowy, ani jasności wypowiedzi. Może też jego myśli mącił jeszcze sen. Zwykle po drzemce, by dojść do siebie, potrzebował dwóch lub trzech kieliszków trunku o wdzięcznej nazwie „Pick me up”*, który szalenie przypominał dżin.

Dopiero kiedy żona postawiła przed nim butelkę i dwa kieliszki, czcigodny jegomość zdecydował się przemówić, ale uwikłał się w mocno zagmatwaną opowieść, w której kilka zaledwie faktów wyłaniało się z nieskończoności bezużytecznych szczegółów. Trzeba było całej uwagi i żarliwego zainteresowania Erika, by cokolwiek z tego wydobyć. Dzięki pytaniom i usilnym naleganiom, z pomocą pani Bowles udało się to jednak osiągnąć.

*Pick me up (ang.) — Postaw mnie na nogi.

IX. Pięćset funtów szterlingów nagrody

Patrick O'Donoghane, na ile Erik mógł zrozumieć z niedomówień i dygresji Bowlesa, nie był akurat wzorem wszelkich cnót. Właściciel oberży „Pod Czerwoną Kotwicą” znalazł go już jako chłopca okrętowego, potem majtka, wreszcie marynarza, przed i po zatonięciu „Cynthii”. Do tego czasu Patrick O'Donoghane był biedny, jak przeważnie ludzie morza. Po katastrofie wrócił z Europy z grubym plikiem banknotów utrzymując, że dostał spadek z Irlandii, co wydawało się mało prawdopodobne.

Pan Bowles nigdy nie uwierzył w ten spadek. Sądził nawet, że tak niespodziana fortuna musiała się wiązać w jakiś niezbyt chwalebny sposób z zatonięciem „Cynthii”. Było bowiem pewne, iż Patrick O'Donoghane znajdował się wówczas na jej pokładzie, a wbrew zwyczajowi marynarzy w podobnych przypadkach, starannie unikał mówienia o tym. Za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na ten temat, zmieniał go zaraz, i to dość niezręcznie. Co więcej — czmychnął, wypłynął w daleki rejs w chwili rozpoczęcia procesu wytoczonego przez towarzystwo ubezpieczeniowe właścicielom „Cynthii”, by nawet jako świadek nie być zamieszany. Zachowanie to wydało się tym bardziej podejrzane, że Patrick O'Donoghane był jedynym znanym ocalałym członkiem załogi.

Pan Bowles nigdy nie poznał sedna tej sprawy, ale jego żona i on zawsze uważali ją za podejrzaną, zwłaszcza że podczas pobytów w Nowym Jorku Patrickowi nigdy nie brakowało pieniędzy, choć nie przywoził ich bynajmniej ze swych podróży. Zwykle w kilka dni po powrocie miał mnóstwo złota i banknotów, a kiedy był pijany, co zdarzało mu się często, chwalił się, że zna sekret wart fortunę i wciąż bredził o jakimś „dziecku na kole”.

— Dziecko na kole, panie Bowles! — wykrzykiwał, uderzając pięścią w stół. — Dziecko na kole jest na wagę złota!

Po czym chichotał, bardzo z siebie zadowolony. Nigdy nie udało się wyciągnąć z niego wyjaśnienia tych słów, które przez długie lata pozostały dla państwa Bowles tematem nie kończących się przypuszczeń.

Stąd poruszenie pani Bowles, gdy Erik oznajmił jej, iż jest właśnie tym słynnym „dzieckiem na kole”.

Patrick O'Donoghane, który przez ponad piętnaście lat miał zwyczaj zatrzymywać się „Pod Czerwoną Kotwicą”, ilekroć przebywał w Nowym Jorku, nie pojawił się tu już od blisko czterech lat. I w tym także było, zdaniem pana Bowlesa, coś tajemniczego. Pewnego wieczoru odwiedził Irlandczyka jakiś mężczyzna i zamknął się z nim na blisko godzinę. Po tej wizycie wzburzony Patrick O'Donoghane w wielkim pośpiechu zapłacił rachunek, wziął swój worek marynarski i odszedł.

Nigdy więcej już go nie widzieli.

Bowlesowie nie znali oczywiście przyczyny tego nagłego wyjazdu. Ale zawsze uważali, że musiał się on wiązać z zatonięciem „Cynthii” i z historią „dziecka na kole”. Ich zdaniem, gość Patricka przybył ostrzec go, że grozi mu jakieś poważne niebezpieczeństwo, Irlandczyk zaś uznał, iż będzie najrozsądniej opuścić natychmiast Nowy Jork. Bowlesowie nie sądzili, by powrócił od tamtego czasu. Dowiedzieliby się o tym od innych stałych bywalców ich oberży, którzy niechybnie dziwiliby się, gdyby Patrick zatrzymał się gdzie indziej niż „Pod Czerwoną Kotwicą”, i pytaliby o powód.

Taka była, ogólnie rzecz biorąc, relacja, jaką Erikowi udało się uzyskać. Spieszno mu było przekazać ją swym przyjaciółom. Toteż pożegnał się grzecznie z państwem Bowles.

Na Piątej Alei jego sprawozdanie zostało naturalnie przyjęte z takim zainteresowaniem, na jakie zasługiwało. Po raz pierwszy po tylu poszukiwaniach znaleźli się na tropie człowieka, który robił częste aluzje do „dziecka na kole”. Co prawda nie wiedzieli, gdzie on przebywa, ale istniała nadzieja, że kiedyś go znajdą. Jak dotąd nie wydarzyło się nic o tak dużym znaczeniu. Sprawa wydawała się na tyle poważna, że zdecydowali się zatelegrafować do pani Bowles, prosząc ją o przygotowanie kolacji na sześć osób. To Bredejord podsunął taki sposób wyciągnięcia z zacnych Bowlesów wszystkiego, co mogli wiedzieć: pójść tam, zasiąść z nimi do stołu i porozmawiać.

Erik nie spodziewał się usłyszeć czegoś nowego. Poznał już dość dobrze Bowlesów i był przekonany, że wycisnął z nich wszystko, co wiedzieli. Mimo to liczył na dużą wprawę Bredejorda w wypytywaniu świadków sądowych i wyłuskiwaniu tego z ich odpowiedzi, czego sami często nie podejrzewali.

Pani Bowles przeszła samą siebie. Nakryła do stołu w najpiękniejszym pokoju na pierwszym piętrze i przygotowała naprędce, w niespełną godzinę, wspaniałą kolację. Bardzo schlebiało jej, że została wraz z mężem zaproszona do wzięcia w niej udziału, i ochoczo poddała się przesłuchaniu znamienitego adwokata. Zebrano w ten sposób pewną ilość faktów nie bez znaczenia.

Po pierwsze, Patrick O'Donoghane, w momencie rozpoczęcia procesu wytoczonego przez towarzystwo ubezpieczeniowe, powiedział dosłownie, że wyjeżdża, „aby go nie

wezwali na świadka”. Stanowiło to ewidentny dowód, iż nie chciał się wypowiadać na temat okoliczności zatonięcia statku, jak na to zresztą wskazywało całe jego zachowanie.

Po drugie, w Nowym Jorku właśnie lub jego okolicach znajdowało się źródło podejrzanych dochodów, które prawdopodobnie zawdzięczał jakiemuś sekretowi. Po powrocie do Nowego Jorku bowiem był zawsze bez pieniędzy, aż pewnego pięknego wieczoru, spędziwszy gdzieś na mieście całe popołudnie, wracał z kieszeniami pełnymi złota. Nie można było mieć wątpliwości, że ów sekret wiązał się z „dzieckiem na kole”, ponieważ on sam powtarzał to kilkakrotnie.

Patrick O’Donoghane usiłował pewnie wykorzystać do końca ów sekret, co musiało spowodować kryzys, bo jeszcze w przeddzień wyjazdu oświadczył, że jest zmęczony żeglowaniem, nie zamierza już pływać i chce odtąd żyć w Nowym Jorku jako rentier.

Wreszcie osobnik, który odwiedził O’Donoghana, był zainteresowany w jego wyjeździe, bo zaraz następnego dnia przyszedł do oberży „Pod Czerwoną Kotwicą” spytać o Irlandczyka i wydawał się bardzo zadowolony, że już go tam nie zastał. Pan Bowles był pewien, iż mógłby rozpoznać tego typka, z wyglądu i manier przypominającego detektywa lub tajniaka, jakich pełno w dużych miastach.

Mecenas Bredejord wysnuł z tych okoliczności wniosek, że Patrickowi niechybnie groziła systematycznie ta sama osoba, od której wyłudzał pieniądze podczas swych pobytów w Nowym Jorku i która niewątpliwie nasłała na niego detektywa, by go postraszyć wszczęciem postępowania karnego. Tylko to mogło tłumaczyć fakt, że Irlandczyk w następstwie tej wizyty nagle wyjechał i nigdy już się nie pokazał.

Ważne było więc posiadanie rysopisu nie tylko Patricka O’Donoghana, ale i detektywa. Bowlesowie obu bardzo szczegółowo opisali. Przeglądając księgę rachunkową, odnaleźli także dokładną datę wyjazdu Irlandczyka. Stało się to cztery lata bez trzech miesięcy temu, a nie pięć czy sześć, jak początkowo sądzili.

Doktora Schwaryencronę uderzyło natychmiast to, że data owego wyjazdu zbiegała się dokładnie z datą ukazania się pierwszych ogłoszeń prasowych, które kazał zamieścić w dziennikach brytyjskich, aby odnaleźć ludzi ocalałych z katastrofy „Cynthii”. Tak wysoce uderzająca zgodność narzucała wręcz powiązanie tych dwóch faktów.

Cała sprawa zaczynała się jakby powoli klarować. Porzucenie Erika na kole musiało być rezultatem jakiejś zbrodni, której świadkiem lub współnikiem był Patrick O’Donoghane, zaokrętowany jako majtek na „Cynthii”. Znał jej sprawcę, mieszkańca Nowego Jorku lub okolic, i długo to wykorzystywał. Potem przyszedł dzień, kiedy ów człowiek, znużony wymaganiami Irlandczyka, a także pod wpływem ogłoszeń zamieszczonych w prasie, wystarczająco postraszył Patricka, by skłonić go do ucieczki.

Nawet zakładając, że wnioski te nie były ściśle umotywowane, mogły w każdym razie stanowić podstawę dochodzenia sądowego. Erik i jego przyjaciele opuścili więc oberżę

„Pod Czerwoną Kotwicą” z niewzruszoną nadzieją na szybkie rozwiązanie sprawy.

Zaraz następnego dnia Bredejord poprosił ministra pełnomocnego Szwecji o przedstawienie go nadinspektorowi policji nowojorskiej, po czym zapoznał tegoż ze znanymi faktami. Jednocześnie wszedł w kontakt z prawnikami towarzystwa ubezpieczeniowego, którzy występowali przeciwko właścicielom „Cynthii”, i udało mu się spowodować odgrzebanie akt tego procesu z zakurzonych pudeł, gdzie tkwiły od wielu lat.

Niestety, w tych starych papierach nie było ani jednego istotnego dokumentu. Żadna ze stron nie mogła przedstawić świadka katastrofy. Cała sprawa obracała się wokół kwestii prawnych i zawyżonej sumy odszkodowania w stosunku do rzeczywistej wartości statku i frachtu. Armatorzy „Cynthii” nie byli w stanie udowodnić uczciwości swych zeznań ani wyjaśnić, jak doszło do zatonięcia statku. Uznawszy całość ich obrony za słabą, sąd przychylił się do wniosku strony przeciwnej. Natomiast towarzystwo ubezpieczeniowe zostało zobligowane do wypłacenia kilku odszkodowań, z tytułu ubezpieczenia na życie, spadkobiercom niektórych pasażerów. Lecz nigdzie, w procesach czy ugodach, nie było najmniejszej wzmianki o dziewięciomiesięcznym dziecku.

Badanie akt trwało kilka dni. Mecenas Bredejord właśnie je zakończył, kiedy otrzymał wezwanie do nadinspektora policji, który powiedział mu, że ku jego wielkiemu ubolewaniu, niczego nie znalazł. Nikt w Nowym Jorku nie znał detektywa, urzędowego czy prywatnego, odpowiadającego rysopisowi podanemu przez Bowlesa. Nikt nie potrafił dostarczyć żadnych informacji o osobniku mogącym mieć interes w pozbyciu się Patricka O’Donoghana. Co do tego marynarza, to prawdopodobnie jego noga nie pozostała w Nowym Jorku od przynajmniej czterech lat.

Niemniej zanotowano jego rysopis, bo mógł się jeszcze przydać. Nadinspektor nie chciał ukrywać przed Bredejordem, że jego zdaniem dochodzenie pozbawione jest szans. Fakty sięgały zresztą tak odległych czasów, a sprawa była tak bliska przedawnienia, że nawet zakładając natychmiastowy powrót Patricka O’Donoghana, należało raczej wątpić, by wymiar sprawiedliwości zechciał się tym zająć.

W sumie nic nie wyszło z rozwiązania, z którym przez chwilę Erik łączył duże nadzieje; wymykało mu się ono być może bezpowrotnie. Pozostawało już tylko wrócić do Szwecji, wstępując po drodze do Irlandii, by sprawdzić, czy przypadkiem Patrick O’Donaghan nie zakopał się tam po prostu na jakiejś głuchej wsi. Tak też zrobili doktor Schwaryencrona i jego przyjaciele, pożegnawszy się przedtem z Bowlesami.

Parowce płynące z Nowego Jorku do Liverpoolu zawijają po drodze do Cork. Wystarczyło podążyć tą trasą, by znaleźć się o kilka mil od Innishannon. Tam dowiedzieli się, że Patrick O’Donaghan, jak opuścił swój kraj w wieku dwunastu lat, tak nigdy nie wrócił i nie słał też żadnych wiadomości.

— Gdzie go teraz szukać? — pytał doktor Schwaryencrona, gdy wsiadali na statek do Londynu, skąd mieli popłynąć do Sztokholmu.

— W portach morskich oczywiście! A szczególnie poza Ameryką — odpowiedział Bredejord. — Bo zważcie, że marynarz, były chłopiec okrętowy, nie porzuca w wieku trzydziestu pięciu lat swego zawodu. To jedyny, jaki zna! Patrick pływa więc nadal, a skoro statki są po to, by pływać od portu do portu, to tylko tam możemy spotkać człowieka morza. Co pan na to, Hochstedt?...

— Rozumowanie wydaje mi się słuszne, choć może nieco zbyt kategoryczne — odparł profesor ze zwykłą ostrożnością.

— Załóżmy, że tak jest — kontynuował Bredejord. — Zważywszy, że Patrick O'Donoghane wyjechał pod wpływem prawdziwego przerażenia i prawdopodobnie pod groźbą ścigania karnego, musi więc obawiać się ekstradycji. Istnieje zatem możliwość, iż będzie usiłował nie dopuścić do rozpoznania go, a co za tym idzie, będzie unikał swych starych kompanów, bywając najchętniej w takich portach, do jakich oni nie zawijają... To tylko hipoteza, wiem, ale załóżmy na razie, że jest uzasadniona. Liczba portów, w których Amerykanie nie mają żadnych interesów, nie jest tak wielka, byśmy nie mogli z łatwością sporządzić ich listy. Myślę, że można by zacząć od tego i najpierw zasięgnąć informacji w tychże portach, czy nie wiedzą tam czegoś o osobniku odpowiadającym ry-sopisowi O'Donoghana.

— Dlaczego nie uciec się po prostu do ogłoszeń? — zapytał Schwaryencrona.

— Bo jeśli on się ukrywa, to odpowiedź na ogłoszenie byłaby ostatnią rzeczą, którą by zrobił, jeśli w ogóle ogłoszenia docierają do marynarzy.

— Co nam przeszkadza tak zredagować ogłoszenie, aby wzbudziło jego zaufanie, uprzedzić go, że jest chroniony przepisem o przedawnieniu i że udzielenie nam informacji będzie dla niego korzystne?

— Zgoda, ale wracam do mego zastrzeżenia: szczerze wątpię, by ogłoszenie dotarło do zwykłego marynarza.

— Zawsze możemy spróbować oferując nagrodę O'Donoghana lub temu, kto przyczyni się do jego odnalezienia. Co ty na to, Eriku?

— Wydaje mi się, że takie ogłoszenia, aby odniosły skutek, muszą być powtarzane w wielu gazetach. Będą zatem kosztować majątek, a jednocześnie mogą, pomimo swej zachęcającej formy, przestraszyć tylko O'Donoghana, jeśli on sam jest przekonany, że ukrywanie się leży w jego interesie. Czy nie lepiej byłoby powierzyć komuś osobiste przeprowadzenie dochodzenia w portach, w których przypuszczalnie bywa ów człowiek?

— Wspaniale, lecz gdzie znaleźć kogoś godnego zaufania, kto mógłby prowadzić takie dochodzenie?

— Nie trzeba szukać, drogi mistrzu — podjął Erik. — To ja!

— Ty, mój chłopcze?... A twoja nauka?

— Moja nauka nie musi na tym ucierpieć. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym ją

kontynuował podróżując... Co więcej doktorze, muszę panu wyznać, że znalazłem już sobie sposób na darmowe podróżowanie.

— Jaki? — zapytali równocześnie Schwaryencrona, Bredejord i Hochstedt.

— Po prostu przygotowując się do egzaminu na kapitana żeglugi wielkiej. Mogę go zdać choćby jutro, jeśli trzeba. A kiedy już będę miał ów dyplom, nic prostszego, jak zakrętować się jako porucznik do pierwszego lepszego portu.

— Coś takiego! I zrobiłeś to nic mi nie mówiąc? — wykrzyknął doktor na poły rozniewany, podczas gdy adwokat i profesor śmiali się serdecznie.

— Doprawdy nie sędzę — odparł Erik — żeby moja zbrodnia, jak dotąd, była bardzo wielka. Sprowadza się do wypytania o przedmioty egzaminacyjne i wyuczenia się ich. Nie przystąpiłbym do egzaminu nie poprosiwszy pana o pozwolenie, co też niniejszym czynię.

— Daję ci je, niedobry chłopcze! — rzekł udobruchany doktor. — Ale z puszczeniem cię od zaraz i całkiem samego w podróż, to już inna sprawa!... Zaczekamy z tym do twojej pełnoletności.

— Och, rozumie się! — odparł Erik z dającą się zauważyć nutką wdzięczności i posłuszeństwa.

Jednakże doktor nie chciał zrezygnować ze swego pomysłu. Jego zdaniem, osobiste poszukiwania w portach byłyby siłą rzeczy wyrwykowe, podczas gdy ogłoszenie dotrze wszędzie naraz. Jeśli Patrick O'Donoghane nie ukrywa się, co było możliwe, to powinno ono sprowadzić go prościuteńko do nich. Jeśli zaś ukrywa się, może pomóc w jego odnalezieniu. Starannie wyważając każde słowo, doktor zredagował tedy następujący tekst, który przetłumaczony na siedem czy osiem języków miał wkrótce ulecieć ku wszystkim stronom świata na skrzydłach stu najpoczytniejszych gazet:

Marynarz Patrick O'Donoghane wyjechał z Nowego Jorku cztery lata temu. Sto funtów szterlingów nagrody za pomoc w odnalezieniu go. Pięćset funtów szterlingów dla niego samego, jeśli skontaktuje się z niżej podpisanym. Bez obawy, sprawa uległa przedawnieniu.

Dr Schwaryencrona, Sztokholm

Dwudziestego października doktor i jego towarzysze powrócili w domowe pielesze. Nazajutrz ogłoszenie zostało złożone w Naczelnej Agencji Reklamowej w Sztokholmie, a trzy dni później ukazało się już w kilku gazetach. Czytając je, Patrick nie mógł powstrzymać westchnienia i ogarnęło go przecucie kłęski.

Natomiast Bredejord wyraźnie oświadczył, że to największe szaleństwo, jakie można było popełnić, i że odtąd uważa sprawę za przegraną.

Obaj mylili się, jak pokaże dalszy bieg wydarzeń.

X. Wielmożny Pan Tudor Brown

Pewnego majowego ranka doktor siedział w gabinecie, kiedy służący przyniósł mu wizytówkę jakiegoś gościa. Na wizytówce o miniaturowych, typowych dla Anglii rozmiarach widniało nazwisko: Mr Tudor Brown oraz informacje: on board the albatros”, co oznacza: Pan Tudor Brown, na pokładzie „Albatrosa”.

— Tudor Brown? — zdziwił się doktor, szukając bezskutecznie w swych wspomnieniach czegoś, co kojarzyłoby mu się z tym nazwiskiem.

— Ten pan domaga się widzenia z panem doktorem — rzekł służący.

— Nie mógł przyjść w godzinach przyjęć?

— On mówi, że to sprawa osobista.

— No to niech już wejdzie — westchnął doktor.

Na dźwięk otwierających się drzwi podniósł głowę i spoglądał z niejakim zdumieniem na osobliwą postać odpowiadającą zarówno feudalnemu imieniu Tudor, jak i plebejskiemu nazwisku Brown.

Ujrzał bowiem mężczyznę około pięćdziesiątki, z czołem pokrytym drobnymi, w kolorze marchewki loczkami „a la Tytus”, ułożonymi — co widać było już na pierwszy rzut oka — nie z włosów, lecz z surowego jedwabiu; z haczykowatym nosem, na którym spoczywały złote binokle o przydymionych szklach, i z długimi jak u konia zębami. Gładko wygolone policzki tonęły w wielkim przypinanym kołnierzu, spod którego wystawał pędzel rudej brody, a nad dziwaczną głową wznosił się cylinder sprawiający wrażenie przyrośniętego, jego właściciel bowiem nie próbował nawet ku niemu sięgnąć. To wszystko spoczywało na dużym, kanciastym, niezgrabnym korpusie, ubranym od stóp do głów w wełnianą tkaninę w zielono-szarą kratę. Szpilka w krawacie przybrana diamentem wielkości laskowego orzecha, łańcuszek zegarka wijący się w fałdach kamizelki o ametystowych guzikach, tuzin pierścionków na węzłastych jak u szympansa palcach dopełniały całości najbardziej pretensjonalnej, najbardziej dziwacznej, najbardziej groteskowej, jaką można sobie wyobrazić.

Osobnik ów wszedł do gabinetu doktora jak do poczekalni dworcowej, nie skinąw-

szy nawet głową na powitanie. Zatrzymał się i rzekł głosem przypominającym głos Poliszynela, tak bardzo jego brzmienie było jednocześnie gardłowe i nosowe:

— To pan jesteś doktor Schwaryencrona?

— Tak, to ja — odpowiedział doktor, mocno zdziwiony takimi manierami.

Zastanawiał się już, czy nie powinien zadzwonić na służbę i kazać wyprowadzić tego prostaka, kiedy jedno słowo przybysza raptownie go powstrzymało.

— Widziałem pana ogłoszenie w sprawie Patricka O'Donoghana — mówił gość — i pomyślałem sobie, że chciałby pan pewnie wiedzieć o nim to, co ja wiem.

— Niechże pan zechce spocząć — miał już powiedzieć doktor, kiedy spostrzegł, że gość nie czekał na zaproszenie. Wybrawszy fotel, który wydawał mu się najwygodniejszy, przysuwał go właśnie ku doktorowi, po czym rozparł się w nim, włożył ręce do kieszeni, podniósł nogi i oparł je obcasami na skraju parapetu najbliższego okna, spoglądając na rozmówcę z wyrazem najwyższego ukontentowania.

— Pomyślałem — podjął — że owe szczegóły sprawią panu przyjemność, skoro oferuje pan za nie pięćset funtów, i dlatego właśnie przyszedłem.

Doktor skinął głową w milczeniu.

— Niewątpliwie — ciągnął tamten — zastanawia się pan, kim jestem. Więc powiem panu. Jak mógł już pan wyczytać z mojej wizytówki, nazywam się Tudor Brown, poddany brytyjski.

— Irlandczyk może? — zapytał doktor z zaciekawieniem.

Gość, wyraźnie zaskoczony, wahał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Nie, Szkot... Och, wiem, że na to nie wyglądam i że bierze się mnie raczej za Jankesa, ale to nie ma znaczenia. Jestem Szkotem!

Oznajmiając to po raz wtóry, patrzył na Schwaryencronę, jakby chciał powiedzieć:

„Możesz pan sobie o tym myśleć, co chcesz, jest mi to absolutnie obojętne.”

— Może z Inverness? — podsunął doktor, który wsiadł na swego ulubionego konika.

Tamten znów się zawahał.

— Nie, z Edynburga — odrzekł. — Zresztą to nieważne i nie ma nic wspólnego ze sprawą!... Jestem niezależny finansowo i nikomu nic nie jestem winien. Mówię panu o sobie tylko dlatego, że sprawia mi to przyjemność, bo nic mnie przecież do tego nie zmusza!

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, że nie prosiłem go o to! — rzekł doktor uśmiechając się.

— Nie... No i dobrze! Więc niech mi pan nie przerywa, bo nigdy nie dojdziemy do sedna sprawy! Publikuje pan ogłoszenia, żeby się dowiedzieć, co się stało z Patrickiem O'Donoghaniem, czy tak? Zatem potrzebuje pan kogoś, kto to wie!... A ja właśnie wiem!

— Pan wie? — zapytał doktor, przysuwając swój fotel do fotela gościa.

— Wiem! Ale zanim panu powiem, muszę zapytać, jaki ma pan interes w tych poszukiwaniach.

— Całkiem słusznie! — odparł doktor i w kilku słowach streścił historię Erika, której gość wysłuchał z bacznością.

— A ten chłopak nadal żyje? — zapytał Tudor Brown.

— Oczywiście! Żyje, jest w dobrym zdrowiu i w październiku rozpocznie studia medyczne na uniwersytecie w Uppsali.

— Ach, tak!... — Przybysz zdawał się nad czymś zastanawiać. — Niech mi pan powie, czy nie zna pan innego sposobu na przeniknięcie tajemnicy jego pochodzenia, jak zwrócić się do O'Donoghana?

— Nie znam — odpowiedział doktor. — Po długich poszukiwaniach dowiedziałem się, że ów Patrick O'Donoghane jest w posiadaniu sekretu, że on jeden prawdopodobnie może mi go wyjawić i dlatego proszę o wiadomości o nim za pośrednictwem prasy. Zresztą bez większej nadziei na otrzymanie ich tym sposobem.

— Dlaczegoż to?

— Bo podejrzewam, że O'Donoghane ma poważne powody, by się ukrywać. Wobec tego jest mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek odpowiedział na moje ogłoszenia. Toteż mam zamiar uciec się wkrótce do innego sposobu. Posiadam jego rysopis, wiem, w których portach musi najchętniej przebywać i zamierzam zlecić specjalnym agentom szukanie go tam.

Doktor Schwaryencrona nie mówił tych rzeczy lekkomyślnie. Wypowiadał je z wyraźnym zamiarem sprawdzenia, jakie zrobią wrażenie na człowieku, którego miał przed sobą. Dostrzegł więc na wygolonej twarzy Tudora Browna, pomimo ostentacyjnej flegmy przybysza, trzepot powiek i lekki skurcz kącików warg. Ale ów szybko się pozbierał.

— No cóż, doktorze — rzekł — jeśli poza odnalezieniem Patricka O'Donoghana nie ma pan innego sposobu na dowiedzenie się czegoś, to nie dowie się pan nigdy niczego!... Patrick O'Donoghane nie żyje!

Boleśnie zaskoczonymu tą nowiną doktorowi nawet nie drgnęła brew, przyglądał się tylko bacznie gościowi, który mówił dalej:

— Nie żyje i jest pochowany, a ściślej mówiąc, zatopiony na głębokości trzystu sążni! Przypadek chciał, że człowiek ów, którego tajemnicza przeszłość zwróciła moją uwagę, był trzy lata temu zatrudniony w charakterze marynarza na pokładzie „Albatrosa”, mojego jachtu. Musi pan wiedzieć, że mój jacht to spory statek, na którym robię wycieczki morskie trwające siedem, osiem miesięcy... Tak więc około trzech lat temu, kiedy mijaliśmy trawers Madery, marynarz Patrick O'Donoghane wypadł za burtę. Kazałem zatrzymać jacht, spuścić na wodę szalupy i szukać aż do skutku. Znalezione go, wyciągnę-

to na pokład, gdzie udzielono mu wszelkiej możliwej pomocy, lecz na próżno. O'Donoghana nie żył. Trzeba było zwrócić morzu zdobycz, którą usiłowaliśmy mu wydrzeć!... Protokół z wypadku został naturalnie sporządzony w dzienniku pokładowym. Pomyślałem, że ów dokument może pana zainteresować, kazałem więc zrobić jego uwierzytelniony odpis i przywiozłem go z sobą.

To mówiąc, Tudor Brown wyciągnął portfel, wyjął z niego kartkę papieru pokrytą stemplami i podał ją doktorowi.

Ten przebiegł ją wzrokiem. Był to istotnie wyciąg z dziennika pokładowego „Albatrosa” należącego do Tudora Browna, stwierdzający zgon marynarza Patricka O'Donoghana przy trawersie wyspy Madery, należycie poświadczony pod przysięgą przez dwóch uprawnionych świadków jako zgodny z oryginałem i zarejestrowany w Londynie, w Somerset House, przez komisarzy Jej Królewskiej Mości brytyjskiej.

Dokument ten nosił wszelkie znamiona autentyczności. Jednak sposób, w jaki trafił on w ręce doktora, był tak niezwykle, że Schwaryencrona nie potrafił się powstrzymać, by na głos nie wyrazić odczuwanego zdziwienia. Uczynił to wszelako z właściwą sobie kurtuazją.

— Pozwoli pan zadać sobie jedno pytanie, jedno jedyne — rzekł do swego gościa.

— Niech pan pyta, doktorze.

— Jak to się stało, że ma pan w kieszeni taki dokument, starannie przygotowany, należycie poświadczony i uwierzytelniony? .. I dlaczego przyniósł mi pan go osobiście?

— Jeśli dobrze liczę, to są dwa pytania — odparł Tudor Brown. — Odpowiadam więc kolejno. Mam ten dokument w kieszeni dlatego, że po przeczytaniu dwa miesiące temu ogłoszeń postanowiłem udzielić panu informacji, o którą pan prosi, i chciałem, w miarę moich możliwości, dostarczyć ją kompletną i nie podlegającą dyskusji. A przynoszę go dlatego, że pływając w tych stronach jachtem, uznałem za całkiem naturalne osobiste przekazanie tego papierka, aby zaspokoić jednocześnie moją i pańską ciekawość.

Cóż można było odpowiedzieć na takie rozumowanie? Toteż doktor wyciągnął jedyny płynący z niego wniosek i zapytał żywo:

— Jest pan więc tutaj ze swoim „Albatrosem”?

— Oczywiście!

— A czy ma pan jeszcze wśród załogi marynarzy, którzy znali Patricka O'Donoghana?

— Mam kilku.

— Pozwoliliby mi pań porozmawiać z nimi?

— Ile tylko pan zechce! Czy zaraz pójdzie pan na pokład jachtu?

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

— Nie mam — rzekł gość wstając.

Schwaryencrona zadzwonił na służbę, kazał sobie przynieść pelisę, laskę, kapelus

i wyszedł z Tudorem Brownem. Po pięciu minutach byli już na nabrzeżu, gdzie stał przycumowany „Albatros”.

Przyjął ich stary wilk morski o czerwonej twarzy i siwych faworytach, którego fizjonomia tchnęła szczerością i uczciwością.

— Panie Ward, oto dżentelmen, który pragnie się dowiedzieć, jaki los spotkał Patric-ka O’Donoghana — rzekł Tudor Brown podchodząc do niego.

— Patrick O’Donaghan!... — odparł stary marynarz. — Niech Bóg ma w opiece jego duszę!... Wieleśmy się namęczyli, żeby go wyłowić, kiedy utonął przy trawersie Madery! I to po co, pytam się, skoro i tak trzeba było oddać go rybom!

— Od dawna go znaliście? — zapytał doktor.

— Tego rekina?... Eee, nie, jakiś rok, może dwa... Chyba w Zanzibarze go najęliśmy! Dobrze mówię, Duff?

— Kto mnie woła? — zapytał młody marynarz, mocno zajęty polerowaniem miedzianej gałki przy poręczy schodów.

— Ja! — odrzekł tamten. — To w Zanzibarze zwerbowałem Patric-ka O’Donoghana, no nie?

— Patric-ka O’Donoghana? — powtórzył marynarz, jakby szukając w pamięci. — Ach, tak! Przypominam sobie!... Ten marynarz, co zginął wypadając za burtę przy trawersie Madery! Tak, panie Ward, zabraliśmy go z Zanzibaru!

Doktor Schwaryencrona kazał sobie opisać Patric-ka O’Donoghana i upewnił się, że podany rysopis dokładnie odpowiada temu, który posiadał. Wszyscy ci ludzie wydawali się uczciwi i szczerzy. Mieli dobre twarze, otwarte i prostoduszne. Co prawda zgodność ich odpowiedzi mogła się wydać nieco dziwna i zaplanowana, ale w końcu czyż nie była naturalną konsekwencją samych faktów? Cóż więcej mogli wiedzieć ludzie, którzy zna- li Patric-ka O’Donoghana najwyżej rok, a pamiętali tylko jego wygląd i śmierć? Mówi- li więc to, co wiedzieli.

Z drugiej strony, „Albatros” był jachtem tak dobrze utrzymanym, że gdyby miał ja- kieś działa, mógłby uchodzić za okręt wojenny. Nieskazitelna czystość panowała na po- kładzie. Ludzie byli zdrowi, dobrze ubrani i zdumiewająco zdyscyplinowani. Trwa- li na swych stanowiskach, choć wystarczyłby jeden skok, by znaleźć się na lądzie. Sło- wem, wszystko razem stanowiło przekonującą całość, która podziałała nieodparcie na umysł doktora.

Oświadczył więc, że jest całkowicie usatysfakcjonowany, i w odruchu poświęcenia czy też gościnności posunął się nawet do tego, że przed odejściem zaprosił na kolację Tudora Browna, który przechadzał się tam i z powrotem po rufówce, pogwizdując so- bie tylko znaną melodyjkę.

Lecz pan Tudor Brown nie uznał za stosowne przyjąć zaproszenia. Odrzucił je tymi jakże uprzejmymi słowy:

— Nie!... Nie mogę... Nigdy nie jadłam na mieście!

Schwaryencronie nie pozostało już nic innego jak odejść, co też uczynił, nie używając od tej dziwacznej postaci najłżejszego uchylecia kapelusza.

Pierwsze kroki skierował do Bredejorda, by opowiedzieć mu całą przygodę. Ten wysłuchał jej bez słowa, obiecując sobie przeprowadzić niezależnie od Schwaryencrony własne dochodzenie.

Lecz kiedy jeszcze tego samego dnia chciał je rozpocząć w towarzystwie Erika, który dowiedział się o wszystkim, gdy przyszedł ze szkoły na obiad, natknął się na drobną przeszkodę — „Albatros” opuścił Sztokholm nie powiadamiając, dokąd płynie, i nie zostawiwszy adresu Tudora Browna.

Jedyne, co zostało, to należycie poświadczony akt zgonu Patricka O’Donoghana.

Czy ów dokument miał rzeczywiście jakąś wartość? Właśnie w to Bredejord pozwalał sobie wątpić mimo potwierdzenia bezsprzecznej autentyczności stempli i podpisów widniejących na dokumencie przez konsula generalnego Anglii w Sztokholmie, którego zapoznał ze sprawą. Kazał też zasięgnąć informacji w Edynburgu, gdzie nikt nie znał Tudora Browna, co wydawało się podejrzane.

Jednakże faktem niezaprzeczalnym, wobec którego wszelki opór musiał stopniowo ustąpić, było to, że nie usłyszeli więcej o Patricku O’Donoghane, a ogłoszenia nie przyniosły żadnych nowych rezultatów.

Tak więc, skoro Patrick O’Donaghan zniknął na zawsze, nie ostała się żadna nadzieja na przeniknięcie tajemnicy pochodzenia Erika. On sam się z tym zgadzał i był zmuszony przyznać, że wszelkie dodatkowe dochodzenie jest odtąd bezprzedmiotowe.

Toteż następnej jesieni rozpoczął bez oporów studia medyczne na uniwersytecie w Uppsali, zgodnie z życzeniem doktora. Chciał tylko przedtem zdać egzamin na kapitana żegluga wielkiej, co dowodziło, że nie zrezygnował ze swych planów podróżowania.

Inne bowiem zmartwienie tkwiło teraz zadrą w jego sercu, zmartwienie, na które widział tylko jedno lekarstwo: ruch i zmiany, jakie niosą wielkie przygody. Bo choć doktor nie domyślał się niczego, Erik szukał pretekstu do opuszczenia jego domu, gdy tylko ukończy studia, a pretekst ten jawił mu się wyłącznie w planach podróży. Przyczyną była coraz bardziej dająca mu się we znaki niechęć panny Kajsy, bratanicy doktora, która nie przepuściła żadnej okazji, by ją uzewnętrznić, a on za wszelką cenę starał się nie dopuścić, aby ów wspaniały człowiek czegoś się domyślił.

Jego stosunki z dziewczyną należały zawsze do najosobliwszych. W oczach Erika, po siedmiu latach tak samo jak w dniu przyjazdu do Sztokholmu, mała czarodziejka pozostała wzorem skończonej elegancji i wszelkich światowych cnót. Otaczał ją bezgranicznym uwielbieniem i czynił heroiczne wysiłki, by zyskać sobie jej przyjaźń. Ale Kajsja nigdy nie pogodziła się z myślą, że ten „intruz”, jak go nazywała, zapuścił korzenie w do-

mu doktora, był tam traktowany jak przybrany syn i stał się ulubieńcem trójki przyjaciół. Szkolne sukcesy Erika, jego dobroć, łagodność, miast wyjednać mu jej przychylność, stały się nowymi powodami zazdrości. W gruncie rzeczy Kajsa nie mogła wybaczyć chłopcu, że jest tylko rybakiem i wieśniakiem. Dla niej oznaczało to upadek domu i jej samej z wysokiego szczebla drabiny społecznej, na którym lubiła się widzieć.

A już wręcz odrażającym i haniebnym wydało jej się to, że Erik był czymś gorszym niż wieśniakiem — był znajdą. W jej pojęciu znajda w hierarchii istot zajmowała miejsce poniżej kota i psa. Swe odczucia manifestowała najbardziej pogardliwymi spojrzeniami, najbardziej upokarzającym milczeniem, najokrutniejszymi zniewagami. Kiedy zapraszano ją wraz z Erikiem na wieczorek taneczny dla dzieci do zaprzyjaźnionego domu, odmawiała stanowczo tańczenia z nim. Przy stole z lubością ignorowała to, co mówił. Nie przepuściła żadnej okazji, aby go upokorzyć.

Biedny Erik odgadł przyczynę jej tak wielce nieżyczliwego zachowania. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego czyni mu zarzut z tego strasznego nieszczęścia, jakim był brak rodziny i ojczyzny. Pewnego dnia próbował porozmawiać o tym z Kajsa, wytłumaczyć jej niesprawiedliwość i okrucieństwo takiego uprzedzenia, ale ona nie raczyła nawet go wysłuchać. Im byli starsi, tym przepaść dzieląca ich wydawała się głębsza. Osiemnastoletnia Kajsa została wprowadzona w świat. Schlebiano jej tam i rozpieszczano jako posażną pannę i spadkobierczynię, a hołdy te utwierdzały ją w przekonaniu, że jest ulepiona z lepszej gliny niż ogół śmiertelników.

Erik, początkowo przygnębiony jej pogardą, w końcu zirytowany, poprzysiągł sobie, że zatriumfuje nad nią. Poczucie upokorzenia miało też swój udział w żarliwej gorliwości, z jaką zabrał się do nauki. Marzył o osiągnięciu dzięki pracy tak powszechnego szacunku, by każdy musiał chylić przed nim czoła. Przyrzekł też sobie, że wyjedzie przy pierwszej nadarzającej się okazji, że nie pozostanie pod tym dachem, gdzie każdy dzień oznacza nowe skrywane poniżenie. Trzeba było się tylko postarać, by zacny doktor nie poznał motywów tego wyjazdu, by przypisywał go jedynie umiłowaniu podróży. I dlatego Erik wspominał nieraz o zamiarze wzięcia udziału w jakiejś ekspedycji naukowej po ukończeniu studiów. Toteż, kontynuując w Uppsali studia medyczne, poddawał się najsurowszym próbom i ćwiczeniom, przygotowując się w ten sposób do życia pełnego trudów i niebezpieczeństw, które jest udziałem wielkich podróżników.

XI. Jak donoszą z „Vegi”...

Był grudzień 1878 roku. Erik rozpoczął właśnie dwudziesty rok życia i zdał swój pierwszy egzamin doktorski. Cała naukowa Szwecja, a nawet rzecz można — cały świat, były zaprzątnięte wielką wyprawą arktyczną żeglarza Nordenskjolda. Przygotowawszy swe przedsięwzięcie kilkoma podróżami w rejony polarne, przestudiowawszy dogłębnie wszelkie dane, Nordenskjold po raz kolejny próbował odkryć Przejście Północno-Wschodnie z Atlantyku na Pacyfik, które od trzech wieków obracało wniwecz wysiłki wszystkich potęg morskich.

Plan wyprawy nakreślił szwedzki żeglarz w rozprawie profesorskiej, gdzie wykazał powody, dla których uważał Przejście Północno-Wschodnie za nadające się do użytku latem i przedstawił środki, dzięki którym miał nadzieję doprowadzić do realizacji tego desideratum geograficznego. Rozumna hojność dwóch skandynawskich armatorów i współdziałanie rządu szwedzkiego umożliwiły mu zorganizowanie wyprawy dokładnie w takich warunkach, jakie uważał za sprzyjające sukcesowi.

W dniu 21 lipca 1878 roku Nordenskjold wyruszył z Tromso na pokładzie „Vegi”, by spróbować dotrzeć do Cieśniny Beringa płynąc wzdłuż północnych wybrzeży Rosji i Syberii. Porucznik Palander z marynarki szwedzkiej dowodził statkiem, na którego pokładzie znajdował się, oprócz kierownika i inspiratora wyprawy, cały sztab botaników, geologów, lekarzy i astronomów. „Vega”, specjalnie przystosowana do celów wyprawy według planów samego Nordenskjolda, była statkiem o wyporności pięćset ton, świeżo zbudowanym w Bremie i wyposażonym w śrubę napędową połączoną z maszyną parową o mocy sześćdziesięciu koni. Trzy węglowce miały jej towarzyszyć do trzech kolejnych, wyznaczonych na wybrzeżu syberyjskim punktów. Wszystko zostało przygotowane z myślą o wyprawie dwuletniej, na wypadek gdyby doszło po drodze do przymusowego zimowania. Nordenskjold nie ukrywał jednak nadziei, że dotrze do Cieśniny Beringa jeszcze przed jesienią dzięki dokładności dokonanych pomiarów, a cała Szwecja tę nadzieję podzielała.

Wyruszywszy z najdalej na północ wysuniętego portu Norwegii, „Vega” dopłynęła

29 lipca do Nowej Ziemi, 1 sierpnia znalazła się na Morzu Karskim, 6 sierpnia osiągnęła ujście Jeniseju, 9 sierpnia osiągnęła przylądek Czeluskin, najdalej wysunięty punkt starego kontynentu, co nie udało się dotąd żadnemu statkowi. Zakotwiczyła 7 września u ujścia Leny, gdzie zostawiła trzeci węglowiec, który zaraz 16 października nadał w Irkucku depezę oznajmiającą światu powodzenie pierwszego etapu wyprawy.

Nietrudno się domyślić, z jaką niecierpliwością czekali na szczegóły tej podróży liczni przyjaciele szwedzkiego żeglarza. Dotarły one dopiero w pierwszych dniach grudnia, bo o ile elektryczność pokonuje odległości z prędkością myśli, to nie można tego powiedzieć o syberyjskiej poczcie. Listy z „Vegi”, nadane w Irkucku jednocześnie z depezą, potrzebowały na dotarcie do Sztokholmu ponad sześciu tygodni. Ale wreszcie doszły i począwszy od 5 grudnia jedna z największych gazet szwedzkich rozpoczęła publikację korespondencji z pierwszego etapu podróży, pióra pewnego młodego doktora medycyny — członka ekspedycji.

Tego samego dnia przy obiedzie mecenas Bredejord przeglądał z zainteresowaniem szczegółową relację, zajmującą cztery kolumny gazety. Nagle wzrok jego padł na jeden z fragmentów tekstu i adwokat aż podskoczył. Przeczytał go raz jeszcze, i jeszcze raz, po czym porwał się z miejsca, narzucił pelisę, schwycił kapelusz i pomknął jak strzała do doktora Schwaryencrony.

— Czytał pan korespondencję z „Vegi”? — krzyknął, wpadając jak burza do jadalni, gdzie jego przyjaciel jadł właśnie z Kajsą obiad.

— Ledwie zacząłem — odrzekł doktor — i miałem zamiar dokończyć lektury przy poobiedniej fajce.

— A więc nie widział pan jeszcze — wysapał Bredejord — nie widział pan, co zawiera ta korespondencja?

— Nie — odparł doktor z całkowitym spokojem.

— No to niech pan tego posłucha! — wykrzyknął Bredejord, przysuwając się do okna. — To dziennik jednego z pańskich kolegów po fachu, młodszego przyrodnika na pokładzie „Vegi”... Niech pan słucha:

„30 i 31 lipca. Weszliśmy w cieśninę Jugorski Szar i zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu wioski samojedzkiej zwanej Chabarowo. Zeszliśmy na ląd. Przebadaliśmy metodą Holmgrena kilku tubylców, by sprawdzić zakres ich poczucia koloru. Stwierdziliśmy, że jest ono normalnie rozwinięte... Kupiliśmy od pewnego samojedzkiego rybaka dwa wspaniałe okazy łososia...”

— Pan wybaczy — przerwał mu doktor z uśmiechem. — Czy to jakaś szarada? Bo wyznam, że nie pojmuję znaczenia tych szczegółów.

— Ach, tak! Nie pojmuję pan znaczenia tych szczegółów! — wykrzyknął Bredejord triumfującym tonem. — No to niech pan posłucha dalej...

„Kupiliśmy od pewnego samojedzkiego rybaka dwa wspaniałe okazy łososia, nie

znanego dotąd gatunku, które umieściłem w pojemniku z alkoholem, pomimo protestów naszego koka...

Wypadek: Opuszczając statek, rybak wpadł do wody w chwili, gdy mieliśmy już podnosić kotwicę. Wyłowiliśmy go na poły uduszonego, zmarzniętego na kość i na dodatek rannego w głowę. Nieprzytomnego zanieśliśmy do punktu opatrunkowego „Vegi”, a rozebrawszy go i położywszy odkryliśmy, że ów samojedzki rybak jest Europejczykiem! Ma rude włosy, nos złamany w jakimś wypadku, a na piersi, na wysokości serca, wytatuowane w ramce słowa: Patrick O’Donoghana, „Cynthia”...

Tu Schwaryencronie wydarł się okrzyk zaskoczenia.

— Niech pan czeka, to nie wszystko — rzekł Bredejord i kontynuował czytanie:

„Energiczny masaż przywrócił go do życia. Nie mogliśmy jednak wysadzić go w tym stanie. Miał gorączkę i majaczył. Zabraliśmy go więc ze sobą. W taki oto szczególny sposób nasze doświadczenia nad poczuciem koloru u Samojedów zostały obrócone wniwecz.

3 sierpnia. Rybak z Chabarowa już całkiem przyszedł do siebie. Był zaskoczony, że jest na pokładzie „Vegi” i w drodze do przylądka Czeluskin, ale szybko się z tym pogodził. Jego znajomość języka Samojedów mogła nam się przydać, skłoniliśmy go więc, aby popłynął z nami wzdłuż wybrzeża Syberii. Mówi po angielsku nosowo jak Jankesi, twierdzi, że jest Szkotem i nazywa się Johnny Bowles. Przybył jakoby na Nową Ziemię z rosyjskimi rybakami i zamieszkuje w tych stronach od dwunastu lat. Nazwisko wytatuowane na jego piersi jest, jak mówi, nazwiskiem jednego z jego przyjaciół z dzieciństwa, nieżyjącego od bardzo dawna...”

— To na pewno on! — wykrzyknął doktor mocno poruszony.

— Prawda, że nie może tu być żadnej wątpliwości? — rzekł adwokat. — Nazwisko, statek, rysopis, wszystko się zgadza! I jeszcze ten pseudonim — Johnny Bowles... i staranne uśmiercenie Patricka O’Donoghana. Dowodów jest aż nadto!

Obaj umilkli, rozmyślając nad możliwymi konsekwencjami tego odkrycia.

— Jak do niego dotrzeć tak daleko? — rzekł wreszcie doktor.

— To będzie oczywiście trudne — odparł Bredejord. — Ale wreszcie wiemy, że żyje, i znamy część świata, w której się znajduje, a to już jest coś! Poza tym trzeba się liczyć z nieprzewidzianymi okolicznościami!... Być może zostanie do końca na pokładzie „Vegi” i przywiezie nam do samego Sztokholmu upragnione wyjaśnienia! A jeśli nie, to być może prędzej czy później nadarzy się okazja spotkania z nim! Podróże do Nowej Ziemi staną się częstsze dzięki wyprawie Nordenskjolda. Armatorzy już dziś mówią o wysyłaniu co roku statków do ujścia Jeniseju...

Na ten temat można było wieść nie kończące się dysputy. Kiedy o drugiej przybył z Uppsali Erik, obaj przyjaciele jeszcze rozprawiali z ożywieniem. Erik też przeczytał wielką nowinę i nie tracąc ani chwili wskoczył do pociągu. Lecz, co ciekawe, niepokój

wziął w nim górę nad radością.

— Wiecie, czego się teraz obawiam? — rzekł do doktora i Bredejorda. — Boję się, że „Vedze” przytrafiło się jakieś nieszczęście... Bo pomyślcie tylko, dziś jest piąty grudnia, a dowódcy wyprawy liczyli, że dopłyną do Cieśniny Beringa przed październikiem!... Gdyby te przewidywania się sprawdziły, wiedzielibyśmy już o tym, bo „Vega” byłaby od dawna w Japonii lub przynajmniej w Petropawłowsku Kamczackim, na Aleutach, w jakiejś bazie morskiej na Pacyfiku, skąd mielibyśmy o niej wieści!... Tymczasem depesze i listy, które przyszły przez Irkuck, datowane są 7 września, a zatem od bitych trzech miesięcy nie wiadomo, co się dzieje z „Vega”... To znaczy, że nie dotarła na czas do Cieśniny Beringa... a to z kolei oznacza, iż podzieliła los wszystkich wypraw, które od trzech wieków wyruszały na podbój Przejścia Północno-Wschodniego! Oto żalorny wniosek, jaki mi się nasuwa!

— Może „Vega” musiała zimować wśród pól lodowych, co też mieściło się w przewidywaniach — zaoponował doktor.

— Oczywiście, tak mogło się stać w najlepszym wypadku. Lecz zimowanie wiąże się z tyloma niebezpieczeństwami, że niemal równa się katastrofie. W każdym razie jedno odtąd nie ulega wątpliwości: jeśli w ogóle będziemy mieli jakieś wieści o „Vedze”, to nie prędzej niż latem przyszłego roku.

— A dlaczegoż to?

— Z tego prostego powodu, że jeśli nawet „Vega” nie zatonała, to tkwi teraz uwięziona w lodach i nie będzie mogła z nich wyjść wcześniej niż w czerwcu lub lipcu, przy sprzyjających okolicznościach.

— To prawda — odrzekł Bredejord.

— Jaki wyciągasz wniosek z tego rozumowania? — zapytał doktor, zaniepokojony rwącym się głosem Erika.

— Taki, że nie mogę czekać tak długo nie mając rozeznania w najważniejszej dla mnie sprawie!...

— Co chcesz zrobić? Trzeba pogodzić się z tym, co nieuniknione!...

— O ile nie jest takim tylko z pozoru — odrzekł Erik. — Listy nadeszły z mórz arktycznych przez Irkuck. Dlaczego ja nie miałbym podążyć tą samą drogą?... Przemierzyłbym wybrzeże Syberii, rozpytując tamtejszych mieszkańców, czy nie słyszeli o jakimś statku, który zatonął lub został uwięziony w lodach!... Może udałoby mi się odnaleźć Nordenskjolda... i Patricka O'Donoghana!... To przedsięwzięcie warte zachodu!

— W środku zimy?

— Dlaczego nie? Na tej szerokości geograficznej to najlepsza pora do podróżowania saniami.

— Tak, ale zapominasz, że jeszcze tam nie jesteś i że wiosna przybędzie tam przed tobą.

— To prawda. — Erik musiał uznać siłę tego zastrzeżenia. Ze wzrokiem wbitym w podłogę pograżył się w rozmyślaniach.

— Mniejsza z tym! — zawołał nagle. — Trzeba odnaleźć Nordenskjolda, a wraz z nim Patricka O'Donoghana!... I albo tak się stanie, albo przynajmniej ja nie będę miał sobie nic do zarzucenia!...

Pomysł Erika był bardzo prosty. Polegał na przekazaniu gazetom sztokholmskim, pod postacią obiektywnej notatki, alternatywy dotyczącej prawdopodobnego losu „Vegi” — albo zatonała, albo tkwi uwięziona w lodach — z wnioskiem o wszczęcie poszukiwań.

Rozumowanie było na tyle ścisłe, a zainteresowanie towarzyszące próbie Nordenskjolda na tyle powszechne, by młody student z Uppsali mógł mieć pewność, że kwestia ta będzie z zapalem roztrząsana w kręgach naukowych. Jednak efekt zamieszczenia notatki przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. We wszystkich bez wyjątku gazetach ukazały się aprobujące komentarze. Nie tylko kręgi naukowe, lecz cały naród wziął ją sobie do serca. Opinia publiczna wypowiedziała się, z nie mającą równej sobie jednomyślnością, za zorganizowaniem wyprawy ratunkowej. Utworzyły się komitety, otwarto subskrypcje dla jej przygotowania. Handel, przemysł, szkoły, sądy, wszystkie klasy społeczne chciały mieć swój udział w nowym przedsięwzięciu. Pewien bogaty armator zaofiarował się wyposażyć na własny koszt statek, który miał popłynąć śladami „Vegi” i nazwał go „Nordenskjold”.

Powszechny zapał wzrastał w miarę upływu dni bez pomyślnych wieści o Nordenskjoldzie. W końcu grudnia subskrybowany fundusz osiągnął już pokaźną sumę. Doktor Schwaryencrona i mecenas Bredejord znajdowali się na czele listy, każdy z subskrypcją opiewającą na dziesięć tysięcy koron. Byli członkami głównego komitetu, który wybrał Erika na sekretarza.

Stał się on prawdziwą duszą tego komitetu. Przez swoją gorliwość, skromność, bezsprzeczną kompetencję we wszystkich dotyczących ekspedycji kwestiach, które badał i zgłębiał bez wytchnienia, zyskał wkrótce decydujący głos. Od pierwszego dnia nie ukrywał, że jego marzeniem jest wziąć udział w wyprawie, choćby w charakterze prostego marynarza, ani że ma w tym własny nadrzędny interes. Samo to dodawało wagi wspaniałym pomysłom, jakie podsuwał organizatorom. Toteż kierował osobiście wszystkimi pracami przygotowawczymi.

Po pierwsze ustalono, że „Nordenskjoldowi” towarzyszyć będzie drugi statek, co poszerzy zasięg poszukiwań, i że statek ów będzie, jak „Vega”, parowcem. Sam Nordenskjold wykazał, że główną przyczyną niepowodzeń wszystkich poprzednich prób było użycie żaglowców. Żeglarzom arktycznym, szczególnie podczas wyprawy badawczej, konieczna jest niezależność od wiatru, możliwość posuwania się ze stałą prędkością i przyspieszenia w razie potrzeby celem opuszczenia miejsc szczególnie niebezpiecz-

nych, a przede wszystkim stała możliwość wydostania się na pełne morze bez względu na to, gdzie ono jest, co dla żaglowca często bywa niewykonalne.

Po uzgodnieniu tej podstawowej sprawy postanowiono również, że kadłub statku zostanie pokryty grubą na sześć cali dębową powłoką i podzielony na szczelne komory, co uczyni go niezależnym od częściowych uszkodzeń spowodowanych uderzeniami kry lodowej; że będzie miał słabe zanurzenie i zostanie tak urządzony, by mógł zabrać stosunkowo duży zapas węgla.

Z ofert przedłożonych komitetowi wybrano szkuner o wyporności pięciuset czterdziestu ton, świeżo ukończony w Bremie, którym osiemnastoosobowa załoga mogła bez trudu manewrować. Szkuner ten, przy zachowaniu omasztowania, został wyposażony w maszynę parową o mocy osiemdziesięciu koni i w śrubę napędową umocowaną w taki sposób, by można było wciągnąć ją na pokład, gdyby zagrażały jej lody. Ponieważ mogło zabraknąć węgla, palenisko jednego z kotłów zostało przystosowane do spalania olejów lub tłuszczów, o które łatwo w rejonach arktycznych. Chroniony dębową powłoką kadłub wzmocniono dodatkowo poprzecznymi belkami, co dawało mu dużą odporność na napór lodów, opancerzono dziób i uzbrojono go w stalowe ostrze do torowania drogi w ławicy lodowej, gdy jej grubość nie będzie przekraczała linii zanurzenia.

Zakupionemu i ustawionemu na pochylni szkunerowi nadano imię „Alaska”, zgodnie z kierunkiem przeznaczenia. Zdecydowano bowiem, że gdy „Nordenskjold” popłynie tą samą drogą co „Vega”, drygi statek podąży dookoła świata w przeciwnym kierunku, by przez Cieśninę Beringa wpłynąć na Morze Wschodniosyberyjskie od strony półwyspu Alaska. Szansę odnalezienia wyprawy szwedzkiej, jeśli była w niebezpieczeństwie, lub jej śladów, jeżeli zginęła, miały być w ten sposób podwojone, bo gdy jeden ze statków popłynie za nią, drugi w pewnym sensie wyruszy jej naprzeciw.

Erik, któremu zawdzięczano ten pomysł, często zastanawiał się, której z dwu dróg przyznałby pierwszeństwo i w końcu wybrał tę drugą.

— „Nordenskjold” — mówił sobie — popłynie tą samą drogą co „Vega”. Musiałby więc mieć tyle szczęścia co ona w pierwszym etapie podróży, chociażby po to, by opłynąć przylądek Czeluskin, a nic nie gwarantuje, że kiedykolwiek dotrze równie daleko, bo jak dotąd udało się to tylko raz! Poza tym w chwili wysłania ostatnich wiadomości „Vega” znajdowała się już tylko o jakieś dwieście, trzysta mil od Cieśniny Beringa, a zatem wychodząc jej naprzeciw właśnie tą drogą, ma się najwięcej szans na jej znalezienie. „Nordenskjold” może ją tropić całymi miesiącami i nie natrafić na nią. Ci, którzy popłyną w przeciwnym kierunku, nie mogą jej nie spotkać, jeśli tylko jeszcze istnieje, bo płynie wzdłuż wybrzeży Syberii.

A dla Erika najważniejszą sprawą było jak najszybsze spotkanie z „Vega” i tym samym z Patrickiem O’Donoghane.

Doktor oraz Bredejord zgodzili się z nim w pełni, gdy tylko zapoznał ich ze swoimi

przemysleniami.

Tymczasem prace przygotowawcze na „Alasce” posuwały się szybko naprzód. Dobrano, zgodnie ze sprawdzonymi w praktyce zasadami, zapasy żywności i odzieży. Skompletowano załogę z doborowych marynarzy, zahartowanych w połowach u wybrzeży Islandii i Grenlandii. Wreszcie komitet wybrał kapitana, którym został porucznik Marsilas, oficer marynarki szwedzkiej w służbie pewnej kompanii morskiej, dobrze znany ze swych rejsów po morzach arktycznych. Pierwszym oficerem został sam Erik, który z taką energią służył przedsięwzięciu. Legitymował się już zresztą dyplomem kapitana żeglugi wielkiej. Na drugiego i trzeciego oficera wybrano dwóch doświadczonych marynarzy: Bosewita i Kjellquista.

„Alaska” miał zabrać materiały wybuchowe, aby w razie potrzeby wysadzać lodowe góry, i ogromny zapas konserw przeciwskorbutowych, by stawić czoła chorobom arktycznym. Została też wyposażona w ogrzewacz, żeby na wszystkich szerokościach geograficznych zachować jednakową, umiarkowaną temperaturę, i w przenośne obserwatorium, zwane „bocianim gniazdem”, które wciąga się na szczyt najwyższego masztu, ażeby stamtąd mógł ktoś sygnalizować zbliżanie się gór lodowych. Na wniosek Erika obserwatorium otrzymało silne źródło światła elektrycznego do oświetlania nocą drogi „Alasce”, zasilane przez maszynę statku. Załadowano także siedem dodatkowych łodzi — w tym dwie wielorybnicze — i jeden parowy kuter, sześć sań, po jednym komplecie ślizgówek na każdego członka załogi oraz cztery działa Gatlinga, trzydzieści powtarzalnych karabinów i niezbędną amunicję.

Przygotowania dobiegały końca, kiedy przybyli z Noro maaster Hersebom i jego syn Otto z wielkim Klaasem, by ubiegać się o przyjęcie ich jako marynarzy do załogi „Alaski”. Znali z listu Erika jego silne osobiste zaangażowanie w tę podróż i chcieli dzielić z nim jej niebezpieczeństwa. Maaster Hersebom podkreślał swe doświadczenie nabyte u wybrzeży Grenlandii i użyteczność Klaasa jako przewodnika psiego zaprzęgu sań. Otto miał do zaoferowania jedynie swe wspaniałe zdrowie, herkulesową siłę i całkowite oddanie. Dzięki poparciu doktora i Bredejorda cała trójka została zatwierdzona przez komitet.

Z początkiem lutego roku 1879 wszystko było gotowe. „Alaska” miała więc pięć pełnych miesięcy na dotarcie do Cieśniny Beringa z końcem czerwca, czyli w okresie uznawanym za najbardziej sprzyjający badaniom w tym rejonie. Trasa jej wiodła najkrótszą drogą, to jest przez Morze Śródziemne, Kanał Suezki, Ocean Indyjski i morza oblewające Chiny, obejmując postoje dla załadunku węgla w Gibraltarze, Adenie, Kolombo, Singapurze, Hongkongu, Jokohamie i Petropawłowsku Kamczackim.

Ze wszystkich postojów „Alaska” miała telegrafować do Sztokholmu. Uzgodniono naturalnie, że gdyby nadeszły wiadomości z „Vegi”, zostanie o tym powiadomiona.

Rejs „Alaski”, z założenia wyprawa arktyczna, miał się tedy zacząć od podróży przez

morza tropikalne, wzdłuż kontynentów najbardziej obdarzonych słońcem. Trasa ta nie została jednak wytyczona dla przyjemności. Narzuciła ją konieczność dotarcia do Cieśniny Beringa najkrótszą drogą, przy zachowaniu do ostatniej chwili telegraficznego kontaktu ze Sztokholmem.

Tymczasem wyniknęła dość poważna trudność mogąca opóźnić wypłynięcie. Tak wiele wydano pieniędzy na wyposażenie statku, że zaistniała obawa, iż nie wystarczy funduszy na finansowe zabezpieczenie wyprawy. Należało przecież liczyć się z okazałymi zakupami węgla i różnymi innymi kosztami. Trzeba było rozpisać nową subskrypcję. Po jej ogłoszeniu w dniu 2 lutego dwa listy wartościowe, które nadeszły jednocześnie, Wywołały poruszenie w Komitecie.

Pierwszy był od pana Malariusza, nauczyciela szkoły powszechnej w Nore, laureata Towarzystwa Botanicznego. Zawierał on banknot stukoronowy i prośbę o włączenie jego nadawcy do wyprawy w charakterze młodszego przyrodnika.

W drugim znaleziono czek na dwadzieścia pięć tysięcy koron z tą lakoniczną notką:

Na wyprawę „Alaski”. Od Tudora Browna pod warunkiem, że zostanie zabrany jako pasażer.

XII. Nieprzewidziani pasażerowie

Prośba pana Malariusza miała zbyt wzruszający charakter, by nie zostać przyjętą z życzliwością przez komitet główny. Toteż przegłosowano ją entuzjastycznie i zacny nauczyciel, którego reputacja jako botanika sięgała dalej, niż on sam przypuszczał, został mianowany asystentem przyrodnika ekspedycji.

Co się zaś tyczy warunku wpłaty dwudziestu pięciu tysięcy koron postawionego przez Tudora Browna, to początkowo doktor Schwaryencrona i mecenas Bredejord mieli olbrzymią ochotę nie dopuścić do jego przyjęcia. Lecz gdyby przyszło im wyznaczyć powody niechęci, byłiby w dużym kłopotcie. Jaką bowiem podać komitetowi przyczynę, wnosząc o odrzucenie tak znacznej sumy? Nie potrafili przedstawić żadnego przekonującego uzasadnienia. Wprawdzie Tudor Brown dostarczył doktorowi Swaryencronie akt zgonu Patricka O'Donoghana, który, jak się wydawało, żył nadal, ale jak udowodnić nieuczciwość Browna w całej sprawie? Właśnie o to zapyta nie bez racji komitet, zanim odmówi przyjęcia sumy wyciągającej go z kłopotów. Tudor Brown mógł przecież utrzymywać, że działał w dobrej wierze. Obecne zachowanie wydawało się to potwierdzać. Może i on ma na celu sprawdzenie, w jaki sposób Patrick O'Donoghana, który w jego przekonaniu utopił się podczas trawersady Madery, znalazł się na wybrzeżu Syberii. A jeśli nawet założyć, że zamierzenia Tudora Browna są inne, to może warto mieć go na oku, poznać bliżej i bacznie obserwować. Bo w końcu jedno z dwóch: albo nie ma nic wspólnego z dochodzeniem, od tak dawna zajmującym przyjaciół Erika, i wtedy nie miałoby sensu traktowanie go jak nieprzyjaciela, albo przeciwnie, jest osobiście zainteresowany w tej jakże ciemnej sprawie, a wówczas sto razy lepiej widzieć jego działania, by móc im się przeciwstawić.

Doktor i Bredejord zaczęli więc od tego, że postanowili nie sprzeciwiać się zaokręto-
waniu Tudora Browna. Potem stopniowo zapragnęli osobiście przyjrzeć się temu dziwnemu człowiekowi i dowiedzieć, dlaczego właściwie chce popłynąć na pokładzie „Alaski”. Ale jak tego dokonać samemu tam nie będąc? A właściwie... dlaczego nie?... Czy byłoby to znów takie niedorzeczne? Trasa „Alaski”, przynajmniej w pierwszym etapie, za-

powiadała się niezwykle kusząco. Krótko mówiąc, doktor Schwaryencrona, wielki amator podróży, zwrócił się z prośbą o zabranie go jako pasażera, chociażby tylko do mórz chińskich. Gotów był zapłacić za to każdą cenę, jaką komitet uzna za stosowną.

Jego przykład podziałał z nieodpartą siłą na mecenasa Bredejorda, który od dawna marzył o wycieczce do krainy słońca. On także postarał się o kajutę na identycznych warunkach.

Cały Sztokholm spodziewał się, że profesor Hochstedt postąpi tak samo, po trosze z naukowej ciekawości, po trosze z lęku przed wielomiesięcznym osamotnieniem z dala od przyjaciół. Lecz profesor zawiódł oczekiwania Sztokholmu. Bardzo kusił go wyjazd, ale tak starannie ważył wszystkie za i przeciw, że w końcu nie był w stanie podjąć żadnej decyzji. Zdał się więc na ślepy los — zagrał w orła i reszkę... Ślepy los kazał mu zostać.

Tymczasem ustalono ostatecznie datę wyjazdu na 10 lutego. Erik dzień wcześniej oczekiwał pana Malariusza. Mile zaskoczyło go, że wraz z nim przybyły do Sztokholmu pani Katrina i Vanda, które wsiadły w pociąg, by się z nim pożegnać. Zatrzymały się skromnie w miejskim zajeździe, doktor jednak nalegał, by zamieszkały u niego, ku wielkiemu niezadowoleniu Kajsy, nie uważała bowiem tych gości za wystarczająco dystyngowanych.

Vanda była teraz postawną panną, której uroda dotrzymała wszystkich swych obietnic. Właśnie zdała pomyślnie w Bergen bardzo trudne egzaminy, które dawały jej prawo ubiegania się o miejsce w szkole wyższej, ale ona wolała pozostać w Noro, u boku swej matki. Miała zastępować pana Malariusza podczas jego nieobecności. Zawsze poważna i łagodna, zawdzięczała swemu solidnemu wykształceniu, które zresztą w niczym nie zmieniło prostoty jej domowych przyzwyczajęń, niezwykle i głęboko oryginalny urok. Nic bardziej zdumiewającego niż widok tej pięknej osoby w jej norweskim stroju, wypowiadającej się spokojnie na najpoważniejsze naukowe tematy lub zasiadającej do pianina i grającej z prawdziwym talentem sonatę Beethovena. Jednak najbardziej czarujący był w niej brak pretensjonalności i naturalny sposób bycia. Nie usiłowała skupiać na sobie uwagi, nie pyszniła się swymi talentami, jak i nie rumieniła z powodu swych butów zapinanych na klamry. Rozkwitała w swym wdzięku jak polny kwiat, znaleziony na brzegu fiordu i wyhodowany przez starego nauczyciela w małym ogródku za szkołą.

Wieczorem intymne spotkanie zgromadziło w bawialni całą przybraną rodzinę Erika. Bredejord i doktor rozegrali z profesorem Hochstedtem ostatnią partyjkę wista. Przy okazji wyszło na jaw, że pan Malariusz jest prawdziwym mistrzem w tej szlachetnej grze, co mogło umilić wolny czas na „Alasce”. Niestety, zacny nauczyciel wyjawiał jednocześnie, że będąc podatnym na chorobę morską, prawie nigdy nie podnosi się z koi, gdy już jego noga stanie na pokładzie statku. Zdecydował się zaokrętować wyłącznie przez uczucie dla Erika, połączone z podsycaną przez całe pracowite życie ambicją dorzucenia kilku nowych odmian do już skatalogowanych rodzin botanicznych.

Po wiście przysłała pora na odrobinę muzyki. Kajsa, z wymalowaną na twarzy pogardą, odegrała modnego walca. Vanda zaśpiewała głosem o zdumiewającej skali i czystości starą pieśń skandynawską. Następnie podano herbatę i wielką wazę ponczu, który wypito za powodzenie wyprawy. Erik zauważył, że Kajsa ostentacyjnie nie tknęła swej szklaneczki.

— Czyżbyś nie życzyła nam szczęśliwej podróży? — zapytał ją półgłosem.

— Po co życzyć czegoś, w co się nie wierzy? — odparła.

Nazajutrz o świcie wszyscy z wyjątkiem Tudora Browna znajdowali się na pokładzie. Od wysłania listu wartościowego nie dał znaku życia.

O dziesiątej miało nastąpić wyjście z portu. Z pierwszym uderzeniem zegara kapitan Marsilas kazał podnieść kotwicę i bić w dzwon na odjazd, by powiadomić odprowadzających, że powinni zejść na ląd.

— Żegnaj, Eriku! — wykrzyknęła Vanda, zarzucając mu ramiona na szyję.

— Żegnaj, mój synu! — rzekła Katrina przyciskając do serca młodego porucznika.

— A ty, Kajso, nic mi nie powiesz? — zapytał Erik, zbliżając się do niej, jakby i ją chciał uściskać.

— Życzę ci, żebyś sobie nie odmroził nosa i żebyś odkrył, że jesteś utajonym księciem! — odparła śmiejąc się impertynencko.

— Gdyby tak było, czy zyskałbym choć odrobinę twojej przyjaźni? — rzekł próbując się uśmiechnąć, by ukryć gorycz, jaką ten sarkazm napawał mu duszę.

— Wątpisz w to? — odrzekła Kajsa odwracając się ku wujowi, by wyraźnie dać do zrozumienia, że uznała pożegnanie za skończone.

I to było wszystko. Dzwon ponagłał. Tłum odprowadzających zmierzał ku trapowi, wokół którego tłoczyły się łodzie mające ich przewieźć na ląd. W tym zamieszaniu prawie nikt nie zauważył, że przybył pewien spóźnialski i z walizką w ręku wdrapuje się na pokład.

Tym spóźnialskim był Tudor Brown. Przedstawił się kapitanowi i zażądał wskazania mu jego kajuty, co też natychmiast uczyniono.

Minutę później rozległy się dwa lub trzy przeciągłe, przenikliwe gwizdy, po czym ruszyła śruba napędowa. Pienista kipiela pobieliła wody za rufą i „Alaska”, sunąc majestycznie po zielonych wodach Bałtyku, wypłynęła ze Sztokholmu przy akompaniamencie owacji tłumowi machającego kapeluszymi i chusteczkami.

Erik, stojąc na mostku kapitańskim, kierował manewrowaniem statku. Bredejord i doktor, oparci o parapet bakburty, przesyłali ostatnie pożegnania stojącym na molu Kajsie i Vandzie. Malarius, trapiiony przykrą dolegliwością, poszedł wyciągnąć się na koi.

Całkowicie pochłonięci smutkiem rozłąki, nie zauważyli przybycia Tudora Browna. Toteż doktor nie mógł powstrzymać odruchu zaskoczenia, kiedy odwróciwszy się do-

strzegł, jak ów wyłania się z głębi statku i idzie wprost na niego, z rękami w kieszeniach, ubrany tak, jak podczas ich jedyne go spotkania, w nieodłącznym, jakby przyrośniętym do głowy kapeluszu.

— Ładna pogoda — rzekł bez powitań i wstępów Tudor Brown.

Jego tupet wprawił doktora w osłupienie. Odczekał kilka chwil w nadziei, iż dziwaczna postać zdobędzie się jednak na jakieś przeprosiny czy wyjaśnienie swego postępowania, ale widząc, że nic z tego, otworzył ogień:

— No i cóż, mój panie, zdaje się, że Patrick O'Donoghane nie jest aż tak martwy, jak mówiono? — wykrzyknął ze zwykłą porywcznością.

— Tego właśnie trzeba się dowiedzieć — odparował tamten z niewzruszoną flegmą.

— Po to starałem się o udział w tej podróży, żeby sprawdzić, jak się rzeczy mają.

Po tych słowach Tudor Brown obrócił się na pięcie i uznawszy niewątpliwie wy tłumaczenie za całkowicie satysfakcjonujące, zaczął przemierzać pokład, pogwizdując swą ulubioną melodyjkę.

Erik i Bredejord przysłuchiwali się tej szybkiej wymianie zdań ze zrozumiałym zaciekawieniem. Osoba Tudora Browna była dla nich nowa. Toteż przyglądali mu się uważnie, uważniej jeszcze niż doktor. Wydawało im się, że cudzoziemiec, stwarzając pozory obojętności, rzuca od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia w ich stronę, jakby chciał sprawdzić, jakie robi na nich wrażenie. Toteż obaj, nie umawiając się, udali natychmiast, że jego obecność w ogóle ich nie zajmuje. Ale wkrótce, zszedłszy do salonu, na który wychodziły wszystkie kajuty, urządzili naradę.

W jakim celu ów Tudor Brown usiłował wykazać śmierć Patricka O'Donoghana? Do czego zmierza teraz, wypływając na „Alasce”? Nie potrafili na to odpowiedzieć, lecz trudno było uwierzyć, że te zabiegi nie wiążą się w bardziej lub mniej bezpośredni sposób z historią „Cynthii” oraz „dziecka na kole”. Zainteresowanie Erika i jego przyjaciół Patrickiem O'Donoghane było w istocie podyktowane założeniem, że zna on całą prawdę. Tylko to kazało im odnaleźć Irlandczyka. Tymczasem pojawił się człowiek, który przybył nieproszony i oświadczył, iż Patrick O'Donoghane zginął, po czym, gdy tylko jego oświadczenie zostało zdementowane w najbardziej nieoczekiwany sposób, wymógł swój udział w wyprawie. Należało tedy wnosić, że ma w tym wszystkim własny interes, a sam fakt odwiedzenia Schwaryencrony wskazywał na powiązanie tego interesu z dochodzeniem wszczętym przez doktora.

Tak więc wszystko wydawało się wskazywać, że Tudor Brown jest w całej sprawie czynnikiem co najmniej tak ważnym jak sam Patrick O'Donoghane. Kto wie, może znał już sekret, który oni usiłowali przeniknąć? A gdyby tak było, to należało cieszyć się czy niepokoić jego obecnością na pokładzie? Bredejord skłaniał się ku tej drugiej postawie uważając, że twarz tego człowieka nie wzbudza zaufania. Doktor przeciwnie — utrzymywał, że pod płaszczykiem ekscentrycznych manier może kryć się człowiek z grun-

tu uczciwy.

— Jeżeli on coś wie — mówił — można zawsze mieć nadzieję, że uda się to z niego wyciągnąć w atmosferze zażyłości, jaka nieuchronnie tworzy się podczas długiej podróży! A wtedy będzie to iście szczęśliwy traf, że znalazł się wśród nas. W najgorszym zaś razie dowiemy się, co on ma wspólnego z Patrickiem O'Donoghane, o ile uda nam się go odnaleźć.

Sam Erik nie śmiał nawet wyrazić uczucia, jakie budził w nim wygląd tego osobnika. Nie był to bowiem tylko wstręt czy nienawiść, ale wręcz instynktowna chęć, żeby skoczyć nań i wyrzucić go za burtę. Ogarnęło go nieodparte przekonanie, że ten typ musiał przyczynić się w jakiś sposób do nieszczęścia jego życia. Lecz wstydził się ulec podobnemu uprzedzeniu, a nawet je sformułować. Toteż ograniczył się do stwierdzenia, że gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia, nigdy by nie wziął na pokład Tudora Browna.

Jaką przyjąć wobec niego postawę? W tej kwestii zdania również były podzielone. Doktor dowodził, że trzeba chytrze podejść Tudora Browna, traktując go z pozorną przynajmniej życzliwością, by w ten sposób skłonić go do mówienia. Bredejord, podobnie jak Erik, czuł nieprzepartą niechęć do grania tej komedii. Nie był też całkiem pewien, czy sam Schwaryencrona znajdzie dość sił, by podporządkować się własnemu planowi. Ostatecznie uzależniono postawę od zachowania Browna oraz od okoliczności.

Nie trzeba było długo czekać. Dokładnie w południe zadzwoniono na obiad. Bredejord i doktor udali się do kapitańskiego stołu. Zastali tam już Tudora Browna, nadal w kapeluszu, nie przejawiającego najmniejszego zamiaru nawiązania kontaktu z sąsiadami. Ten człowiek był tak rozbijająco prostacki, że wprost nie sposób było się oburzać. Wyglądało na to, iż obce mu są nawet najprostsze zasady *savoir-vivre'u*. Nakładał sobie pierwszy, wybierał najlepsze kawałki, jadł i pił jak smok. Dwa lub trzy razy kapitan i Schwaryencrona próbowali nawiązać z nim rozmowę. Nie raczył nawet odpowiadać lub odpowiadał wyłącznie za pomocą gestów, co zresztą nie przeszkodziło, że pod koniec posiłku przechylił się z krzesłem do tyłu i poczynając sobie nieskrępowanie olbrzymią wykałaczką, odezwał się do Marsilasa tymi słowami:

— Kiedy będziemy w Gibraltarze?

— Myślę, że dziewiętnastego lub dwudziestego — odpowiedział kapitan.

Tudor Brown wyjął z kieszeni notes i spojrzął w kalendarz.

— To znaczy, że dwudziestego drugiego będziemy na Malcie, dwudziestego piątego w Aleksandrii, a z końcem miesiąca w Adenie — mówił jakby do siebie.

Po czym wstał, wyszedł na pokład i ponownie zaczął przemierzać rufówkę.

— Ładnego towarzysza podróży przydzielił nam komitet — nie mógł powstrzymać się od uwagi kapitan Marsilas.

Bredejord miał mu właśnie odpowiedzieć, kiedy u góry schodów wybuchł okrop-

ny harmider. Dochodziły stamtąd jakieś krzyki, szczekanie, niewyraźne głosy... Wszyscy zerwali się i pobiegli na pokład.

Przyczyną zamieszania był Klaas, wielki grenlandzki pies Herseboma. Najwidoczniej nie spodobała mu się mina Tudora Browna, bo widząc, jak przechodzi tam i z powrotem przed jego nosem, dał najpierw wyraz swej wrogości głuchymi warknięciami, po czym rzucił mu się na nogi. Tudor Brown natychmiast wyciągnął z kieszeni rewolwer i już miał się nim posłużyć, gdy w samą porę nadszedł Otto, by przeszkodzić mu w tym i odesłać Klaasa do jego niszy. Wywiązała się wtedy bezładna kłótnia. Tudor Brown, pobladły ze wściekłości czy strachu, chciał bezwzględnie zastrzelić psa, przeciwko czemu protestował maaster Herseboom, który pośpieszył w sukurs synowi. Na szczęście zjawił się kapitan i położył kres awanturze, prosząc Tudora Browna o schowanie rewolweru i zarządzając trzymanie odtąd Klaasa na łańcuchu.

Ten śmieszny incydent był jedynym wydarzeniem pierwszych dni podróży. Wszyscy przyzwyczaili się powoli do milczenia tudzież dziwacznych manier Tudora Browna. Przy stole kapitańskim traktowano go nieomal jak powietrze. Każdy miał swoje przyzwyczajenia i rozrywki. Malarius, po dwóch spędzonych na koi dniach, zaczął jeść i wkrótce był już w stanie zasiąść z doktorem i Bredejordem do niekończących się partii wista. Erik poświęcał czytaniu wszystkie wolne od służby chwile. Rejs „Alaski” przebiegał spokojnie i bez zakłóceń.

W dniu 11 lutego minęli Olandię, nazajutrz przekroczyli Sund, 13 lutego Skagerrak, następnego dnia przeszli obok Helgolandu, a 15 lutego zapuścili się w Cieśninę Kaletańską, po czym 16 opłynęli Przylądek La Hague.

Następnego nocy zaś śpiącego w kajucie Erika zbudziła niezwykła cisza. Nie słyszał wibracji śruby napędowej. Wprawdzie nie miał powodów do niepokoju, bo na wachcie był Kjellquist, lecz ciekawość kazała mu wstać i pójść zobaczyć, co się stało.

Z raportu głównego mechanika wynikało, że uległo uszkodzeniu ramię pompy cyrkulacyjnej, co pociągnęło za sobą konieczność wygaszenia ognia w paleniskach. Szli teraz pod żaglami przy dość słabej bryzie z południowego zachodu.

Oględziny trwały dość długo, nie rzuciły jednak światła na przyczynę awarii. Mechanik domagał się zatrzymania w najbliższym porcie celem jej usunięcia.

Kapitan Marsilas, po osobistym zbadaniu sprawy, podzielił jego opinię, a że znajdowali się o jakieś trzydzieści mil od Brestu, rozkazał wziąć kurs na ów duży port francuski.

XIII. Kierunek: południowy zachód

Nazajutrz „Alaska” weszła na redę w Breście. Awaria nie była na szczęście poważna. Wezwany natychmiast inżynier obiecał, że wszystko zostanie naprawione w ciągu trzech dni. Nie spowoduje to więc zbyt poważnego opóźnienia. Można je będzie zresztą częściowo nadrobić załadowując tu węgiel, co pozwoli zrezygnować z planowanego postoju w Gibraltarze. Wobec tego następny postój zostanie przełożony na Malte i w ten sposób zaoszczędzi się całą dobę. Rzeczywiste opóźnienie ograniczy się zatem do dwóch dni. Plan podróży zakładał przynajmniej trzydziestodniowy margines na nieprzewidziane okoliczności, nie było więc powodu do obaw i wszyscy czuli się odtąd na siłach przyjąć ten nieszczęśliwy traf ze stoickim spokojem.

Wkrótce miało się okazać, że ów traf przemieni się w święto. W kilka godzin wieść o przyplłynięciu „Alaski” rozeszła się po mieście, a ponieważ znano z gazet cel jej podróży, dowództwo szwedzkiego statku szybko stało się obiektem rozlicznych hołdów. Szef okręgu morskiego w randze admirała, mer Brestu, kapitan portu i kapitanowie statków stojących na redzie przybyli z oficjalną wizytą do kapitana Marsilasa. Wydano kolację i bal na cześć śmiałków, którzy wyruszyli na poszukiwanie Nordenskjolda. Choć doktor i Malarius nie lubowali się w tego typu światowych przyjęciach, nie wypadało im jednak nie pokazać się przy stole specjalnie dla nich przygotowanym. Natomiast Bredejord był w swoim żywiole.

Wśród gości szefa okręgu zaproszonych dla uhonorowania dowództwa „Alaski”, znajdował się wysoki starzec o delikatnej i melancholijnej fizjonomii. Erik prędko go dostrzegł i wyczytał w jego nieco smutnym spojrzeniu sympatię, co do której nie mógł się mylić. Był to Durrien, honorowy konsul generalny, aktywny działacz Towarzystwa Geograficznego, dobrze znany ze swych podróży do Azji Mniejszej i Sudanu, z których relacje czytał Erik z żywym zainteresowaniem. Kiedy ich sobie przedstawiono, rozmawiał na ich temat z francuskim uczonym jak człowiek kompetentny. Tego rodzaju przyjemność, choć zasłużona, bywa nieczęsto udziałem podróżników. Gdy ich przygody nabierają rozgłosu, stają się oni najczęściej przedmiotem banalnego podziwu tłumu,

znacznie rzadziej zdarza im się napotykać w salonie znawców, potrafiących właściwie ocenić ich osiągnięcia. Pełne respektu zainteresowanie młodego porucznika chwyciło za serce szacownego geografa i sprowadziło uśmiech na jego blade wargi.

— Niewielka jest moja zasługa w tych odkryciach — rzekł w odpowiedzi na kilka słów Erika dotyczących niedawnych, uwieńczonych sukcesem prac wykopaliskowych w okolicach Asuanu. — Parłem naprzód jak człowiek, który usiłuje zapomnieć o dotkliwej zgryzocie i nie dba o rezultaty, byle tylko mógł oddać się interesującym go zajęciom. Reszta była dziełem przypadku...

Widząc, że Erik i Durrien tak się zaprzyjaźnili, admirał zadbał, by posadzono ich obok siebie przy stole, dzięki czemu rozmowa mogła się toczyć przez całą kolację.

Przy kawie zagadnął porucznika z „Alaski” pewien niski, łysy mężczyzna, którego przedstawiono mu jako doktora Kergarideca. Zapytał bez ogródek, z jakiego pochodzi kraju. Początkowo, zaskoczony pytaniem, Erik odpowiedział, że jest Szwedem, a ściślej mówiąc Norwegiem, jego rodzina zaś mieszka w okręgu Bergen. Następnie zapragnął poznać przyczynę pytania.

— Przyczyna jest prosta — odpowiedział rozmówca. — Otóż od godziny pozwalam sobie przyglądać się panu przez stół, jedząc kolację, i muszę wyznać, że nigdy nigdzie nie widziałem równie czystego typu celtyckiego!... Trzeba panu wiedzieć, że od dawna zajmuję się kulturą celtycką, a po raz pierwszy zdarza mi się spotkać typ celtycki u Skandynawa! Może jest to jakaś cenna wskazówka dla nauki i trzeba będzie zaliczyć Norwegię do terenów odwiedzanych przez naszych gaelickich przodków!

Erik miał właśnie wytłumaczyć uczonemu z Brestu, co osłabia wartość takiej hipotezy, kiedy doktor Kergaridec odwrócił się, by złożyć uszanowanie pewnej damie, która w tej chwili weszła do salonu szefa okręgu morskiego, i rozmowa na tym się urwała. Młody porucznik z „Alaski” nie myślałby już nawet o tym incydencie, gdyby nazajutrz, przechodząc ulicą sąsiadującą z targiem, doktor Schwaryencrona nie odezwał się nagle do niego na widok jakiegoś wolarza z Morbihan:

— Mój drogi chłopcze, gdybym miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do twego celtyckiego pochodzenia, to tutaj musiałbym się ich wyzbycić!... Zobacz, jak ci wszyscy Bretończycy są do ciebie podobni!... Ta sama matowa cera, koścista czaszka, piwne oczy, czarne włosy i cała postura!... Niech sobie Bredejord mówi, co chce, ale możesz być pewien, że jesteś czystej krwi Celtem!

Wtedy Erik powtórzył, co poprzedniego dnia powiedział mu doktor Kergaridec, a Schwaryencrona tak się tym ucieszył, że przez cały dzień nie mówił o niczym innym.

Jak wszyscy pasażerowie „Alaski”, Tudor Brown otrzymał i przyjął zaproszenie szefa okręgu morskiego. Przez chwilę można było nawet sądzić, że zamierza udać się tam w swym niezmiennym stroju, bo właśnie tak ubrany kazał się wysadzić na brzeg w porze kolacji. Ale widocznie konieczność zdjęcia swego cennego kapelusza wydała mu się

zbyt przykra, bo dokładnie w chwili, gdy miał przekroczyć próg domu gospodarza, zawrócił i nikt tego wieczoru już go nie zobaczył.

Po powrocie z balu, na którym tańczył do upadłego, Erik dowiedział się od Hersebo-
ma, że Tudor Brown wrócił koło siódmej i zjadł kolację sam. Potem wszedł do pomiesz-
czeń kapitańskich, by spojrzeć na mapę morską, następnie tą samą łódką, która go przy-
wiozła z ładu, odpłynął z powrotem około ósmej.

I tyle go widzieli.

Nazajutrz do piątej po południu Tudor Brown nie pojawił się, choć wiedział przecież, że naprawa maszyny miała być w tym terminie zakończona, ogień na nowo rozpalony, a wyjście „Alaski” nie mogło ulec dalszemu opóźnieniu. Kapitan zadbał, by powiadomić o tym wszystkich. Wydał więc teraz rozkaz podniesienia kotwicy.

Statek miał właśnie zluzować cumy, kiedy zauważono pędzącą błyskawicznie od strony nabrzeża łódkę. Wszyscy sądzili, iż wiezie Tudora Browna. Wkrótce okazało się, że chodzi tylko o list, który, ku ogólnemu zdziwieniu, adresowany był do Erika.

Po otwarciu go Erik stwierdził, że zawiera po prostu wizytówkę Durriena, honoro-
wego konsula generalnego, członka Towarzystwa Geograficznego, z tymi słowy dopisa-
nymi ołówkiem:

„Szcześnie podróży!... Szybkiego powrotu!...”

Któż zgadnie, co działo się w duszy Erika! Atencja miłego i dystyngowanego uczone-
go wzruszyła go do łez. Opuszczając tę gościnną ziemię, którą znał zaledwie od trzech
dni, miał wrażenie, że opuszcza ojczyznę. Wsunął bilecik Durriena do swojego notatni-
ka, mówiąc sobie, że to pożegnanie starca przyniesie mu szczęście.

Dwie minuty później „Alaska” ruszyła w stronę przesmyku. O szóstej przekroczyła
go, a pilot życzył jej szczęśliwej podróży.

Był 20 lutego. Przy bezchmurnej pogodzie słońce zaszło za linię horyzontu wyraź-
ną jak w letni dzień. Lecz nadchodząca noc zapowiadała się na głęboką, bo księżyc miał
wzejść dopiero o dziesiątej. Pełniący pierwszą wachtę Erik przechadzał się lekkim kro-
kiem po tylnym mostku. Wydawało mu się że wraz z Tudorem Brownem zniknął zły
duch wyprawy.

„Oby tylko nie przyszło mu do głowy dołączyć do nas na Malcie lub w Suezie!”
— pomyślał.

A było to w gruncie rzeczy możliwe, nawet prawdopodobne, jeśli Tudor Brown
chciał oszczędzić sobie długiej okrężnej drogi, jaką musiała przebyć „Alaska”, by dostać
się do Egiptu. Podczas gdy statek opływał będzie Francję i Hiszpanię, Brown mógł, gdy-
by chciał, zafundować sobie tygodniowy pobyt w Paryżu lub w jakimkolwiek innym
punkcie trasy lądowej i korzystając z komunikacji pocztowej między Londynem a In-
diami, dołączyć do „Alaski” w Aleksandrii lub Suezie albo nawet w Adenie, w Kolombo,
Singapurze czy Jokohamie.

No, ale w końcu tak się stać nie musiało. Na razie nie było go na pokładzie i to wystarczało, by wprowadzić wszystkich w radosny nastrój.

Toteż kolacja, jak zwykle o wpół do jedenastej, upływała w serdeczniejszej niż kiedykolwiek dotąd atmosferze. Podczas deseru wznoszono toasty za powodzenie wyprawy, które każdy w głębi duszy, bardziej lub mniej świadomie, wiązał z nieobecnością Tudora Browna. Następnie wszyscy przeszli na pokład, by wypalić cygaro.

Zapadła głęboka noc. W dali, na północy, widać było światła Przylądka Świętego Mateusza, Pierres-Noires i wyspy Ouessant. Na południu przesunęło się za rufę duże światło stałe przylądka Raz i migające światło przerywane Tevennec. Ukazało się natomiast małe światło stałe na falezie przylądka Raz, które oświetlało tylko dwa sektory zachodnie, o szerokości 41° jeden i 30° drugi, a to oznaczało, że szli dobrym kursem. Na lewym trawersie „Alaski” pojawiała się co cztery sekundy światło błyskowe wyspy Sein. Sprzyjająca bryza z północnego wschodu zwiększała szybkość statku napierając na jego burtę i sprawiała, że kołysał się mało, choć morze było wzburzone.

Kiedy biesiadnicy wyszli na pokład, człowiek pełniący służbę na rufie kończył wyciągać log.

— Dziesięć i jedna czwarta węzła — zameldował kapitanowi, który podszedł do niego, by poznać wynik pomiaru.

— Świetne tempo! Pisalibyśmy się na nie chętnie przez jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dni! — rzekł śmiejąc się doktor.

— O tak! Wtedy niewiele spalilibyśmy węgla do Cieśniny Beringa! — odrzekł kapitan, po czym opuścił doktora i zszedł do siebie.

Z otwartej dużej skrzyni z przegrodami, stojącej pod barometrami i chronometrami, wybrał mapę podklejoną płótnem, rozwinął ją i rozłożył na biurku w silnym świetle zawieszanej u sufitu lampy. Była to mapa admiralicji brytyjskiej, z zaznaczonymi wszystkimi szczegółami strefy morskiej zwanej armorykańską, przez którą właśnie przepływała „Alaska”, między 47° i 49° szerokości geograficznej północnej, 4° i 5° długości geograficznej zachodniej. Mapa miała blisko metr kwadratowy powierzchni. Było na niej wszystko: wybrzeża, wyspy, światła stałe i obrotowe, ławice piaszczyste, głębokości, a nawet zalecane kierunki. Wydawało się, że z taką mapą i busolą każde dziecko mogłoby prowadzić największy statek po tych jakże przecież niebezpiecznych wodach, które pochłonęły niegdyś pewnego znakomitego oficera marynarki francuskiej, porucznika Mage'a, badacza Nigru, wraz z jego statkiem „Magicienne”, całą załogą i ładunkiem, a przedtem jeszcze „Sane” i tyle innych.

Przypadek chciał, że kapitan Marsilas nigdy dotąd nie pływał po tych wodach. Jedynie konieczność postoju w Breście przywiodła go tutaj; gdyby nie to, płynąłby po otwartym morzu. Toteż w trosce o wybranie właściwej drogi, zdany był wyłącznie na uważne studiowanie mapy. Ale sprawa wydawała się banalnie prosta. Pozostawiwszy po

lewej cyple Van i Raz oraz wyspę Sein — legendarne miejsce pobytu dziewięciu kapłanek, niemal zawsze osłonięte wodnym pyłem huczących fal — wystarczyło płynąć prosto na zachód, póki nie wydostaną się na pełne morze, a potem skręcić na południe. Stałe światło wyspy wyznaczało dokładnie jej pozycję, a według mapy, o mniej niż ćwierć mili na zachód od tego światła wyspa kończyła się stromo wysokimi falezami, otwarte morze zaś wokół nich szybko osiągało głębokość stu metrów. Taki punkt orientacyjny był niezwykle cenny podczas równie ciemnej nocy. Po skrupulatnym obejrzeniu, mapy kapitan zdecydował się przepłynąć obok niego bliżej, niżby to prawdopodobnie uczynił w pełnym świetle dnia, to jest w odległości trzech lub czterech mil po pełnym morzu. Powrócił tedy na pokład, rzucił okiem na morze i kazał Erikowi zmienić kurs o 25° na południowy zachód.

Rozkaz zaskoczył młodego porucznika.

— Na południowy zachód? — zapytał z szacunkiem, sądząc, że źle usłyszał.

— Powiedziałem na południowy zachód — powtórzył oschle kapitan. — Nie odpowiada panu ten kurs?

— Skoro pan pyta, kapitanie, to muszę wyznać, że nie — odparł szczerze Erik. — Wolałbym płynąć dalej na zachód.

— Po co?... Żeby stracić jeszcze jedną noc? — rzekł kapitan tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Erik nie śmiał nalegać. Wydał taki rozkaz, jaki sam otrzymał. W końcu jego dowódca był doświadczonym marynarzem, któremu można w pełni zaufać.

Zmiana kursu, choć minimalna, wystarczyła, by w odczuwalny sposób zmienić zachowanie statku. „Alaską” zaczęło mocno kołysać, a po każdym przechyle pikowała dziobem w fale. Wokół niej wrzała kipiela krótkich fal o białych grzbietach.

Log wskazywał czternaście węzłów, ponieważ zaś wiatr wzmagął się jeszcze, Erik uznał za rozsądne zrefowanie żagli.

Doktor i Bredejord, znękani nagłymi niedomaganiem, nie zwlekając zeszli do swych kajut. Kapitan, który przez kilka minut przechadzał się tam i z powrotem po pokładzie, wkrótce uczynił jak oni.

Jeszcze dobrze nie wszedł do swej kajuty, a już zjawił się tam Erik we własnej osobie.

— Kapitanie — rzekł — usłyszałem przed chwilą jakieś podejrzanе odgłosy po burcie! Jakby fale rozbijały się o skały!... Czuję się w obowiązku lojalnie powiedzieć panu, że moim zdaniem podążamy niebezpieczną drogą!

— Doprawdy, mój panie, cóż za uporczywy niepokój! — wykrzyknął kapitan. — Ciekawe, jakiego niebezpieczeństwa tak się pan lęka, mając to światło o dobre trzy, jeśli nie cztery mile stąd!

I zniecierpliwiony wskazał palcem na rozłożonej ciagle na biurku mapie wyspę Sein,

wznoszącą się jak wartownik na najdalej wysuniętym przyczółku bretońskiego cypla.

Erik spojrział tam, gdzie palec wskazywał. Zobaczył czarno na białym, że w okolicach stromej, otoczonej głębokimi wodami wyspy istotnie nie zaznaczono żadnego niebezpieczeństwa. Dla marynarza nie mogło być bardziej przekonującego i rozstrzygającego dowodu. Z drugiej strony jednak, to nie było złudzenie, ten odgłos rozbijających się fal, który usłyszał po lewej stronie, pod wiatr, a co za tym idzie, w małej odległości.

Dziwna sprawa — Erik ledwie ośmielił się o tym pomyśleć — lecz odnosił wrażenie, iż zarys wybrzeży, który miał przed oczyma, nie zgadza się z wytworzonym na podstawie lektury naukowych rozpraw geograficznych i zachowanym w pamięci obrazem tych złowieszczych i zdrażliwych okolic. Ale jakże przeciwstawić ulotne wrażenie, niejasne wspomnienie faktowi równie bezwzględnemu i równie precyzyjnemu jak mapa admiralicji brytyjskiej!... Erik nie powążył się na to. W końcu po to są robione mapy, by uchronić żeglarza od pomyłek lub złudzeń zawodnej pamięci. Zasalutował więc dowódcy i wrócił na górę.

Nim zdążył wejść na mostek kapitański, rozległy się krzyki: „Rafy po sterburcie!” i zaraz potem: „Rafy po bakburcie!”

Natychmiast rozległ się gwizd, któremu towarzyszył pomieszany tupot uwijających się po pokładzie marynarzy. „Alaska” zmniejszyła szybkość i dała całą wstecz... Kapitan rzucił się ku schodom.

W tym momencie usłyszał stłumiony szmer, jakby tarcie sani o śnieg. Nagle straszliwy wstrząs zwałił go z nóg, wprawiając jednocześnie cały statek, od kilu po wierzchołek masztów, w drżenie... Potem nastąpiła cisza i „Alaska” znieruchomiała.

Wbiła się klinem między dwie podwodne skały.

Kapitan Marsilas, z krwawiącą po upadku głową, podniósł się i wspiał na pokład. Panowało tam niesłychane zamieszanie. Przerażeni marynarze rzucili się do szalup. Fale z furją uderzały o nową przeszkodę, jaką stanowił rozbity statek. Dwoje świetlistych oczu z Tevenec i wyspy Sein, utkwionych nieruchomo w „Alasce”, wydawało się wyrzucać jej, że zlekceważyła niebezpieczeństwa, które one miały za zadanie sygnalizować. Erik stał na mostku i przechylony nad sterburtą, usiłował przebić wzrokiem noc, by oszacować rozmiary nieszczęścia.

— Co się, na Boga, stało? — krzyknął do niego kapitan, jeszcze na wpół oszołomiony po upadku.

— Ano to, że płynąc na południowy zachód zgodnie z pańskimi rozkazami, wpadliśmy na skały! — odparł Erik.

Kapitan Marsilas nie wyrzekł ani słowa. Cóż zresztą miałby powiedzieć? Odwrócił się na pięcie i odszedł ku schodom.

To dziwne, ale choć sytuacja była tragiczna, nie stwarzała bezpośredniego zagrożenia. Unieruchomienie statku, obecność dwóch stałych światła, sąsiedztwo lądu, które

aż nadto dało o sobie znać skałami, co jak w kleszczach trzymały „Alaskę”, wszystko to przyczyniało się do uczynienia z katastrofy przygody raczej ponurej niż przerażającej. Dla Erika oznaczała ona tylko jedno: przerwanie wyprawy i utratę szansy na odnalezienie Patricka O’Donoghana!...

Ledwie pozwolił się wymknąć odpowiedzi nieco zapalczywej, podyktowanej goryczą, która przepęłniała mu serce, a już jej pożałował. Opuścił więc mostek i zszedł na pokład szukając wzrokiem dowódcy, ze szlachetnym zamiarem dodania mu ducha, jeśli to było możliwe.

Ale kapitan zniknął. Nie minęły trzy minuty, gdy w jego kajucie rozległ się huk wystrzału.

Erik pobiegł tam zaraz. Drzwi były zamknięte od wewnątrz. Wyważył je kopniakiem.

Kapitan Marsilas leżał na dywanie z dziurą w skroni i rewolwerem w prawej ręce.

Widząc, że doprowadził statek do zguby, zastrzelił się. Śmierć nastąpiła natychmiast. Doktor i Bredejord, którzy nadbiegli za młodym porucznikiem, mogli tylko ją stwierdzić.

Nie była to jednak odpowiednia chwila na próżne żale. Erik, pozostawiwszy swym przyjaciołom przeniesienie nieboszczyka na koję, musiał wrócić na pokład i pomyśleć o ratowaniu załogi.

Kiedy przechodził obok kajuty Malariusza, ów zacny mąż, obudzony bezruchem statku lub odgłosem strzału, otworzył drzwi i wysunął swą siwą głowę w nieodłącznym berecie z czarnego jedwabiu. Od Brestu spał spokojnie i z niczego nie zdawał sobie sprawy.

— Co to?... Co się dzieje? — zapytał spokojnie.

— Co się dzieje? — odrzekł mu Erik. — Dzieje się to, drogi mistrzu, że „Alaska” wpała na skały, a kapitan właśnie się zastrzelił!

— Och! — wykrzyknął Malariusz, w najwyższym stopniu zaskoczony. — W takim razie — żegnaj, wyprawo!

— Co to, to nie! — odparł Erik. — Ja jeszcze żyję i dopóki starczy mi w piersiach tchu, będę powtarzał: Naprzód!

XIV. Rafa

„Alaska” wpadła między skały z taką siłą, że tkwiła tam teraz całkowicie nieruchomo, jak wrośnięta. Jednak załódze nie groziło niebezpieczeństwo. Wprawdzie fale, napotkawszy niezwykłą przeszkodę, uderzały w nią i zalewały pokład, wyrzucając rozbryzgi aż do omasztowania, lecz morze nie było na tyle wzburzone, by mogło to stanowić bezpośrednie zagrożenie. Jeśli pogoda nie ulegnie zmianie, istniała szansa na doczekanie dnia bez nowego nieszczęścia.

Erik zrozumiał to od pierwszego rzutu oka. Jako pierwszy oficer przejął oczywiście dowództwo. Wydał rozkaz starannego zamknięcia luków i bulajów oraz przykrycia smołowanymi płachtami wszystkich otworów na wypadek, gdyby morze bardziej się wzburzyło, po czym zszedł na dno ładowni w towarzystwie mistrza ciesielskiego. Tam ku swemu najwyższemu zadowoleniu stwierdził, iż nie doszło do żadnego przecieku. Zewnętrzna powłoka „Alaski” ochroniła jej kadłub wewnętrzny, a środki ostrożności, przedsięwzięte z myślą o lodach polarnych, skutecznie stawiły czoła armorykańskiej rafie. Wprawdzie uszkodzona na skutek straszliwego wstrząsu maszyna przestała pracować, lecz nie doszło do wybuchu, a to oznaczało, że nie uległa najpoważniejszemu uszkodzeniu. Z wysadzeniem ludzi Erik postanowił poczekać do rana — o ile okaże się to konieczne — a na razie kazał wystrzelić z działa, prosząc w ten sposób o pomoc wyspę Sein, i spuścić na wodę szalupę parową, by wysłać ją do Lorient.

— Nigdzie nie znajdę — rozumował słusznie — środków ratowniczych szybszych i skuteczniejszych niż w tym wielkim morskim arsenale zachodniej Francji!

Tak oto w tej tragicznej chwili, kiedy współtowarzysze sądzili, że wszystko bezpowrotnie stracone, w nim już budziła się nadzieja. A raczej jego nieulekła dusza należała do tych, którym obce jest zwątpienie i które nigdy nie dają za wygraną.

— Niech tylko uda się oswobodzić „Alaskę” — myślał — a zobaczymy, kto będzie miał ostatnie słowo!

Lecz jeszcze nie dzielił się z nikim swą nadzieją, zdając sobie sprawę, że inni niewątpliwie uznaliby ją za szaleństwo. Wróciwszy z przeglądu ładowni powiedział tylko, że na

razie wszystko jest w porządku i mogą spokojnie czekać na nadejście pomocy. Następnie zarządził, aby całej załodze podano herbaty z rumem.

Nie trzeba było więcej, by wprawić te duże dzieci we wspaniały humor. Toteż z ogromną werwą zabrali się do spuszczenia na wodę szalupy.

Właśnie kończyli, gdy dwie wystrzelone z latarni morskiej na wyspie Sein rakiety zapowiedziały nadchodzącą pomoc. Wkrótce w ciemności nocy ukazały się czerwone światła i przesunęły na zawietrzną „Alaski”. Słychać było nawołujące głosy. Kiedy im odpowiedzieli, okazało się, że ulegli katastrofie na ławicy skalnej o nazwie Basse-Froide, która jest częścią długiej rafy będącej przedłużeniem wyspy Sein. Ponad godzinę trwał niebezpieczny manewr pokonywania silnej fali przybojowej, ale wreszcie łódź zbliżyła się do „Alaski”, a sześciu ludziom, którzy nią przyplłynęli, udało się schwytać linę i wspiąć na pokład.

Było to sześciu twardych rybaków z wyspy Sein, rośłych i nieustraszonych chwatów, dla których akcja ratunkowa to nie pierwszozna. Pochwalili pomysł poproszenia o pomoc Lorient, ponieważ mały port wyspy nie dysponował niezbędnymi środkami ratunku. Ustalono, że dwóch z nich popłynie parową szalupą z Hersebomem i Ottonem, jak tylko księżyc wyłoni się zza horyzontu, a tymczasem podali kilka szczegółów dotyczących teatru wydarzeń.

Długa podwodna skała na przedłużeniu wyspy Sein jest płycizną w kształcie cypla wychodzącego z wyspy i ciągnącego się na odległość dziewięciu mil ku zachodowi. Dzieli się na dwie części: Pont de Sein i Basse-Froide.

Pont de Sein mierzy około czterech mil długości i półtorej szerokości. Jest łańcuchem dość wysokich skał wystających nad powierzchnią morza. Basse-Froide to przedłużenie Pont de Sein, o długości pięciu mil i średniej szerokości dwóch trzecich mili. Składa się także z wielu podwodnych skał, z których tylko nieliczne odsłaniają się podczas odpływu. Najważniejsze z nich to: Cornengen, Schomeur, Cornoc-ar-Goulet, Bas-Ven, Madiou i Ar Men. Są najmniej groźne, bo widoczne. Liczba i nierównomierny rozkład podmorskich wierzchołków, jeszcze nie w pełni znanych, ogromna siła fal na mieliźnie, prądy, które ją oblewają ze wszystkich stron, czynią to miejsce wyjątkowo niebezpiecznym i obfitującym w katastrofy. Toteż latarnie morskie wyspy Sein i przylądka Raz zostały ustawione w taki sposób, by wytyczały linię rafy, dzięki czemu statki przyplływające z zachodu mogą ją w porę zauważyć i uniknąć katastrofy. Jednak dla statków przybywających z południa pozostała nadal niebezpieczna, dlatego od dawna prowadzone są prace zmierzające do oznaczenia jej krańca specjalnym światłem. Niestety, nie ma tam ani wysepki, ani skały, na której można by cokolwiek zbudować, a nieustanne wzburzenie morza nie pozwala nawet marzyć o umieszczeniu tam pławy świetlnej. Postanowiono więc wznieść latarnię na skale Ar Men, w odległości trzech mil od najdalej wysuniętego wierzchołka. Lecz nawet tam prace napotykały tak duże trudności, że bu-

dowa latarni, rozpoczęta w roku 1867, w 1879, czyli dwanaście lat później, osiągnęła za- ledwie połowę wysokości, to jest trzynaście metrów nad poziom morza. Był taki rok, że można tam było pracować tylko przez osiem godzin, choć robotnicy nieustannie czato- wali na sprzyjającą chwilę. Toteż w momencie katastrofy „Alaski” latarnia istniała wciąż jeszcze wyłącznie w sferze projektów.

Nie tłumaczyło to jednak wystarczająco faktu, że wychodząc z Brestu, podąży- li wprost na równie niebezpieczne wody. Erik obiecał sobie zbadać dogłębnie tę spra- wę zaraz po odpłynięciu szalupy parowej, co też się wkrótce stało, jako że księżyc wła- śnie się ukazał. Młody kapitan zdecydował wówczas, że na pokładzie pozostanie tylko obsługa wachty, a zmiennicy pójną jak zwykle wypoczywać. Następnie zszedł do kaj- uty kapitana. Czuwający przy zwłokach Bredejord, Malarius i doktor podnieśli się na wi- dok wchodzącego Erika.

— Na Boga, chłopcze, cóż to za tragedia? Jak do tego doszło? — zapytał doktor.

— To zdumiewające — odrzekł Erik, pochylając się nad mapą rozłożoną na biur- ku zmarłego. — Czułem instynktownie i powiedziałem, że nie jesteśmy na dobrej dro- dze. Lecz według rozeznania mojego i wszystkich innych znajdujemy się o co najmniej trzy mile od tego światła, mniej więcej tutaj — dorzucił, pokazując jakiś punkt na ma- pie — i jak sami widzicie, nie zaznaczono tu żadnego niebezpieczeństwa... Ani mielizny, ani rafl... Wszędzie ciemny kolor oznaczający duże głębokości!... To niepojęte!... Prze- cież trudno przypuścić pomyłkę na mapie admiralicji brytyjskiej, i to w okręgu mor- skim tak znanym, tak szczegółowo pomierzonym od wieków!... To, co się stało, to czy- sty absurd, jak w jakimś koszmarnym śnie!

— Czy nie zaszła pomyłka w określeniu pozycji? Czy nie wzięto, i nie bierze się nadal, jakiegoś światła za inne? — zapytał Bredejord.

— To prawie niemożliwe na tak krótkim odcinku, od wyjścia z Brestu! — rzekł Erik. — Niech pan weźmie pod uwagę, że ani na chwilę nie utraciliśmy z oczu łądu i stale po- suwaliśmy się od jednego punktu orientacyjnego do drugiego!... Trzeba by założyć, że jednego ze światel naniesionych na mapę nie zapalono lub że jakieś dodatkowe światło zostało dorzucone, słowem, przypuścić nieprawdopodobne!... Nie mówiąc już o tym, że i to by nie wystarczyło, ponieważ nasz kurs był tak regularny, a log tak starannie za- rzucany, że nie może być mowy o pomyłce! Jesteśmy w stanie sporządzić wykres kur- su z dokładnością do pięciuset metrów. W chwili obecnej nasza pozycja w stosunku do światła wyspy Sein wyznaczona na podstawie obserwacji i pozycja wynikająca z wykre- su zgadzają się co do joty, a jednak faktem jest, że siedzimy na rafie, choć, zgodnie z ma- pą, powinniśmy mieć pod sobą trzysta metrów wody!

— Ale jak się to wszystko skończy? Oto co należałoby wiedzieć! — wykrzyknął dok- tor.

— Wkrótce się dowiemy — odpowiedział Erik — jeśli władze morskie zechcą wło-

żyć trochę gorliwości w wysłanie nam pomocy. Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać, i najlepiej będzie, jeśli wszyscy pójdą spokojnie spać, jakbyśmy stali na kotwicy w najbezpieczniejszej zatoce!

Przemilczał jednak, że sam postanowił czuwać, podczas gdy jego przyjaciele udadzą się na spoczynek. I czuwał całą noc, już to przechadzając się po pokładzie i upewniając się, że ludzie na wachcie należycie wszystkiego doglądają, to znów schodząc na kilka minut do salonu.

Kiedy zaczęło świtać, stwierdził ku swemu zadowoleniu, iż jak okiem sięgnąć wzburzone fale opadają wraz z wiatrem. Spostrzegł też, że odpływ osiąga maksimum i wkrótce „Alaska” nie będzie otoczona wodą. Dawało mu to nadzieję na szybkie zbadanie rozmiarów zniszczeń. I rzeczywiście — około siódmej rano mógł przystąpić do przeglądu.

Statek nadział się na skalne zęby wystające z ławicy piaskowej. Trzy szpice przebiły zewnętrzne drewniane poszycie „Alaski” w chwili katastrofy i teraz utrzymywały ją jak podpory. Kierunek „podpór”, pochylonych ku północy, to znaczy w kierunku przeciwnym do kursu „Alaski”, tłumaczył, dlaczego zatrzymała się gwałtownie na samym skraju mielizny i nie wpadła dalej na rafę. Ostatni manewr, nakazany przez Erika, przyczynił się także do złagodzenia uderzenia. Dając całą wstecz na kilka sekund przed zderzeniem, Erik sprawił, że statek został wyrzucony na rafę jedynie siłą rozpędu i prądem morskim. Gdyby nie to, niechybnie rozbiłby się na kawałki. Z drugiej strony, wiatr i fale, utrzymujące przez całą noc ten sam kierunek, pomogły w utrzymaniu „Alaski” na miejscu i nie osadziły jej na dobre na skale, do czego by doszło niewątpliwie, gdyby wiatr się zmienił. W sumie nie mogli mieć więcej szczęścia w nieszczęściu. Cała sprawa sprowadzała się teraz do tego, by udało się uwolnić statek, zanim kierunek wiatru zmieni się na niekorzystny.

Erik postanowił nie tracić ani minuty. Zaraz po posiłku zatrudnił całą załogę przy poszerzaniu, za pomocą silnych uderzeń siekierami, trzech głównych dziur w zewnętrznym poszyciu. Gdyby holownik wysłany z Lorient przybył na czas, uwolnienie „Alaski” podczas przyływu przyszłoby im niemal bez trudu. Łatwo można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością wypatrywał młody kapitan najmniejszej smużki dymu na horyzoncie.

Wszystko stało się tak, jak sobie życzył. Morze, zgodnie z pokładanymi w nim nadziejami, pozostało spokojne i łagodne, a koło południa ukazało się awizo i zaraz za nim — holownik. Porucznik marynarki dowodzący awizem przybył, by uprzejmie ofiarować rozbitkom swe usługi.

Erik i sztab szwedzkiego statku powitali go jak należy przy trapie, po czym wszyscy zeszli do salonu.

— Proszę mi wytłumaczyć, jak to się stało, że wpadliście na rafę Sein wychodząc z Brestu? — zwrócił się do Erika kapitan.

— Ta mapa panu wyjaśni — odparł Erik. — Nie ma tu najmniejszego śladu niebezpieczeństwa!

Początkowo z ciekawością, później ze zdumieniem francuski oficer oglądał przedłożoną mapę.

— Rzeczywiście nie zaznaczono tu Basse-Froide... ani Font de Sein! — wykrzyknął. — To karygodne zaniedbanie! Jak to? Niebieski kolor dużych głębokości wokół wyspy?... I ten stromy spad wybrzeża!... Nawet pozycja latarni jest niedokładnie podana!... Nie posiadam się ze zdumienia!... Nie widziałem jeszcze tak złej mapy!... A przecież to mapa admiralicji brytyjskiej!... Wygląda, jakby ktoś z upodobaniem uczynił ją mylną, zwodniczą i zdradziecką!... Dawni żeglarze chętnie płatali takie przyjemne figle swym rywalom, lecz nigdy bym nie przypuszczał, że Anglia mogła zachować podobne tradycje!

— Czy na pewno Anglia? — zapytał Bredejord słodkim głosem. — Mnie nasuwa się inne podejrzenie: mapa ta może być równie dobrze dziełem fałszerza, umieszczonym zbrodniczą ręką w skrzyni na mapy „Alaski”...

— Przez Tudora Browna! — wykrzyknął raptownie Erik.

— W wieczór kolacji u szefa okręgu morskiego Brestu!... Kiedy wszedł do pomieszczeń kapitańskich pod pretekstem sprawdzenia czegoś na mapie!... Co za nikczemnik!... Więc dlatego nie wrócił na pokład!

— To aż nazbyt oczywiste! — rzekł doktor Schwaryencrona.

— Choć trzeba być nie lada łotrem, żeby się dopuścić takiej niegodziwości!... W jakim celu miałyby ją popełnić?

— A w jakim celu przyjechał specjalnie do Sztokholmu i powiedział panu, że Patrick O’Donoghan nie żyje? — odparł Bredejord. — W jakim celu wpłacił dwadzieścia pięć tysięcy koron na podróż „Alaski”, kiedy podróż ta nie mogła już budzić wątpliwości? W jakim celu zaokrętował się wraz z nami, a potem opuścił nas w Breście?... Prawdę mówiąc uważam, że trzeba być ślepym, aby nie zauważyć tyleż logicznego co zatrważającego związku między tymi faktami! Jaki w tym wszystkim ma interes Tudor Brown — tego nie wiem. Musi to być jednak coś poważnego i groźnego, skoro nie cofnął się przed użyciem podobnych środków, byle zatrzymać naszą ekspedycję. Bo teraz jestem przekonany, że to on spowodował nasz postój w Breście, on poprowadził nas, jak za rączkę, wprost na rafę, gdzie mieliśmy znaleźć śmierć!

— Jednak wydaje się nieprawdopodobne, żeby przewidział drogę, którą wybierze kapitan — wysunął uczciwie obiekcję Malarius.

— Dlaczego? Czyż nie wyznaczył jej sam, wprowadzając zmiany na mapie? Przy trzech dniach opóźnienia było pewne, że kapitan Marsilas, chcąc nadrobić stracony czas, popłynie najkrótszą drogą. Można było stawiać jeden do dziesięciu, że wpadnie na rafę, gdy skręci na południe przekonany o istnieniu wokół wyspy Sein wolnego od prze-

szkód morza.

— Zgoda — rzekł Erik — ale i tak było to pociągnięcie dość ryzykowne, czego dowodem moja interwencja u kapitana, żeby popłynął jeszcze dalej na zachód.

— A skąd wiadomo, że nie było innych map mających nas wprowadzić w błąd na innych wodach, gdybyśmy uniknęli Basse-Froide? — wykrzyknął Bredejord.

— To łatwo sprawdzić — odparł Erik i poszedł wziąć ze skrzyni wszystkie szczegółowe mapy, jakie się tam znajdowały.

Pierwsza, którą rozłożył, była mapą przybrzeżnych wód portu La Coruna. Jeden rzut oka wystarczył francuskiemu oficerowi, by znaleźć na niej dwa lub trzy poważne błędy. Drugą była mapa przylądka Saint Vincent — i tu było podobnie. Trzecią — mapa Gibraltaru. Tu także rzucały się w oczy fałszywe wskazówki. Dalszy przegląd był zbyteczny; rozwiały się wszelkie wątpliwości — gdyby „Alaska” nie uległa katastrofie na rafie Sein, musiałyby do niej dojść jeszcze przed dotarciem na Maltę!

Co się tyczy metody zastosowanej przy przygotowaniu zamachów, to dokładne zbadanie map pozwoliło ją wykryć. Były to istotnie mapy admiralicji angielskiej, lecz częściowo wywabione jakąś płukanką chemiczną, a następnie zmienione w taki sposób, że oznaczenia fałszywe mieszały się z prawdziwymi. Jakkolwiek zręcznie wykonane, poprawki te różniły się jednak zabarwieniem i odcieniem, lecz widzieli to dopiero teraz, kiedy już byli uprzedzeni. Wreszcie pewna okoliczność dowodziła ponad wszelką wątpliwość, iż winowajca działał z premedytacją. Otóż mapy „Alaski” nosiły stempel Ministerstwa Marynarki Szwedzkiej, te zaś, które wprowadzono do zbioru, nie posiadały stempla. Fałszerz uznał widocznie, że nikt nie będzie im się tak dokładnie przyglądał zmierzając ku śmierci.

Owe kolejne odkrycia pogrążyły w konsternacji wszystkich, którzy brali udział w dochodzeniu. Erik pierwszy przerwał głęboką ciszę, jaka zapanowała po dyskusji.

— Biedny kapitan Marsilas — rzekł ze wzruszeniem w głosie. — On zapłacił za nas wszystkich!... Ale skoro niemal cudem uniknęliśmy losu, jaki nam zgotowano, postarajmy się nie zostawiać już niczego przypadkowi!... Wody przybywa i będzie jej wkrótce dostatecznie dużo, żeby uwolnić „Alaskę”... Jeśli panowie pozwolą, zajmiemy się tym bezzwłocznie!

Mówił z prostotą, lecz autorytatywnie, ze skromną godnością, jaką wykształciło już w nim poczucie odpowiedzialności. Ujrzeć siebie, tak młodego, w roli dowódcy statku, w tak szczególnych okolicznościach i na początku równie ryzykownej ekspedycji — było na pewno dość nieprzewidzianą przygodą. Poprzedniego dnia uzyskał jednak pewność, że potrafi stanąć na wysokości zadania; wiedział, iż może liczyć na siebie i załogę, a świadomość ta przeistoczyła go. Wczorajszy chłopiec dziś stał się mężczyzną. Bohaterski zapał błyszczał w jego spojrzeniu. Całe otoczenie, z Bredejordem i doktorem włącznie, uległo jego przemożnemu wpływowi.

Przygotowana rannymi pracami operacja okazała się łatwiejsza, niż przypuszczali. Uniesiony na fali statek tylko czekał, by wyrwać się skalnym szpikulcom, które go zatrzymywały. Wystarczyło, że holownik ruszył i pociągnął za cumy rufowe, a statek, ze skrzypieniem trącego o skałę drewna i rozdieranego poszycia, wymknął się ze straszliwego objęcia i nagle odzyskał wolność. Ociężały, co prawda, od wody zalewającej jego szczelne komory, pozbawiony pomocy śruby napędowej, która uderzyła o dno, a także maszyny, nadal nieruchomej i cichej, dał się jednak prowadzić, posłuszny sterowi i gotów, jeśli będzie trzeba, płynąć pod dwoma fokami i marslem.

Cała załoga zebrana na pokładzie śledziła z zapartym tchem przebieg decydującego posunięcia i powitała gromkim „Hurrra!” wyzwolenie „Alaski”. Z francuskiego awiza i holownika odpowiedziały podobne okrzyki radości. Była trzecia po południu. Zawieszony tuż nad horyzontem słońce zalewało światłem spokojne, połyskliwe morze pokrywające piaski i skały Basse-Froide, jakby chciało zatrzeć wspomnienie nocnego dramatu.

Tego samego wieczoru „Alaska” stała bezpiecznie na redzie w Lorient. Zaraz następnego dnia francuskie władze morskie, wykazując swą dobrą wolę, zezwoliły na umieszczenie jej w suchym doku jednego z basenów portowych Coudan. Uszkodzenia kadłuba nie były poważne, a defekt maszyny parowej, chociaż dość skomplikowany, jednak da się usunąć. Być może gdzie indziej naprawa zabrałaby wiele czasu — ale nie w Lorient. Jak słusznie przewidywał Erik, nigdzie na świecie nie znalazłby z dnia na dzień równie cennych środków naprawczych jak te, które oferowały mu stocznice, kuźnie i odlewnie Lorient. Firma Gamard, Norris i S-ka zobowiązała się naprawić wszystko w trzy tygodnie. Był 23 lutego, więc 16 marca można będzie ponownie ruszyć w drogę — tym razem już z dobrymi mapami.

Na dotarcie do Cieśniny Beringa z końcem czerwca pozostanie trzy i pół miesiąca. Nie było to niewykonalne, tyle że wyprawa miała teraz ścisły limit czasowy. Erik nawet nie dopuszczał myśli, żeby zrezygnować. Bał się jedynie, iż będzie do tego zmuszony. To też odmówił wysłania do Sztokholmu raportu o katastrofie, obawiając się, że zostanie wezwany do powrotu, a także zaskarżenia do sądu domniemanego autora zamachu, lekając się, że śledztwo w sprawie karnej może spowodować dalsze opóźnienie.

Jednak kto wie, czy bezkarność nie zachęci Tudora Browna do siania nowych przeszkód na drodze „Alaski”? Oto nad czym zastanawiali się adwokat i doktor, grając w wista z Malariusem w saloniku hotelu, w którym zatrzymali się po przybyciu do Lorient.

Dla Bredejorda kwestia ta nie budziła wątpliwości. Taki łajdak jak Tudor Brown, jeśli dowie się o niepowodzeniu swej próby — a jakże tu wątpić, że tak się stanie? — nie cofnie się przed niczym, by ją ponowić. Toteż już nie iluzją, lecz czystym szaleństwem było sądzić, że kiedykolwiek dotrą do Cieśniny Beringa. Bredejord nie wiedział, jak Tudor Brown zabierze się do przeszkodzenia im, ale miał pewność, że znajdzie sposób.

Doktor Schwaryencrona przychylił się do jego opinii, a i Malarius nie wyzbył się obaw. Partie wista upływały więc w atmosferze zwątpienia, a spacer po okolicach też nie były zbyt wesołe. Głównym zajęciem trójki przyjaciół stało się dogłębne oglądanie grobowca wznieszonego przez nich dla kapitana Marsilasa, na którego pogrzeb przybyło całe Lorient. Widok owego żałobnego pomnika nie napawał różowymi myślami ocalałych pasażerów „Alaski”.

Lecz wystarczyło, by zobaczyli się z Erikiem, a budziła się w nich nowa nadzieja. Jego niewzruszone zdecydowanie, ciągła aktywność, niezłomna wola, aby stawić czoła wszelkim możliwym przeszkodom z absolutną pewnością pokonania ich sprawiały, że nie sposób było przejawiać lub nawet skrywać w duchu postawy mniej heroicznej.

Jednak pewien nowy fakt dostarczył dowodu na to, że Tudor Brown nadal realizuje określony program. Wieczorem 14 marca Erik stwierdził, iż prace nad maszyną są na ukończeniu. Na następny dzień pozostało już tylko wyregulowanie jednej z pomp i o wyznaczonym terminie wszystko miało być gotowe. Tymczasem w nocy z 14 na 15 marca korpus pompy zniknął z warsztatów i nie udało się go znaleźć. Jak dokonano kradzieży, kto był jej sprawcą — tego nie ustaliło bardzo drobiazgowo skądinąd śledztwo.

W każdym razie potrzebowano teraz dziesięciu dni więcej, aby wykonać pracę od nowa, co odraczało do 25 marca wyjście „Alaski” w morze.

Ciekawa rzecz — wydarzenie to bardziej poruszyło Erika niż sama katastrofa. Ujrzał w tym bowiem widomy znak niezłomnej woli przeszkodzenia „Alasce” w podróży, ale owa pewność podwoiła jeszcze — jeśli to w ogóle było możliwe — jego gorące pragnienie, by doprowadzić wyprawę do końca.

Dziesięć dni zwłoki poświęcił niemal wyłącznie na przemyślenie sprawy pod każdym względem. Stopniowo nabierał przekonania, że stawiać sobie za cel dotarcie do Cieśniny Beringa w trzy miesiące trasą znaną przez Tudora Browna, kiedy „Alaska”, po czterdziestu dniach od wyjścia w morze, znajdowała się jeszcze w Lorient, oznacza narazić się na niepowodzenie, jeśli nie na nieodwracalną klęskę.

Wniosek ten bynajmniej nie powstrzymał go, lecz uświadomił konieczność dokonania pewnych modyfikacji planu wyjściowego. Nie mówił o tym głośno, słusznie uważając, że tajemnica jest pierwszym warunkiem powodzenia. Poprzestał na ściślejszym niż dotąd pilnowaniu prac reperacyjnych.

Jego towarzyszom wydawało się jednak, że jest mu teraz mniej spieszo do wyjazdu. Doszli do przekonania, iż w głębi duszy on też, jak oni, uważa przedsięwzięcie za niewykonalne.

I tu się mylili.

W południe 25 marca „Alaska” wyszła z basenu portowego, zesła z redy i wypłynęła znów na pełne morze.

XV. Najkrótszą drogą

Wybrzeża Francji zniknęły za horyzontem, kiedy Erik zwołał do salonu swych trzech przyjaciół, a zarazem doradców, by zakomunikować im coś ważnego.

— Dużo myślałem — rzekł im — o znamiennych okolicznościach, w jakich przebiega nasza podróż od chwili opuszczenia Sztokholmu. Wniosek narzuca się sam: musimy być przygotowani na dalsze przeszkody lub nieszczęśliwe trafy. Ten, kto odważył się wysłać nas na śmierć na Basse-Froide, nie da za wygraną. Być może czyha już na nas w Gibraltarze, na Malcie lub gdzie indziej... Jeśli nie uda mu się spowodować naszej zguby, to przynajmniej, jestem tego pewien, doprowadzi do opóźnienia... Nie zdążymy więc na porę letnią do Cieśniny Beringa, a to jedyny okres, kiedy Ocean Lodowaty Północny jest dostępny.

— Taki jest i mój wniosek — oświadczył Bredejord. — Zachowywałem go dla siebie, ponieważ nie wypadało mi odbierać ci całej nadziei. Ale jestem przekonany, że musimy zrezygnować z pokonania w trzy miesiące odległości dzielącej nas od Cieśniny Beringa.

— Ja też tak myślę — rzekł doktor.

Malarius również skinął głową na znak, że podziela tę opinię.

— No cóż — podjął Erik — skoro tak, to jaką powinniśmy przyjąć linię postępowania?

— Jest tylko jedna rozsądna i zgodna z obowiązkiem — odrzekł Bredejord. — Zrezygnować z przedsięwzięcia, które uznajemy za niewykonalne, i wrócić do Sztokholmu. Zrozumiałeś to, mój chłopcze, i wiesz, że ci wieszczę! Spojrzenia prawdzie w oczy!

— Otóż i komplement, którego nie mogę przyjąć — wykrzyknął Erik z uśmiechem — bo na niego nie zasługuję! O, nie! Absolutnie nie myślę zrezygnować z naszego przedsięwzięcia i daleki jestem od uznania go za niewykonalne!... Uważam tylko, że aby doprowadzić je do skutku, trzeba udaremnić knowania tego łajdaka, który na nas czyha, i w tym celu pierwszym środkiem, jaki należy przedsięwziąć, jest całkowita zmiana trasy.

— Zmiana trasy może jedynie spiętrzyć trudności — odparł doktor. — Wyznaczyliśmy przecież najprostsza. Jeśli trudno nam dotrzeć w trzy miesiące do Cieśniny Beringa przez Morze Śródziemne i Kanał Suezki, już wręcz niemożliwe stałoby się to drogą na Przylądek Dobrej Nadziei lub Horn, bo zarówno jedna, jak i druga trasa zabrałyby nam niechybnie jakieś pięć, sześć miesięcy.

— Jest jeszcze inna, która skróciłaby podróż, zamiast ją wydłużyć, i gdzie na pewno nie spotkalibyśmy Tudora Browna — rzekł Erik, nie przejmując się obiekcjami.

— Inna droga? — zdziwił się Schwaryencrona. — Na honor, nie znam żadnej innej!... Chyba nie myślisz o Kanale Panamskim? O ile wiem, nie nadaje się jeszcze do użytku i nie będzie się nadawał przez najbliższych kilka lat!

— Nie myślę ani o Kanale Panamskim, ani o przylądku Horn czy Przylądku Dobrej Nadziei — odparł młody kapitan „Alaski”. — Droga, o której mówię, jedyna umożliwiająca dotarcie w trzy miesiące do Cieśniny Beringa, prowadzi przez Ocean Lodowaty. To Przejście Północno-Zachodnie!

Widząc, że wprawił w osłupienie słuchaczy, Erik rozwinął swą myśl.

— Przejście Północno-Zachodnie — mówił — nie jest już dziś tym, czym było niegdyś: postrachem i udręką żeglarzy. To droga okresowa, ponieważ otwarta jest każdego roku tylko przez osiem do dziesięciu tygodni, ale obecnie doskonale znana, oznaczona na wyśmienitych mapach, uczęszczana przez setki statków wielorybnych. Przyznaję, że należy jeszcze do rzadkości używanie jej w celu przedostania się z Atlantyku na Pacyfik. Większość z tych, którzy się na nią zapuszczają z jednej lub z drugiej strony, przebywa ją tylko częściowo. Może się nawet zdarzyć przy niesprzyjających okolicznościach, że będzie dla nas zamknięta lub że nie zastaniemy jej otwartej wtedy, gdy będziemy potrzebowali. Trzeba się jednak na to odważyć!... Ta droga daje nam szansę, jakiej nie daje żadna inna. W tej sytuacji, chcąc się wywiązać ze zobowiązania względem subskrybentów i nas samych, musimy przyjąć jedyny sposób, jaki nam pozostaje, by dotrzeć do Cieśniny Beringa. Zwyczajny statek, przystosowany do żeglugi po morzach tropikalnych, mógłby nie sprostać takiemu zadaniu. Lecz na statku takim jak „Alaska”, wyposażonym specjalnie do żeglugi okołobiegunowej, nie ma się nad czym zastanawiać. Co do mnie, oświadczam, że być może wrócę do Sztokholmu nie znalazłszy Nordenskjolda, ale nie wcześniej, aż poprobuję wszelkich sposobów, żeby do niego dotrzeć!

Rozumowanie Erika było tak ścisłe, że nikt nie usiłował oponować. Jakie mogłyby wysunąć obiekcje doktor, Bredejord czy Malarius? Świetnie zdawali sobie sprawę z trudności związanych z nowym planem, lecz one nie musiały być nie do pokonania, podczas gdy każdy inny sposób nie dawał żadnych nadziei. Toteż bez wahania przyznali, że chwałebniej będzie w każdym razie spróbować szczęścia, niż wrócić do Sztokholmu położywszy uszy po sobie.

— Ja ze swej strony mam tylko jedno poważne zastrzeżenie — rzekł doktor Schwa-

ryencrona po kilkuminutowej zadumie. — Chodzi o zaopatrzenie w węgiel w rejonach arktycznych, bo bez węgla możemy się pożegnać z zamiarem przekroczenia Przejścia Północno-Zachodniego. Pamiętajmy, że nadaje się ono do nawigacji przez bardzo krótki okres!

— To istotnie jedyna trudność, ale przewidziałem ją — odparł Erik — i wcale nie uważam jej za nierozwiązalną. Zamiast skierować się na Gibraltar i Maltę, gdzie niechybnie czekają nas nowe knowania Tudora Browna, udamy się do Londynu. Stamtąd wyślę kablogram transatlantycki do jakiejś firmy w Montrealu z prośbą o bezzwłoczne wysłanie węglowca na Morze Baffina, drugi do firmy w San Francisco z poleceniem wysłania drugiego do Cieśniny Beringa. Tam będą na nas czekały. Pieniądzy nam wystarczy, a nawet zostanie, bo skoro droga będzie krótsza, to i węgla będzie trzeba mniej, niż gdybyśmy płynęli wzdłuż wybrzeży Azji. Wystarczy, że dopłyniemy do Morza Baffina z końcem maja, a do Cieśniny Beringa i tak nie dotrzemy wcześniej niż z końcem czerwca. Nasi kontrahenci z Montrealu i San Francisco będą więc mieli dość czasu na wykonanie naszych poleceń, a koszty pokryje z depozytu pieniężnego bank w Londynie... Odtąd cały problem sprowadzi się do tego, czy Przejście Północno-Zachodnie będzie wolne od lodów, co oczywiście nie zależy od nas. Lecz jeśli nawet zastaniemy je zamknięte, to przynajmniej będziemy mogli pocieszyć się tym, że nie zaniedbaliśmy niczego, co mogło nam przynieść sukces!

— To oczywiście! — wykrzyknął Malarius. — Drogi chłopcze, twoje argumenty są niezbitel!

— Powoli, powoli — rzekł Bredejord. — Nie unośmy się! Ja mam zastrzeżenie innego rodzaju. Sądzisz, drogi Eriku, że „Alaska” będzie mogła przejść niezauważona przez wody Tamizy? Nie, prawda? Wszystkie gazety rozpiszą się o jej przybyciu. Agencje telegraficzne puszczą wiadomość w świat. Tudor Brown dowie się o tym i domyśli, że zmieniliśmy plany. Kto zabroni mu zmienić też jego własne? Myślisz, że sprawi mu dużą trudność przeszkodzenie na przykład węglowcom w dotarciu na miejsce? A bez nich — niczego nie wskórasz!

— To prawda — odrzekł Erik. — Otóż i dowód, że o wszystkim trzeba pomyśleć! Wobec tego nie popłyniemy do Londynu! Zatrzymamy się w Lizbonie, jakbyśmy nadal byli w drodze do Gibraltar i Suez. Stamtąd jeden z nas uda się incognito do Madrytu i nie tłumacząc po co i dlaczego, skomunikuje się telegraficznie z Montrealem i San Francisco, żeby zamówić węglowce. Nie będzie wiadomo, dla kogo są przeznaczone, i pozostaną w ustalonych punktach do dyspozycji kapitana, który poda umówione hasło.

— Doskonale! W ten sposób Tudor Brown nie ma praktycznie szans wpaść na nasz ślad!

— Chce pan powiedzieć na mój ślad, bo mam nadzieję, że nie zapuścicie się ze mną

na morza arktyczne! — rzekł Erik.

— Ależ tak! Chcę mieć spokojne sumienie! — odparł doktor. — Nikt nie będzie mówił, że ten łajdak Tudor Brown skłonił mnie do odwrotu!

— Ani mnie! — wykrzyknęli jednocześnie Bredejord i Malarius.

Na próżno młody kapitan starał się odwieść przyjaciół od tego zamiaru, przedstawiając ryzyko i monotonię podróży, którą chcieli z nim odbyć. Odpowiedzieli mu, że po tylu wspólnie przeżytych niebezpieczeństwach mają sobie za punkt honoru dotrzeć do końca. Jedyny sposób, aby uczynić tę podróż znośną dla niego i dla nich, to nie rozdzielać się. Czyż na pokładzie „Alaski” nie zostały przedsięwzięte wszelkie środki ostrożności, by nikt nie ucierpiał z zimna? Zresztą Szwedzi i Norwegowie nie boją się mrozu!

Krótko mówiąc, Erik musiał skapitulować i zostało postanowione, że zmiana trasy nie pociągnie za sobą zmian w składzie załogi.

Prześlizgniemy się szybko po pierwszym etapie podróży. „Alaska” zawinęła do Lizbony 2 kwietnia. Zanim gazety portugalskie zdążyły odnotować jej obecność, Bredejord udał się do Madrytu i skontaktował, za pośrednictwem banku i francuskiego kabla transatlantyckiego, z dwiema poważnymi firmami w Montrealu i San Francisco. Załatwił wysyłkę węglowców do wyznaczonych punktów i podał hasło, którym miał się posłużyć Erik. Hasłem tym była ni mniej, ni więcej tylko dewiza z grzechotki zawieszona na jego szyi, kiedy niosły go fale na kole z „Cynthii”: „Semper idem”. Wreszcie 9 kwietnia, gdy owe transakcje zostały należycie załatwione, a Bredejord powrócił do Lizbony, „Alaska” wypłynęła znów na pełne morze.

Szczęśliwie przepłynąwszy Atlantyk, 25 tego samego miesiąca zawinęli do Montrealu, załadowali węgiel i upewnili się, że polecenia dokładnie wykonano. Dnia 29 kwietnia „Alaska” opuściła wody Zatoki Świętego Wawrzyńca, nazajutrz zaś przebyła cieśninę Belle-Isle oddzielającą Labrador od Nowej Fundlandii, a 10 maja w Godthab na wybrzeżu Grenlandii zastała węglowiec, który dotarł tam przed nią.

Erik doskonale zdawał sobie sprawę, że o tej porze niepodobna marzyć o przekroczeniu koła podbiegunowego ani o tym, żeby zapuścić się w labirynt Przejścia Północno-Zachodniego — jeszcze skutego lodem na większej części swej długości. Liczył jednak nie bez racji, iż uzyska w tych tak uczęszczanych przez wielorybników okolicach dokładne informacje z najlepszych map. Mógł również kupić, po dość wysokiej zresztą cenie, tuzin psów, które miały wraz z Klaasem tworzyć w razie potrzeby zaprzęg sani.

Jak wszystkie ośrodki duńskie na wybrzeżu Grenlandii, Godthab był jedynie biednym osiedlem służącym za skład miejscowym handlarzom tłuszczów i futer. O tej porze roku zimno nie dokuczało tam bardziej niż w Sztokholmie czy Nore. Lecz Erikiego przyjaciele odkrywali ze zdumieniem, jak dalece mogą się różnić od siebie dwa kraje usytuowane w tej samej odległości od bieguna. Godthab leży dokładnie na tej samej szerokości geograficznej co Bergen. Jednakże podczas gdy w kwietniu południowa Nor-

wegia tonie w zieleni lasów, drzew owocowych, a nawet winorośli uprawianych szpalerowo na warstwach nawozu, Grenlandia jeszcze w maju kryje się pod powłoką lodów i śniegów i ani jedno drzewo nie urozmaica monotonii krajobrazu. Kształt wybrzeża norweskiego, z wcinającymi się głęboko w ląd fiordami i z osłaniającymi je łańcuchami wysp, przyczynia się prawie na równi z ciepłem Golfstromu do podniesienia ogólnej temperatury kraju. Na Grenlandii — przeciwnie — niskie i regularne wybrzeża wystawione są na bezpośrednie działanie wiatrów biegunowych. Toteż otacza je, sięgająca aż do środka wyspy, pokrywa przybrzeżnego lodu morskiego o grubości kilku stóp.

Postój trwał piętnaście dni. Następnie „Alaska” podążyła Cieśniną Davisa wzdłuż wybrzeża grenlandzkiego i przekroczyła koło podbiegunowe.

W dniu 28 maja napotkała po raz pierwszy pływające lody na 70° 15' szerokości geograficznej północnej przy temperaturze dwóch stopni poniżej zera. Wprawdzie owe pierwsze lody były w stanie całkowitego rozkruszenia lub dryfowały małymi, pojedynczymi grupkami, lecz wkrótce zagęściły się i często trzeba było torować sobie drogę za pomocą stalowego ostrza na dziobie. Żegluga nie przedstawiała jeszcze specjalnych trudności ani poważnych niebezpieczeństw, jednak po tysiącu znaków poznawali, że oto wkraczają w całkiem inny świat. Wszystkie obiekty nieco oddalone wydawały się bezbarwne i jakby bezcielesne. Oko nie miało na czym spocząć w ciągłej płynności krajobrazu, którego wygląd zmieniał się z każdą minutą na skutek działania fal lub słońca na pływające masy lodu. Szczególnie nocą, w elektrycznym świetle lampy zapalanej na bocianim gnieździe „Alaski”, Morze Baffina, na które właśnie wpłynęli, tworzyło iście baśniową scenerię.

Pewien naoczny świadek powiedział:

„Któż zdołałby oddać melancholię krajobrazu, szmer fal pod błędzącymi kawałkami lodu, osobliwy odgłos spadających kiści śniegu, gasnących w wodzie jak skwierczący płomień? Czyja wyobraźnia umiałaby stworzyć obraz spływających ze wszystkich stron migotliwych kaskad i tworzących się po ich upadku pienistych grzyw? Któż wyrazi komyczną trwogę morskich ptaków śpiących na lodowej tratwie, gdy nagle tracą oparcie i ulatują kołując, by przysiąc znów na jakiejś innej?... A rankiem cóż za dziwna fantasmagoria, kiedy słońce w połyskującej aureoli cirrusów przebija znienacka mgłę, ukazując najpierw maleńki skrawek błękitnego nieba, który rośnie pomalutku i zdaje się ściągąć, aż ku granicom horyzontu, zwiewne obłoki w szaleńczym odwrocie!”

Erik i jego przyjaciele mogli podziwiać te i inne widoki, typowe dla mórza arktycznych, opuszczając wybrzeże Grenlandii, wzdłuż którego płynęli aż do Upernavik, gdzie skręcili na zachód i przepłynęli wszcz całe Morze Baffina. Żegluga sprawiała już poważniejsze trudności, morze to stanowi bowiem wielki trakt polarnych lodów, niesionych niezliczonymi wpływającymi tu prądami morskimi. „Alaska” musiała niemal bezustannie torować sobie drogę poprzez olbrzymie pola lodowe. Czasami zatrzymywały ją nie

dające się przełamać bariery, które trzeba było opłynąć. Bywała atakowana przez burze śnieżne, pokrywające pokład, omasztowanie i całe wyposażenie statku grubą watą. Groziło jej pogrzebanie pod masą brył lodu pchanych na nią znieścacka przez wiatr. Nieraz zdarzało się jej zapędzić w ślepy zaułek jeziora otoczonego ławicą lodu, a gdy usiłowała się z niego wydostać, trzeba było mieć oczy szeroko otwarte, aby nie dać się zająć z flanki przez jakąś olbrzymią górę lodową sunącą z północy z zawrotną szybkością, bo jej przerażająca masa zgmiotłaby „Alaskę” jak orzech. Istniało jednak poważniejsze jeszcze niebezpieczeństwo w postaci podwodnych gór lodowych — prawdziwych paradoksów hydrostatycznych, które pod wpływem uderzenia kilem rozhuśtywały się i jakby tylko na to czekając, wynurzały się, często ze straszliwą gwałtownością, i rozbijały wszystko jak taran. W ten sposób „Alaska” utraciła dwie szalupy i często musiano wciągać śrubę na pokład, by unieść jej łopatki. Trzeba samemu doświadczyć tych czyhających na każdym kroku niebezpieczeństw, związanych z żeglugą po morzach arktycznych, żeby wyrobić sobie o nich choć przybliżone pojęcie. Po tygodniu lub dwóch takiego napięcia najbardziej nieustraszona załoga goni resztkami sił. Konieczny jest wypoczynek.

Jedyną rekompensatą za wszystkie trudy i niebezpieczeństwa była szybkość, z jaką posypały się w dzienniku pokładowym stopnie szerokości geograficznej. Bywały dni, że naliczono ich dziesięć, a nawet dwanaście, choć bywały i takie, że tylko jeden lub niecały jeden. Ale wreszcie 11 czerwca na horyzoncie znów ukazał się ląd i „Alaska” zarzuciła kotwicę u wejścia do cieśniny Lancaster.

Erik sądził, iż przyjdzie mu czekać kilka dni, zanim będzie mógł się zapuścić w ten długi korytarz. Ku swemu zaskoczeniu i radości, znalazł go wolnym od lodu, przynajmniej u wejścia. Wpłynął więc weń zdecydowanie, lecz już nazajutrz lody zablokowały „Alaskę” na całe trzy dni. Jednak dzięki gwałtownym prądom przepływającym przez ów arktyczny kanał już wkrótce została uwolniona, jak przepowiedzieli wielorybnicy z Godthab, i mogła kontynuować swą podróż.

Dotarła 17 czerwca do Cieśniny Barrowa i przebyła ją pełną parą. Ale 19, w momencie wejścia w Cieśninę Melville’a, na wysokości przylądka Walk, lody znów zagroziły jej drogę.

Erik początkowo przyjął to spokojnie, czekając cierpliwie, aż lody puszcza. Lecz miały dni i nic się nie zmieniało.

Po prawdzie, rozrywek podróżnikom nie brakowało. Zatrzymani całkiem blisko wybrzeża i wyposażeni we wszystko, co czyniło ich położenie mniej niepewnym, mogli urządzać przejażdżki saniami, polować na foki, przyglądać się barszkującym w dali wielorybom. Zbliżało się przesilenie letnie; od 15 czerwca podróżnicy z „Alaski” byli świadkami zadziwiającego i nowego nawet dla Norwegów czy Szwedów widoku — o północy słońce ledwie muskało horyzont nie chowając się zań, by zaraz potem wzejść ponownie na nieboskłon. Wspiąwszy się na szczyt bezimiennego wzniesie-

nia w tych opustoszałych okolicach, można było zobaczyć, jak gwiazda dzienna zatacza w dwadzieścia cztery godziny pełny okrąg w przestrzeni. Wieczorem, podczas gdy „Alaska” płała się w słonecznym świetle, daleko na południu panowała głęboka noc. Co prawda światło było blade i mdłe, kształty w nim traciły ostrość, cienie wiotczały i cała natura nabierała charakteru wizji. Tym żywiej czuło się wtedy bliskość bieguna i krańcową odmienność otaczającego świata. A jednak zimno nie było dotkliwie. Temperatura nie spadała poniżej czterech, pięciu stopni Celsjusza. Czasami powietrze było tak łagodne, aż trudno było uwierzyć iż to serce strefy arktycznej.

Ciekawostki te nie potrafiły wypełnić duszy Erika ani sprawić, by stracił z oczu swój nadrzędny cel. Nie przybył tu ani po to, by zbierać rośliny jak Malarius — każdego wieczoru bardziej zachwycony przeprowadzonymi w ciągu dnia badaniami na lądzie i znalezionymi nieznanymi roślinami, powiększającymi jego zielnik — ani po to, by wraz z doktorem i Bredejordem napawać się nowością widoków, jakie im oferowała przyroda okołobiegunowa. Miał odnaleźć Nordenskjolda i Patricka O'Donoghana, wypełnić święty obowiązek, odkrywając być może jednocześnie sekret swego pochodzenia. Dlatego bez wytchnienia usiłował przerwać opasującą go lodową obręcz. Wycieczki na saniach, biegi na ślizgówkach aż do granic horyzontu, rekonesansy szalupą parową — przez dziesięć dni próbował wszystkiego i nie znalazł wyjścia. Na zachód, północ i wschód rozciągał się zwarty lód.

Nadszedł już 26 czerwca, a do Morza Wschodniosyberyjskiego jeszcze tak daleko! Jednak Erik nie chciał dać za wygraną. Ponawiane badania ujawniły istnienie pod lodami prądu skierowanego ku Cieśninie Franklina, to znaczy na południe. Erik pomyślał, że udałoby się może, nawet niewspółmiernym nakładem sił, spowodować, że lody ruszą, i postanowił dokonać próby.

W tym celu polecił wydrążyć w pasie lodu, na długości siedmiu mil morskich, łańcuch komór strzelniczych, oddalonych od siebie o dwieście, trzysta metrów, z których każda została wypełniona kilogramem dynamitu. Komory połączono drutem miedzianym w izolacyjnej koszulce z gutaperki. O ósmej rano 30 czerwca Erik z pokładu „Alaski” odpalił ładunki, naciskając guzik elektrycznego urządzenia.

Potężna eksplozja rozdarła powietrze. Sto wulkanów wyrzuciło naraz w niebo słupy rozdrobnionego lodu. Tafla zadrżała i poruszyła się jak pod wpływem podmorskiego wstrząsu sejsmicznego. Chmury przerażonego morskiego ptactwa poczęły krążyć, wydając chrapliwe krzyki. Kiedy ponownie nastała cisza, lód przecinała — jak okiem sięgnąć — długa, zygzakowata, czarna smuga, od której odchodziły na wszystkie strony olbrzymie szczeliny boczne. Uniesiona eksplozją gazów, rozdarta niszczącą siłą dynamitu, płyta lodu pękła. Nastąpiła chwila czegoś na kształt wahania, po czym lody ruszyły, jakby tylko czekały na znak. Spękana, pokruszona płyta rozpadła się z trzaskiem, poddała działaniu prądu, który ją drażył u podstawy, i wkrótce odpłynęła dryfując. Tu i ówdzie

wystawał jeszcze jakiś lodowy półwysep, jakby protestując przeciwko takiej przemocy, lecz następnego dnia droga była wolna. Można było znów rozpalić ogień w paleniskach. Erik i dynamit zrobili to, czego blade arktyczne słońce nie dokonałoby prawdopodobnie wcześniej jak za miesiąc.

W dniu 2 lipca wyprawa dotarła do Wyspy Banksa, 4 wpłynęła na właściwy Ocean Lodowaty Północny. Odtąd droga była otwarta, pomimo gór lodowych, mgieł i śniegów. „Alaska” 12 lipca opłynęła przylądek Icy, 13 — Przylądek Lisburne, 14 o dziesiątej rano weszła w zatokę Kotzebue, na północ od Cieśniny Beringa, i tam, zgodnie z poleceniem, zastała węglowiec z San Francisco. Tak oto, w dwa miesiące i szesnaście dni, zrealizowany został program ustalony w Zatoce Biskajskiej.

Zanim „Alaska” zdążyła się zatrzymać, Erik wskoczył do łodzi wielorybniczej i podpłynął do węglowca.

— Semper idem — powiedział do właściciela.

— Lizbona — odpowiedział Jankes.

— Od dawna tu na mnie czekacie?

— Pięć tygodni! Wyszliśmy z San Francisco w miesiąc nadejściu pańskiej depezy.

— Nie było wieści o Nordenskjoldzie?

— W San Francisco nie wiedzieli nic pewnego. Ale odkąd tu jestem, rozmawiałem z kilkoma wielorybnikami, którzy mówią, że słyszeli, jak tubylcy z przylądka Sierdce Kamień opowiadali o jakimś europejskim statku uwięzionym od dziewięciu czy dziesięciu miesięcy w lodach na zachód od tego przylądka. Uważają, że to „Vega”.

— Naprawdę? — wykrzyknął Erik ze zrozumiałą radością. — I sądzi pan, że ona tam wciąż jeszcze tkwi i nie przekroczyła cieśniny?

— Ręczę za to. Od pięciu tygodni nie przepłynął tędy żaden statek, z którym bym nie rozmawiał.

— Chwała Bogu! Nasze trudy nie pójdą na marne, jeśli uda nam się odnaleźć Nordenskjolda!

— Nie będziecie pierwsi — rzekł Jankes z ironicznym uśmiechem. — Przed wami płynie amerykański jacht. Był tu trzy dni temu i jak wy dopytywał się o Nordenskjolda.

— Amerykański jacht? — zdumiał się Erik.

— Tak, „Albatros”, kapitan Tudor Brown z Vancouveru. Powiedziałem mu, co wiem, a on natychmiast wziął kurs na Sierdce Kamień!

XVI. Ku Wyspom Lachowskim

A zatem Tudor Brown dowiedział się o zmianie trasy „Alaski”! Lecz w jaki sposób, jaką drogą mógł dotrzeć wcześniej do Cieśniny Beringa? Graniczyło to z cudem, a jednak było faktem.

Jakkolwiek boleśnie poruszony wiadomością, Erik nie okazał tego nikomu. Użył jedynie całej swej władzy, by przyspieszyć przeładunek węgla, i gdy tylko zasobnie węglowe zostały napełnione, nie tracąc ani minuty wziął kurs na Morze Wschodniosyberyjskie.

Sierdce Kamień jest wydłużonym przylądkiem azjatyckim, położonym zaledwie o jakieś sto mil na zachód od Cieśniny Beringa, odwiedzanym co roku przez statki wielorybnicze z Pacyfiku. Po dwudziestu czterech godzinach żeglugi „Alaska” dotarła tam i wkrótce w głębi Zatoki Koluczyńskiej dojrzeli za spiętrzonymi lodami smukłe omasztowanie „Vegi”, uwięzionej od całych dziewięciu miesięcy.

Lodowa obręcz, która trzymała w niewoli Nordenskjolda, nie miała więcej jak dziesięć kilometrów szerokości. Opłynąwszy ją, „Alaska” wróciła na wschód i zakotwiczyła w małej zatoczce wolnej od lodów, bo osłoniętej od wiatrów z północy. Erik i jego przyjaciele zeszli na ląd i udali się do utworzonej przez „Vegę” na wybrzeżu syberyjskim kolonii, służącej za miejsce długiego zimowania. Znaczyła ją wyraźna smuga dymu.

Wybrzeże Zatoki Koluczyńskiej jest niską równiną, lekko pofałdowaną i pociętą erozyjnymi parowami. Żadnych lasów, tylko nieliczne kępy karłowatych wierzb, dywany czarnej bażyny, tu i ówdzie kilka półkrzewów bylicy pospolitej. Pośród tych zarosły wschodziły już, jak zwykle z początkiem lata, jakieś rośliny, w których Malarius rozpoznał gatunki powszechnie występujące w Norwegii, a szczególnie brusznicę i mniszka pospolitego.

Obozowisko „Vegi” składało się początkowo z wielkiego składu żywności, urządnego na polecenie Nordenskjolda na wypadek, gdyby ciśnienie lodów niespodziewanie zniszczyło statek, jak to nieraz zdarzało się zimą w tych niebezpiecznych okolicach. Doszło wówczas do wzruszającej sytuacji — uboga, zawsze cierpiąca głód miejscowa lud-

ność, dla której ów skład żywności stanowił wręcz nieprzebrane bogactwo, nawet go nie tknęła, choć był prawie nie pilnowany. Powoli wokół stacji zaczęły się pojawiać skórzane namioty Czukczów. Najbardziej imponującą budowlą była „tintinjaranga” czyli śnieżna chata, z której zrobiono obserwatorium magnetyczne. Tam również przeniesiono ze statku wszystkie niezbędne urządzenia. Wzniesiono ją z pięknych lodowych równoległościaków o delikatnym niebieskim odcieniu, spojonych śniegiem w miejsce cementu; dach z desek pokryto płótnem żaglowym.

Podróżnicy z „Alaski” zostali serdecznie przyjęci przez młodego uczonego i wartownika znajdujących się tam w chwili nadejścia gości. Uczony uprzejmie zaofiarował się, że zaprowadzi ich na „Vegę” ścieżką wytyczoną na lodzie, łączącą statek ze stałym lądem, wzdłuż której ciągnęła się lina rozwieszona na palikach, służąca za przewodnika w ciemnościach nocy. Po drodze opowiedział im przygody wyprawy od chwili, gdy świat przestał dostawać o niej wiadomości

Opuściwszy ujście Leny, Nordenskjöld skierował się ku Wyspom Nowosyberyjskim z zamiarem zbadania ich. Okazało się jednak, że nie można do nich przybić z powodu otaczających je lodów i małej głębokości morza na przestrzeni kilku mil; toteż wkrótce zmuszony był zrezygnować i podjąć swą żeglugę na wschód. Do 10 września „Vega” nie napotkała większych trudności. Mniej więcej o tej porze ustawiczne mgły i nocne przymrozki zmuszały ją do zwolnienia tempa, a głęboka ciemność nocy do częstych postojów. Dopiero 27 września dotarła do przylądka Sierdce-Kamień. Zakotwiczyła na ławicy lodowej, a nazajutrz miała pokonać te kilka mil, które dzieliły ją jeszcze od Cieśniny Beringa i tym samym od wolnych wód Pacyfiku. Lecz nocą zerwał się północny wiatr i nagromadził wokół statku tłok lodowy, który z biegiem dni gęstniał coraz bardziej. „Vega” została uwięziona i skazana na zimowanie dokładnie w chwili, gdy była prawie u celu.

— Możecie sobie wyobrazić, jak wielki przeżyliśmy zawód — mówił młody astronom. — Ale wkrótce pogodziliśmy się z sytuacją i postanowiliśmy tak wszystko zorganizować, żeby nasze opóźnienie przyniosło korzyść nauce. Nawiązaliśmy stosunki z miejscowymi Czukczami, których jeszcze żaden podróżnik nie oglądał z bliska. Udało nam się ułożyć słownik ich języka, zebrać kolekcję ich przedmiotów codziennego użytku, broni i narzędzi. Poczyniliśmy ciekawe obserwacje magnetyczne. Przyrodnicy z „Vegi” poszerzyli znajomość flory i fauny rejonów arktycznych o wiele nowych gatunków. Wreszcie — osiągnęliśmy główny cel wyprawy, opłynęliśmy bowiem przylądek Czeluskin i jako pierwsi pokonaliśmy odległość dzielącą ujście Jeniseju od ujścia Leny. Znaleźliśmy i rozpoznaliśmy Przejście Północno-Wschodnie. Pewnie, że sprawiłoby nam większą satysfakcję dokonanie tego w dwa miesiące, a niewiele brakowało, zaledwie kilku godzin, aby tak się stało. Jednak wszystko razem wzięwszy, jeśli tylko zostaniemy wkrótce uwolnieni, na co pozwalają mieć nadzieję rozliczne znaki, nie będziemy mieli powodu uskarżać się i wrócimy z przekonaniem, że dokonaliśmy pożytecznego dzieła!

Słuchając przewodnika z głębokim zainteresowaniem, podróżnicy przebyli drogę dzielącą ich od „Vegi”. Byli teraz na tyle blisko, aby rozróżnić jej dziób przykryty wielką płachtą rozciągającą się aż do mostku kapitańskiego, odkrytą rufówkę, burty osłonięte nagromadzonym śniegiem, olinowanie zredukowane do want i sztagów, komin starannie zabezpieczony przed działaniem mrozu.

Szczególnie dziwne było najbliższe otoczenie statku. Nie tkwił on, jak by się należało spodziewać, w jednolitej warstwie lodu, lecz zawisł niejako pośród prawdziwego labiryntu jezior, wysp i kanałów, ponad którymi trzeba było przerzucić drewniane kładki.

— Wyjaśnienie tego zjawiska jest bardzo proste — odpowiedział na jedno z pytań Erika młody uczonec. — Wokół każdego statku, spędzającego całe miesiące pośrodku lodowej tratwy, tworzy się warstwa odpadków, której głównym składnikiem jest popiół spalonego węgla. Jako ciemniejsza od śniegu, pochłania ona więcej ciepła, skutkiem czego, działając jak izolator, przyspiesza lub uniemożliwia topienie w zależności od swej gęstości i rozmiarów. Toteż gdy nadchodzi odwilż, strefa przylegająca do statku przybiera taki oto wygląd i staje się prawdziwą płataniną większych i mniejszych zagłębień, lejowatych dołów i spękanych platform.

Zgromadzona na rufowce załoga „Vegi” w strojach arktycznych, z dwoma lub trzema oficerami, przyglądała się już prowadzonym przez astronoma europejskim gościom. Jakże ucieszyli się słysząc powitanie w języku szwedzkim i rozpoznając wśród przybyśców tak popularne oblicze doktora Schwaryencrony!

Na pokładzie nie było ani profesora Nordenskjolda, ani wiernego towarzysza jego podróży arktycznych — kapitana Palandera. Udali się na geologiczną wyprawę w głąb lądu i mieli wrócić dopiero za pięć, sześć dni. Podróżnicy z „Alaski” przeżyli tedy pierwszy zawód. Mieli nadzieję, że znalazłszy „Vegę”, będą mogli złożyć wyrazy szacunku i gratulacje wielkiemu badaczowi. Okazało się, że nie był to jedyny zawód, jaki miał ich spotkać.

Ledwie weszli do mesy oficerskiej, dowiedzieli się o złożonej „Vedze” trzy dni wcześniej wizycie amerykańskiego jachtu, a raczej jego właściciela, pana Tudora Browna. Dżentelmen ów przyniósł wieści ze świata, których, rzecz jasna, byli spragnieni więźniowie z Zatoki Kolutczyńskiej. Opowiedział im, co działo się w Europie od chwili wyjścia „Vegi” w morze, o odczuwanym przez wszystkie cywilizowane kraje niepokojem o ich los, o wysłaniu „Alaski” na poszukiwania. Ów Tudor Brown przyplłynął z wyspy Vancouver na Pacyfiku, gdzie przez trzy miesiące czekał nań jego jacht.

— Przecież musicie go znać! — wykrzyknął w tym miejscu relacji młody lekarz wyprawy. — Powiedział nam, że początkowo płynął z wami, a opuścił was w Breście tylko dlatego, że wątpił, abyście doprowadzili wasze przedsięwzięcie do szczęśliwego końca...

— Istotnie, miał powody, żeby w to wątpić — odparł chłodno Erik nie bez wewnętrznego dreszczu.

— Ponieważ jego jacht stał w Valparaiso, zatelegrafował tam z poleceniem, aby czekał na niego w Victorii na wybrzeżu wyspy Vancouver — podjął młody lekarz. — Następnie udał się tam linią Liverpool-Nowy Jork, a dalej Żelazną Drogą Pacyfiku. To tłumaczy, dlaczego dotarł tu przed wami.

— Powiedział wam, po co tu przybył? — zapytał Bredejord.

— Żeby udzielić nam pomocy, gdybyśmy jej potrzebowali, a także dowiedzieć się o dość dziwną postać, o której wspomniałem mimochodem w mojej korespondencji i którą Tudor Brown wydawał się żywo interesować.

Czterej goście wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Chodziło o Patricka O'Donoghana?... Bo tak nazywa się ów człowiek?

— Właśnie! Przynajmniej takie nazwisko ma wytatuowane na skórze, choć on sam utrzymuje, że to nazwisko przyjaciela i każe na siebie wołać Johny Bowles...

— Wolno spytać, czy ten człowiek jest tutaj?

— Opuścił nas już dziesięć miesięcy temu. Początkowo sądziliśmy, że może nam się przydać w kontaktach z tubylcami z uwagi na jego domniemaną znajomość języka Samojedów. Lecz wkrótce spostrzeżliśmy, że owa znajomość jest bardzo powierzchowna i ogranicza się do kilku zaledwie słów. Poza tym przypadek chciał, że od Chabarowa aż dotąd nie mieliśmy żadnego kontaktu z mieszkańcami krain, wzdłuż których płynęliśmy. Tłumacz był więc niepotrzebny. Co więcej, ów Johny Bowles, czy też Patrick O'Donoghana, był niezdyscyplinowanym leniem i pijakiem. Jego obecność na pokładzie była ze wszech miar kłopotliwa. Przyjęliśmy więc z prawdziwą ulgą jego prośbę, aby go wysadzić z zapasem żywności na jednej z Wysp Lachowskich, gdy płynęliśmy wzdłuż jej południowego wybrzeża.

— Jak to? I tam wysiadł?! — wykrzyknął Erik. — Ależ to chyba bezludna wyspa!

— Zgadza się! Urzekło go, jak się zdaje, to, że jest ona niemal całkowicie pokryta szkieletami mamutów, a co za tym idzie — kością słoniową. Postanowił zamieszkać tam i poświęcić miesiące letnie na zgromadzenie jak największej ilości kości słoniowej, a następnie, gdy powróci zima i zetnie lodem cieśninę oddzielającą wyspę od stałego lądu, przetransportować na saniach te bogactwa na wybrzeże syberyjskie i sprzedać rosyjskim kupcom, którzy zapuszczają się aż tam w poszukiwaniu miejscowych wytworów.

— Powiedział pan to wszystko Tudorowi Brownowi? — zapytał Erik.

— Oczywiście! Przecież przyjechał po to z tak daleka! — odparł młody lekarz, nie domyślając się, jak istotne osobiste znaczenie mają dla kapitana „Alaski” stawiane mu pytania.

Później rozmowa zesłała na tematy bardziej ogólne. Rozmawiano o tym, jak stosunkowo łatwo udało się zrealizować program Nordenskjolda. W prawie żadnym punkcie nie napotkał większych trudności. Odkrycie nowej drogi mogło mieć poważne konsekwencje dla światowego handlu. Nie dlatego — mówili oficerowie z „Vegi” — by droga

ta na całej długości stała się kiedykolwiek bardzo uczęszczana, lecz dlatego, że podróż „Vegi” musi nieuchronnie przyzwyczać morskie kraje Atlantyku i Pacyfiku do traktowania bezpośredniego połączenia z Syberią drogą morską za możliwe. A nigdzie kraje te nie mogą znaleźć, wbrew obiegowym opiniom, równie szerokiego i bogatego pola działania.

— Czy to nie dziwne — zauważył Bredejord — iż od trzech wieków wszelkie próby kończyły się całkowitą klęską, a dziś wam udało się tego dokonać niemal bez trudu?

— Dziwne tylko na pozór — odpowiedział jeden z oficerów. — Płynąc wzdłuż północnych wybrzeży Azji korzystaliśmy, podobnie jak wy podążając wzdłuż północnych wybrzeży kontynentu amerykańskiego, z doświadczenia nabytego często za cenę życia przez naszych poprzedników. Skorzystaliśmy także z bogatego doświadczenia osobistego naszego szefa. Profesor Nordenskjold przygotowywał się do tej decydującej próby przez ponad dwadzieścia lat podczas ośmiu wielkich wypraw arktycznych. Cierpliwie zbierał wszystkie dane, by potem pewnie zmierzać ku wytkniętemu celowi. Poza tym mieliśmy to, czego brakowało naszym poprzednikom, a mianowicie specjalnie wyposażony statek parowy, który pozwolił nam pokonać w dwa miesiące odległość, jakiej na żaglowcu nie przebylibyśmy może przez dwa lata. Mogliśmy nie tylko wybierać drogę, ale i szukać jej, uciekać przed pływającymi górami lodowymi, prześcigać prądy i wyprzedzać wiatry. A i tak nie udało nam się uniknąć zimowania! Z jakimi trudnościami musieli się więc borykać dawni żeglarze, zmuszeni czekać na sprzyjający wiatr, tracący nieraz najpiękniejsze miesiące letnie na błędzeniu!... Ileż to razy my sami znajdowaliśmy wolne morze tam, gdzie mapy wskazywały wieczne lody czy wręcz stały ląd lub wyspy! Mogliśmy wówczas płynąć na rozpoznanie, zawrócić w razie potrzeby i podjąć na nowo drogę, podczas gdy niegdysiejsi żeglarze zdani byli najczęściej na domyśle.

Tak na pogawędkach i dyskusjach minęło popołudnie. Goście z „Alaski” zjedli obiad na „Vedze”, po czym zabrali na kolację na swój pokład oficerów, którzy nie mieli wachty. Doszło do wzajemnej wymiany informacji, a Erik szczególnie zatroszczył się o te, które dotyczyły drogi przebytej przez „Vege” i środków ostrożności, jakie należało przedsięwziąć chcąc posłużyć się jej trasą. Wypili za ostateczny sukces obu stron, wymienili najszersze życzenia powrotu do kraju, po czym rozstali się.

Nazajutrz o świcie „Alaska” miała wyruszyć ku Wyspom Lachowskim, „Vega” zaś czekać, aż lody ruszą, co pozwoli jej wpłynąć na Pacyfik.

Erik wypełnił pierwszą część zadania — odnalazł Nordenskjolda. Pozostała druga: spotkać się z Patrickiem O’Donoghaneem i spróbować wydrzeć mu jego sekret. Niechybnie było to coś strasznego — i z tym zgadzali się teraz wszyscy — skoro Tudor Brown tak zapamiętałe szukał tego, kto go posiada.

Czy dotrą przed Brownem do Wysp Lachowskich? Mało prawdopodobne — miał trzy dni przewagi. Ale to nieważne! Spróbują szczęścia! „Albatros” może zabłądził, na-

tknął się na nieprzewidziane przeszkody, może da się go dogonić lub nawet prześcignąć. Jak długo istniała szansa powodzenia, należało z niej korzystać.

Łagodna temperatura nastrajała optymistycznie. Powietrze było ciepłe i wilgotne. Lekkie mgły na horyzoncie wskazywały wolne morze ze wszystkich stron, poza pasem lodu, który ciągnął się jeszcze wzdłuż wybrzeża syberyjskiego, gdzie tkwiła uwięziona „Vega”. Lato dopiero się zaczynało i „Alaska” mogła spokojnie liczyć na dziesięć tygodni sprzyjającej pogody. Doświadczenie nabyte wśród amerykańskich lodów miało swoją wartość i pozwalało uważać nowe przedsięwzięcie za stosunkowo łatwe. Poza tym Przejście Północno-Wschodnie było bezsprzecznie najprostszą drogą powrotną do Szwecji i obok osobistych powodów, jakie pchnęły na nią Erika, istniała rzeczywista korzyść naukowa, płynąca z pokonania w przeciwnym kierunku trasy przebytej przez Nordenskjolda. Gdyby się udało — a czemuż nie miałyby się udać? — byłby to dowód słuszności założenia wielkiego badacza i jednocześnie jego zastosowanie w praktyce.

Wiatr stał się sprzymierzeńcem i wspomagał „Alaskę”. Przez dziesięć dni wiał niemal bezustannie z południowego wschodu, co pozwoliło posuwać się ze średnią prędkością dziesięciu, dziesięciu węzłów bez spalania węgla. Było to tym cenniejsze udogodnienie, że wiatr spychał na północ krę, ułatwiając w ten sposób żeglowanie. Przez owe dziesięć dni napotkali jedynie kilka zwałów rumoszu lodowego, inaczej zmurszałego lodu, jak się zwykło nazywać na pół stopione resztki zimowych lodów.

Wprawdzie jedenastego dnia przeżyli burzę śnieżną, po której wystąpiły dość gęste mgły hamujące statek, ale 29 lipca słońce pojawiło się znów w pełni blasku i 2 sierpnia rano ukazał się południowy kraniec Wysp Lachowskich.

Erik rozkazał, aby je opłynąć, po pierwsze w celu sprawdzenia, czy „Albatros” nie ukrywa się gdzieś w jakiejś zatoczce, a po wtóre, by zakotwiczyć „Alaskę” po podwietrznej wyspy. Dokonawszy rekonesansu, kazał rzucić kotwicę na piaszczystym dnie, około trzech mil od południowego wybrzeża; następnie wsiadł do łodzi wielorybniczej w towarzystwie trójki przyjaciół i sześciu ludzi z załogi. Pół godziny później łódź przybiła do brzegu w dość głębokiej zatoczce.

Nie bez powodu wybrał Erik wybrzeże południowe. Mówił sobie, że Patrick O’Dohohan, bez względu na to, czy rzeczywiście chciał prowadzić z Syberią handel kością słoniową, czy też miał zamiar opuścić przy pierwszej okazji wyspę, na którą kazał się wysadzić, musiał wybrać na miejsce pobytu punkt, z którego mógł obserwować morze. Istniało dość duże prawdopodobieństwo, że ów punkt znajduje się na wzniesieniu i jest maksymalnie blisko wybrzeża syberyjskiego. Dodatkowy motyw wyboru południowego wybrzeża stanowiła konieczność schronienia się przed polarnymi wiatrami. Erik nie twierdził, że jego przypuszczenia muszą się sprawdzić, lecz mówił sobie, iż nic nie stoi na przeszkodzie, aby je przyjąć za punkt wyjścia przy przeszukiwaniu wyspy.

To, co się zdarzyło, miało w pełni potwierdzić jego oczekiwania. Po niecałej godzinie

marszu wzdłuż wybrzeża podróżnicy zauważyli na wzniesieniu doskonale osłoniętym łańcuchem wzgórz i zwróconym na południe coś, co mogło być wyłącznie ludzką siedzibą. Ku ich wielkiemu zaskoczeniu, ten nienagannie zbudowany w kształcie sześcianu domek był cały biały, jakby pokryty gipsową obrzutką. Brakowało mu tylko zielonych okiennic, by przybrać wygląd prowansalskiego lub amerykańskiego domku wiejskiego.

Kiedy, wspiąwszy się na wzgórze, zbliżyli się doń, odkryli istotę zjawiska. Domek nie był otynkowany gipsem, lecz po prostu kunsztownie ułożony z gigantycznych kości, stąd ów biały kolor. O ile dziwny był to budulec, o tyle pomysł użycia go dość naturalny, zważywszy, że nie było innego na tej wyjątkowo ubogiej w roślinność wyspie, wzgórze zaś i wszystkie sąsiednie wzniesienia pokrywały szczątki kostne, w których doktor bez trudu rozpoznał resztki mamutów, bizonów i turów.

XVII. Nareszcie!

Przez szeroko otwarte drzwi chatki czterej goście weszli do środka i od pierwszego rzutu oka stwierdzili, że jedyna izba, z jakiej się składała, była całkiem niedawno zamieszkana. W uformowanym z trzech wielkich kamieni palenisku wygasłe głównie okrywała leciutka wata popiołu, którą rozwiewa najłżejszy powiew. Łoże, składające się z drewnianej ramy i rozpiętego na niej marynarskiego hamaka, nosiło jeszcze odcisk ludzkiego ciała.

Erik obejrzał zaraz hamak i znalazł na nim stempel „Vegi”.

Na czymś w rodzaju stołu, zrobionego z kopalnej łopatki wspartej na czterech kościach udowych, widać było okruchy sucharów, cynowy kubek i drewnianą łyżkę szwedzkiej produkcji.

Znajdowali się bez wątplenia w siedzibie Patricka O'Donoghana i według wszelkie-
go prawdopodobieństwa, wyszedł on z niej całkiem niedawno.

Czy po to, by opuścić wyspę? Czy też przeciwnie, żeby ją zwiedzić? Na te pytania mogło dać odpowiedź jedynie zbadanie okolic.

Wykopy i spalczona ziemia wokół siedziby świadczyły o dość aktywnie prowadzonych pracach. Na czymś w rodzaju platformy, jaką tworzył szczyt wzgórza, leżało około dwudziestu kłów z kopalnej kości słoniowej, ułożonych szeregiem, co wskazywało na naturę owych prac. Były to oczywiście prace wykopaliskowe, mające na celu wydobycie z ziemi resztek umarłej epoki. Stwierdziwszy, że liczne szkielety słońi lub mamutów leżące na powierzchni są ogołocone z kości słoniowej, podróżnicy zrozumieli, skąd konieczność prowadzenia wykopalisk. Widocznie mieszkańcy syberyjskiego wybrzeża nie czekali na przybycie Patricka O'Donoghana na Wyspy Lachowskie, by wykorzystywać ich bogactwa. Nie znalazłszy prawie nic cennego na powierzchni, Irlandczyk musiał zabrać się do kopania, by wydobyć z ziemi kryjącą się tam kość słoniową, pośledniejszego zresztą gatunku.

Ponieważ zarówno młody lekarz z „Vegi”, jak i właściciel nowojorskiej oberży „Pod Czerwoną Kotwicą” zgodnie stwierdzili, że lenistwo było jedną z charakterystycz-

nych cech Patricka O'Donoghana, wydawało się mało prawdopodobne, by równie niewdzięczna i niezbyt popłatna praca mogła go zająć na dłużej. Pewnie przy pierwszej nadarzającej się okazji opuściłby wyspę. Jedyna nadzieja zastania go jeszcze tutaj opierała się na całkiem świeżych śladach znalezionych w chatce.

Po stoku przeciwnym do tego, którym wspięli się poszukiwacze, schodziła w stronę brzegu ścieżka. Podążyli nią i wkrótce dotarli do zagłębienia, gdzie stopniałe śniegi utworzyły coś w rodzaju małego jeziorka, oddzielonego od morza skalną zaporą. Ścieżka biegła wzdłuż brzegów tego zbiornika słodkiej wody i obchodząc falezę, prowadziła do prawdziwego naturalnego portu.

Na plaży leżały porzucone sanie i widać było także świeży ślad ogniska. Erik starannie skontrolował brzeg, lecz nie znalazł żadnego pozostawionego przez łódź śladu.

Wracał już do swych towarzyszy, gdy nagle zauważył u stóp krzewu, niedaleko ogniska, jakiś czerwony przedmiot. Podniósł go i stwierdził, że to jedna z tych puszek z białej blachy, pomalowanych z zewnątrz na karminowo, zawierających konserwę wołową potocznie zwaną tuszonką, którymi wszystkie statki świata zapełniają swe zasobnie żywnościowe. Na pierwszy rzut oka znalezisko nie miało w sobie nic nadzwyczajnego, Patrick O'Donohan bowiem został zaopatrzony w żywność przez „Vegę”. Jednak znaczące było to, że owa pusta puszka nosiła na drukowanej etykietce napis: „Martinez Domingo, Valparaiso”.

— Tudor Brown był tutaj! — wykrzyknął Erik. — Powiedzieli nam na „Vedze”, że jego statek znajdował się w Valparaiso, kiedy on telegraficznie polecił mu udać się na Vancouver i tam go oczekiwać!... Zresztą „Vega” nie mogła zostawić tu puszek pochodzącej z Chile, a ta jest całkiem świeża! Nie ma jeszcze trzech dni, może nawet doby, jak została opróżniona!

Doktor Schwaryencrona i Bredejord kręcili z powątpiewaniem głowami, jakby wzbraniali się przed przyjęciem tak kategorycznego wniosku, kiedy Erik, który obracał puszkę na wszystkie strony, pokazał im szczegół rozpraszający wszelkie wątpliwości. Na wieczku puszek widniało słowo „Albatros”, napisane ołówkiem prawdopodobnie przez dostawcę tuszonki.

— Tudor Brown był tutaj! — powtórzył Erik. — A po cóż by przybył, jeśli nie po to, żeby zabrać Patricka O'Donoghana? No cóż, sprawa jest jasna! Wysiadł w tej zatoczce; jego ludzie czekali tu na niego, posilając się przy ogniu, kiedy on sam poszedł do Irlandczyka i siłą czy po dobroci, zabrał go na jacht! Jestem tego tak pewny, jakbym przy tym był!

Pomimo tej pewności Erik chciał przeszukać okolice, by przekonać się ostatecznie, że Patricka O'Donoghana istotnie tam nie ma. Jednak wystarczył godzinny przegląd, aby utwierdził się w przekonaniu, iż reszta wyspy jest całkowicie bezludna. Nigdzie śladu ścieżki, najmniejszej pozostałości po żywej istocie. Jak okiem sięgnąć tylko wydmy

i zagłębienia, bez jakiegokolwiek roślinności, bez jednego ptaka, jednego owada, który by ożywił to pustkowię. I wszędzie gigantyczne szkielety spoczywające na ziemi, jakby armia mamutów, nosorożców i turów schroniła się tu niegdyś przed jakimś przerażającym kataklizmem, by umrzeć na tej zagubionej wyspie. Obrazu dopełniała ciągnąca się w tle, za wydmami i zagłębieniami, ściana wzniesień pokrytych śniegiem i lodowcami.

— Zabierajmy się stąd! — rzekł doktor Schwaryencrona.

— Nie mamy się czego spodziewać po dalszych poszukiwaniach, a to, co widzimy, dostatecznie nas upewnia, że nie trzeba będzie prosić Patricka O'Donoghana, aby go skłonić do wyjazdu!

Około godziny czwartej łódź wielorybnicza powróciła na „Alaskę”, a ta ruszyła w dalszą drogę.

Erik zdawał sobie sprawę, że jego nadzieje otrzymały właśnie decydujący cios. Skoro Tudorowi Brownowi udało się go ubiec, przybyć pierwszemu na Wyspy Lachowskie i niewątpliwie zabrać ze sobą Patricka O'Donoghana, to prawdopodobieństwo odnalezienia go kiedykolwiek jest odtąd znikome. Człowiek zdolny posunąć się do takich działań, na jakie poważył się w stosunku do „Alaski” Tudor Brown, wkładający tyle zacieklej energii w uprowadzenie Irlandczyka z takiego miejsca, na pewno bez większego trudu uniemożliwi dotarcie do niego. Świat jest duży, a bezmiar mórz stoi przed „Albatrosem” otworem. Jak odgadnąć, ku któremu z punktów róży wiatrów jacht unosi Patricka O'Donoghana i jego sekret?

Oto, o czym myślał kapitan „Alaski” przechadzając się po mostku, wydawszy przedtem rozkaz, żeby wziąć kurs na zachód. Do tych bolesnych myśli dochodziły jeszcze wyrzuty sumienia, że dopuścił do tego, by jego przyjaciele dzielili z nim niebezpieczeństwa i trudy tej beużytecznej wyprawy, i to po dwakroć beużytecznej, Tudor Brown pierwszy bowiem odnalazł Nordenskjolda i pierwszy dotarł do Wysp Lachowskich! Wróć więc do Sztokholmu — jeśli w ogóle wróć — nie osiągnąwszy żadnego z celów podróży. To naprawdę wyjątkowy pech!... Żeby choć powrót czemuś służył i stał się sprawdzieniem doświadczenia „Vegi”, jego powtórzeniem w przeciwnym kierunku! Niechby Przejście Północno-Wschodnie znalazło potwierdzenie w kolejnej pomyślnie zakończonej próbie!... Należało za wszelką cenę dotrzeć do przylądka Czeluskin i opłynąć go ze wschodu na zachód! Należało za wszelką cenę wrócić do Szwecji przez Morze Karne!

Właśnie ku groźnemu przylądkowi Czeluskin, uchodzącemu jeszcze do niedawna za niepokonany, płynęła teraz pełną parą „Alaska”. Nie podążała dokładnie drogą „Vegi”, ta wypłynęła bowiem z ujścia Leny, gdzie zrobiła postój, zanim udała się na Wyspy Lachowskie, Erik zaś nie miał żadnego powodu schodzić na wybrzeże syberyjskie. W dniu 4 sierpnia, zostawiając po sterburcie wyspy Stołbowoj i Siemienowskij, pożegłował prosto na zachód, mniej więcej wzdłuż 76 równoleżnika, i szło mu tak dobrze, że w osiem

dni przebył trzydzieści pięć stopni długości geograficznej, od 140° do 105° na wschód od Greenwich. Prawdę mówiąc, nie obyło się bez spalenia dużej ilości węgla, bo „Alaska” niemal ciągle szła pod wiatr. Ale Erik słusznie uważał, że trzeba wszystko podporządkować konieczności jak najszybszego opuszczenia tych niebezpiecznych wód. Gdy tylko dotrą do ujścia Jeniseju, na pewno uda się jakoś załatwić paliwo.

W południe 14 sierpnia gęsta mgła, przesłaniająca niebo i horyzont, uniemożliwiła obserwację słońca, lecz według przybliżonych obliczeń powinni być już blisko wielkiego przylądka azjatyckiego. Toteż Erik zalecił maksymalną czujność, każąc jednocześnie zmniejszyć prędkość statku. Około wieczora wydał nawet rozkaz, aby zatrzymać maszyny.

Nie były to zbędne środki ostrożności. Rzucona za dnia sonda wykazała tylko trzydzieści sążni, a godzinę później na horyzoncie ukazała się ziemia. „Alaska” halsując zbliżyła się do zatoki i tam zakotwiczyła.

Z zejściem na ląd postanowiono poczekać, aż przerzedzi się mgła. Ale kiedy 15 i 16 sierpnia mgła utrzymywała się nadal, Erik zdecydował się popłynąć na brzeg w towarzystwie Bredejorda i Malariusza oraz doktora.

Po krótkim rekonesansie stwierdzili, że zatoka, w której „Alaska” rzuciła kotwicę, rozciąga się między dwoma najdalej na północ wysuniętymi punktami przylądka Czeluskin. Z obydwu stron niskie wybrzeże wznosiło się stopniowo łagodnym stokiem ku leżącym na południu górom, mierzącym jakieś trzysta do czterystu metrów, które chwilami wynurzały się ze spowijającej je mgły. Nigdzie nie było widać ani śniegów, ani lodów, z wyjątkiem typowego dla rejonów arktycznych przybrzeżnego lodu stałego. Na ilastej glebie pieniały się mchy, trawy, porosty. Wybrzeże ożywiała obecność dość licznych dzikich gęsi i kaczek oraz tuzina morsów. Na wierzchołku skały demonstrował swe futro biały niedźwiedź. W sumie — gdyby nie mgła przykrywająca wszystko swym szarym płaszczem — wygląd słynnego przylądka Czeluskin nie miał w sobie nic szczególnie odpychającego, a przede wszystkim nic, co by uzasadniało ponurą sławę, jaką zachował przez wieki.

Posuwając się ku najdalej wysuniętemu punktowi na zachód od zatoki, podróżnicy dostrzegli wznoszący się tam rodzaj pomnika i naturalnie pospieszyli go obejrzeć. Zbliżywszy się zobaczyli, że to stos kamieni podtrzymujących drewniany, zrobiony z belki obelisk.

Widniały na nim dwa napisy. Pierwszy głosił:

„19 sierpnia 1878 roku „Vega”, wypłynąwszy z Atlantyku, opłynęła przylądek Czeluskin w drodze do Cieśniny Beringa.”

A drugi:

„12 sierpnia 1879 roku „Albatros”, przybywający z Cieśniny Beringa, opłynął przylądek Czeluskin w drodze na Atlantyk.”

Tak więc jeszcze i tu Tudor Brown uprzedził „Alaskę”! Mieli 16 sierpnia... Zaledwie cztery dni temu skreślił te słowa!

W oczach Erika nabierały one okrutnego, ironicznego znaczenia, zupełnie jakby głosiły: „Do końca będziesz doznawał zawodu! Do końca będziesz niepotrzebny!... Nordenskjöld dokonał odkrycia, Tudor Brown — weryfikacji, a ty wrócisz upokorzony i zawstydzony, bo niczego nie dokażesz, niczego nie znajdziesz, niczego się nie dowiesz!”

Erik postanowił odejść, nie dorzucając ani jednego słowa do napisów na obelisku. Ale doktor Schwaryencrona nawet nie chciał o tym słyszeć. Wyjął z kieszeni nóż i wyrzył na belce:

„16 sierpnia 1879 roku „Alaska”, wyruszywszy ze Sztokholmu, przebyła Atlantyk, Morze Baffina, arktyczne cieśniny amerykańskie, Morze Wschodniosyberyjskie, minęła przylądek Czeluskin, dokonując pierwszego opłynięcia bieguna.”

Przedziwna moc słów! To proste zdanie, uświadamiające Erikowi, jakiego wyczynu geograficznego niemal bezwiednie dokonuje, wystarczyło, by przywrócić mu dobry humor. W końcu taka była prawda — „Alaska” jako pierwsza opływała biegun!... Przed nią inni podróżnicy przebyli amerykańskie cieśniny arktyczne i odkryli Przejście Północno-Zachodnie; przed nią Nordenskjöld i Tudor Brown opłynęli przylądek Czeluskin i przebyli Przejście Północno-Wschodnie. Ale nikt jeszcze nie przepłynął z jednego Przejścia na drugie, by zatoczyć wokół bieguna, przez morza arktyczne, pełne koło — 360 stopni. Tymczasem „Alasce” brakowało już tylko osiemdziesięciu stopni, co mogło być kwestią dziesięciu dni żeglugi.

Nowa perspektywa wznieciła w nich taki zapal, że chcieli zaraz ruszać w drogę. Erik postanowił jednak zaczekać jeszcze do następnego dnia w nadziei, że rozproszą się mgły. Lecz mgła była chyba chroniczną chorobą przylądka Czeluskin; toteż kiedy wstał kolejny bezsłoneczny dzień, Erik rozkazał podnieść kotwicę.

Zostawiając na południu Tajmyr — wielki półwysep syberyjski, którego najdalej wysuniętym cypłem jest przylądek Czeluskin — „Alaska” skierowała się na zachód i żeglowała bez przerwy cały dzień i noc z 17 na 18 sierpnia. Rankiem 18-wyszła nareszcie z mgły w czyste powietrze i słoneczną pogodę. W południe można było określić położenie statku. Pomiary miały się ku końcowi, kiedy z bocianiego gniazda zasygnalizowano żaglowiec na południowym zachodzie.

Żaglowiec na tych mało uczęszczanych wodach był zjawiskiem niezwykłym, zasługującym na szczególną uwagę. Erik bezzwłocznie wspiął się na bocianie gniazdo i długo przyglądał statkowi przez lornetkę. Ukazał mu się on nisko na wodzie, wyposażony jak szkuner, ale z kominem, z którego teraz nie unosił się dym.

Młody kapitan zszedł na pokład poblady.

— To mi wygląda na „Albatrosa” — rzekł do doktora, po czym wydał rozkaz, aby podsyć ogień w paleniskach.

Po upływie kwadransa stało się jasne, że zaczynają go doganiać — kadłub statku był już dostrzegalny gołym okiem. Szedł pod żaglami przy słabiutkiej bryzie, a co więcej, jego kierunek tworzył z kierunkiem „Alaski” bardzo ostry kąt.

Nagle dokonana się gwałtowna zmiana w jego zachowaniu. Komin buchnął dymem, który utworzył za statkiem długi, czarny pióropusz. Poszła w ruch maszyna parowa i żaglowiec zmierzał teraz w tym samym kierunku co „Alaska”.

— Nie ma wątpliwości, to „Albatros”! — wyszeptał Erik i kazał pierwszemu mechanikowi przyspieszyć. Gnali teraz z prędkością czternastu węzłów, a po kwadransie — już szesnastu.

Ścigany statek widocznie nie był jeszcze w stanie osiągnąć podobnej prędkości, „Alaska” bowiem stopniowo go doganiała. Po upływie trzydziestu minut zbliżyła się na tyle, żeby można było rozróżnić szczegóły jego omasztowania, kilwater, krzątających się po pokładzie ludzi, wreszcie profil rufy i litery tworzące słowo „Albatros”.

Erik kazał wciągnąć szwedzką banderę. Zaraz potem na „Albatrosie” pojawiła się gwiazdzista bandera Unii amerykańskiej.

Jeszcze kilka minut i oba statki dzieliła już tylko odległość jakichś trzystu, czterystu metrów. Wówczas kapitan „Alaski”, stojąc na mostku, przez tubę zawołał po angielsku „Albatrosa”:

— Hej, tam, na statku!... Chcę mówić z kapitanem!

Ktoś wszedł na mostek „Albatrosa”. Był to Tudor Brown.

— Jestem właścicielem i kapitanem tego jachtu — rzekł. — Czego pan ode mnie chce?

— Chcę wiedzieć, czy macie na pokładzie Patricka O’Donoghana.

— Patrick O’Donaghan jest na moim pokładzie i odpowie panu osobiście — odrzekł Tudor Brown.

Na dany znak jakiś człowiek dołączył do niego na mostku.

— Oto Patrick O’Donaghan — podjął właściciel „Albatrosa”. — Czego pan chce od niego?

Erik pragnął tego spotkania od bardzo dawna i przybył na nie z daleka, jednak znalazłszy się niespodziewanie twarzą w twarz z tym rudowłosym mężczyzną o złamanym nosie, który spoglądał na niego podejrzliwie, poczuł się zaskoczony i początkowo nie wiedział, o co go zapytać. Lecz po chwili zebrał myśli i zdobywszy się na wysiłek, rzekł:

— Muszę porozmawiać z panem długo i poufnie. Szukam pana od kilku lat i w tym celu tu przypląnąłem. Czy zechciałby pan przejść na mój pokład?

— Nie znam pana i dobrze mi tu, gdzie jestem — odpowiedział mężczyzna.

— Ale ja pana znam! Wiem od pana Bowlesa z Nowego Jorku, że przeżył pan zatonięcie „Cynthii” i opowiadał mu o dziecku na kole! Ja jestem tym dzieckiem i chciałem prosić o dotyczące tej sprawy szczegóły, które pan zna.

— Musi pan się zwrócić do kogo innego, bo ja nie mam na to ochoty!

— Mam rozumieć, że nie przynoszą one panu zaszczytu?

— Rozum pan sobie, jak chcesz, jest mi to dokładnie obojętne! — odparł tamten.

Erik postanowił nie okazywać wzburzenia.

— Byłoby lepiej dla pana wyjawic mi dobrowolnie to, czego tak bardzo pragnę się dowiedzieć, niż narażać się na przesłuchanie przed sądem! — powiedział chłodno.

— Przed sądem!... Trzeba by mnie tam najpierw doprowadzić! — odparował mężczyzna. Tu wtrącił się Tudor Brown.

— Widzi pan teraz, że nie z mojej winy nie otrzymuje pan wyjaśnienia, którego sobie życzy — rzekł do Erika. — Wobec tego najlepiej będzie dać temu pokój i ruszyć każdy w swoją stronę.

— Dlaczego każdy w swoją stronę? Czyż nie byłoby najprościej płynąć razem do najbliższego cywilizowanego kraju, aby tam uregulować nasze sprawy? — odparł młody kapitan.

— O ile wiem, nie mamy wspólnych spraw, a ja nie potrzebuję niczyjego towarzystwa! — powiedział Tudor Brown i zabierał się do opuszczenia mostku.

Erik dał mu znak, by się zatrzymał.

— Właścicielu „Albatrosa”! — wykrzyknął. — Jestem tu z oficjalną misją mojego rządu i z tego tytułu oficerem policji morskiej! Wzywam pana do natychmiastowego okazania pańskich papierów!

Tudor Brown nie raczył nawet odpowiedzieć i zszedł z mostku wraz z człowiekiem, którego tam przywołał. Erik odczekał dwie minuty, po czym podjął:

— Właścicielu „Albatrosa”! Oskarżam pana o próbę zatopienia mojego statku na rafie Basse-Froide de Sein i wzywam pana do stawienia się przed trybunałem morskim celem złożenia stosownych wyjaśnień!... W razie niepodporządkowania się wezwaniu moim obowiązkiem będzie zmusić pana do tego siłą!

— Niech pan spróbuje, jeśli ma pan ochotę! — krzyknął Tudor Brown, dając rozkaz ruszenia w drogę.

Podczas tej rozmowy jego statek niepostrzeżenie wykonał zwrot i ustawił się pod kątem prostym do dziobu „Alaski”. Nagle ruszyła śruba napędowa, która uderzając w wodę, utworzyła wokół białą kapiel. Długi gwizd przeciął powietrze i „Albatros”, ślizgając się po falach, ruszył pełną parą w kierunku bieguna północnego.

Dwie minuty później „Alaska” rzuciła się za nim w pogoń.

XVIII. Bitwa

Puszczając się w pogoń za „Albatrosem”, Erik rozkazał ustawić w pozycji do strzału umieszczone na dziobie „Alaski” działo. Operacja ta zabrała sporo czasu. Kiedy wreszcie działo, uwolnione z powleczonego smołą pokrowca, zostało naładowane i przygotowane do strzału, wróg był już poza zasięgiem. Niewątpliwie skorzystał z chwili postoju, by mocno podsycić ogień, i teraz miał około czteromilową przewagę. Ostatecznie nie była to odległość przekraczająca możliwości działa Gatlinga, jednak przy kołysaniu, prędkości obydwu statków i niewielkim celu, jaki przedstawiał dla strzału amerykański jacht, prawdopodobieństwo trafienia znacznie się zmniejszyło. Lepiej było zaczekać. Zresztą wkrótce przewaga „Albatrosa” przestała rosnać, choć też i nie malała. Pędzące pełną parą statki musiały więc rozwijać jednakową prędkość. Dzieląca je odległość nie zmniejszała się przez kilka godzin.

Działo się to jednak kosztem ogromnego zużycia węgla — którego „Alaska” miała coraz mniej — i zachodziła obawa, że cały spalony węgiel pójdzie na marne, jeśli zapadnie noc, zanim osiągną „Albatrosa”. Erik uznał, iż nie ma prawa stawiać wszystkiego na jedną kartę bez porozumienia z załogą. Zwołał więc wszystkich na pokład i szczerze przedstawił sytuację.

— Przyjaciele — rzekł — wiecie o co chodzi: o to, czy pojmiemy i oddamy w ręce sprawiedliwości łajdaka, który usiłował nas zatopić na Basse-Froide, czy też pozwolimy mu zbiec! Węgla mamy zaledwie na sześć pełnych dni, dlatego każde zboczenie z drogi grozi, że podróż przyjdzie nam ukończyć pod żaglami, co wiąże się z dużym ryzykiem i może doprowadzić do klęski. Co więcej, „Albatros” liczy zapewne, że zgubi nas, gdy zapadnie noc. Najważniejsza sprawa więc to utrzymanie go w zasięgu naszego elektrycznego reflektora i zachowanie maksymalnej prędkości. Zresztą jestem pewien, że wyścig ten skończy się nieuchronnie jutro lub pojutrze na granicy wiecznych lodów broniących dostępu do bieguna północnego, w okolicach siedemdziesiątego ósmego lub siedemdziesiątego dziewiątego stopnia. Nie chciałem jednak kontynuować pościgu nie zapytawszy was, czy zgadzacie się na to i czy gotowi jesteście ponieść wszelkie jego kon-

sekwencje!

Ludzie porozumieli się między sobą po cichu, po czym wyznaczyli Herseboma, aby wyraził ich opinię.

— Uważamy, że obowiązkiem „Alaski” jest wszystko poświęcić, byle ująć tego nędznika — rzekł spokojnie Hersebom.

— Świetnie! W takim razie zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby tego dokonać — odrzekł Erik.

Mając odtąd świadomość poparcia załogi, nie szczędził paliwa i pomimo rozpaczliwych wysiłków Tudora Browna, nie dał się zostawić w tyle. Ledwie zaszło słońce, na wierzchołku najwyższego masztu rozblęskło elektryczne oko „Alaski” i znieruchomiała bezlitośnie na „Albatrosie”, by nie opuścić go aż do rana. Przez całą noc odległość między statkami pozostała taka sama. Wstający świt zastał je gnające nadal ku biegunowi. W południe, na podstawie obserwacji słońca, wyznaczono pozycję „Alaski”: 78°21’14” szerokości geograficznej północnej, 98° długości geograficznej wschodniej.

Kra, której nie widzieli już od dziesięciu czy piętnastu dni, stawała się znów coraz gęstsza. Czasami trzeba ją było rozłupywać stalowym ostrzem dziobu, jak niegdyś na Morzu Baffina. Erik przekonany, że niebawem ukaże się pas zwartego lodu, postanowił zboczyć nieco na prawo od „Albatrosa”, tak by zagrozić mu drogę na wschód, gdyby próbował zmienić kierunek nie mogąc płynąć dalej na północ.

Ów środek ostrożności okazał się w pełni uzasadniony, około godziny drugiej bowiem na horyzoncie zarysowała się długa lodowa bariera. Amerykański jacht natychmiast skierował się na zachód zostawiając ją o cztery czy pięć mil po sterburcie. „Alaska” wykonała taki sam manewr, lecz tym razem zbacząc na lewo od „Albatrosa” w taki sposób, by przeciąć mu drogę, gdyby usiłował powrócić na południe.

Pościg stawał się coraz bardziej emocjonujący. „Alaska”, pewna kierunku, jakiego musiał się trzymać „Albatros”, usiłowała zająć go z flanki, spychając coraz bardziej ku barierze. Niezdecydowany, hamowany przez krę jacht co chwila zmieniał taktykę, to zmierzając na północ, to znów rzucając się gwałtownie na zachód.

Erik wspiął się na bocianie gniazdo i bacznie obserwował każdy jego zwód, by zaraz go udaremnić odpowiednim ruchem. Nagle spostrzegł, że jacht zatrzymał się raptownie, dokonał zwrotu o 180° i ustawił się dziobem do „Alaski”. Długa biała linia, ciągnąca się na zachodzie, tłumaczyła ów manewr. „Albatros” zapędził się w głąb zatoki utworzonej przez południowy cypel pasa lodu i jak dzikie zwierzę osaczone przez sforę, zwrócił się przodem do wroga.

Młody kapitan „Alaski” nie zdążył jeszcze zejść na pokład, gdy nad jego głową przeleciał ze świstem pocisk.

A więc „Albatros” był uzbrojony i zamierzał się bronić!

— Wolę, że tak się stało i że to on strzelił pierwszy! — rzekł sobie Erik i wydał roz-

kaz kontrataku.

Jego strzał nie był celniejszy od strzału Tudora Browna. Pocisk chybił celu o jakieś dwieście, trzysta metrów. Ale teraz bitwa rozgorzała na dobre i doszło do regularnej strzelaniny. Pocisk amerykański złamał dużą reję „Alaski”, spadł na pokład i wybuchając zabił dwóch ludzi. Pocisk szwedzki trafił dokładnie w mostek kapitański „Albatrosa” i dokonał tam pokaźnych zniszczeń. Kilka innych kul trafiło — tak z jednej, jak i z drugiej strony — bądź w kadłub, bądź w olinowanie.

Oba statki zbliżały się do siebie coraz bardziej, wykonując nagły zwrot, by wymienić salwy, gdy daleki pomruk mieszał się z odgłosem dział, a załogi, uniósłszy głowy, zobaczyły na wschodzie całkiem czarne niebo.

Czyżby burza, zasłona z mgieł lub śniegu miała rozdzielić „Albatrosa” i „Alaskę”, pomagając zbiec Tudorowi Brownowi? Erik za żadną cenę nie chciał do tego dopuścić. Postanowił przystąpić do abordażu. Uzbrowwszy wszystkich ludzi w szable, topory i kordełasy, puściwszy maszynę w ruch, rzucił się pełną parą na jacht.

Tudor Brown ani myślał na niego czekać. Wycofał się i zaczął ponownie płynąć wzdłuż pasa lodu, oddając co pięć minut strzał z działa. Ale jego pole manewru było teraz mocno ograniczone. Przypierany przez „Alaskę” do lądolodu zrozumiał, że nie ma dla niego innego ratunku jak ryzykowna próba zuchwałego przebicia się na pełne morze. Odważył się na to po kilku zwodach, mających na celu zmylenie przeciwnika co do jego rzeczywistych zamiarów.

Erik pozwolił mu działać. A potem, dokładnie w chwili, gdy pędzący pełną parą „Albatros” znalazł się w jego zasięgu, rzucił się nań ze swym stalowym ostrzem.

Skutek uderzenia był straszliwy. W burcie jachtu otwarła się ziejąca rana, a on sam, naraz ocieżyła, zatrzymał się i przestał słuchać steru. Natomiast „Alaska” szybko odskoczyła w tył i szykowała się do ponowienia natarcia. Jednak rosnące wzburzenie morza nie zostawiło jej na to czasu.

Nadciągała burza. Silny wiatr z południowego wschodu, któremu towarzyszyły tumany śniegu, nie tylko spowodował powstanie ogromnych fal, ale także spychał do zatoki, gdzie znajdowały się oba statki, rosnące z każdą chwilą zwały kry. Nadciągały ze wszystkich stron, jakby wyznaczyły tu sobie spotkanie. Erik zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia, że trzeba się bezzwłocznie wydostać z tego ślepego zaułka, by nie dać się uwięzić — być może bez szans na ratunek. Biorąc kurs na wschód, myślał już tylko o walce z wiatrem, śniegiem i ryczącą armią brył lodu.

Wkrótce jednak musiał uznać tę walkę za beznadziejną. Burza szalała z taką siłą, że ani maszyna „Alaski”, ani jej stalowe ostrze nie mogły już wiele zdziałać. Statek nie tylko niewiele posuwał się naprzód, ale chwilami zmuszony był cofać się o kilka metrów. Gęsty śnieg, przesłaniający niebo i oślepiający załogę, pokrywał już pokład i olinowanie grubą na ponad stopę warstwą. Gromadzące się i spiętrzające lody tworzyły rosną-

cy przy każdym podmuchu nieprzebyty mur. Trzeba było wrócić do pasa lodu, by tam niemal po omacku, poszukać jakiejś przystani i cierpliwie czekać na wyjaśnienie.

Amerykański jacht przepadł w zawierusze. Staranowany przez „Alaskę”, nie miał szans stawić czoła nawałnicy ani też wydostać się z zatoki.

Toteż Erik nie myślał już o nim, tym bardziej że pogarszająca się z każdą chwilą sytuacja była na tyle poważna, iż miał dość własnych kłopotów.

Któż by zdołał oddać okropność i grozę arktycznej burzy, gdy budzą się pierwotne siły natury dając żeglarzom próbkę tego, czym były niegdyś kataklizmy epoki lodowcowej? Zapadały głębokie ciemności, choć była dopiero piąta po południu w krajach, gdzie dzień i noc różnią się od siebie. Ponieważ musiano zatrzymać maszynę parową, nie można było zapalić reflektora. Gwizdy huraganu, pomruk grzmotów i ogłuszający zgiełk zderzającej się i zwalającej jedna na drugą kry mieszały się w ciemnościach z trzaskami pękającego i rozpadającego się pasa lodu. Powstawaniu każdej szczeliny towarzyszył huk, odcinający się od ciągłego basu burzy jak armatni strzał okrętu w niebezpieczeństwie. Częstotliwość łoskotów wskazywała na niezliczoną ilość szczelin.

Już wkrótce „Alaska” odczuła na własnej skórze następstwa tego zjawiska. Małą przystań, w której się schroniła, podobnie jak każdy najmniejszy zakątek zatoki, wypełniła dryfująca kra. Utworzony wokół kadłuba statku tłok lodowy, spojony ciągle padającym śniegiem, osaczył go i ścisnął jak w imadle. Teraz i „Alaska” zaczęła trzeszczeć pod naporem kry. Jej wręgi skrzypiały unisono z lodem, w który była wrośnięta. W każdej chwili mogło dojść do pęknięcia kadłuba, co niechybnie już by nastąpiło, gdyby nie został specjalnie wzmocniony.

Erik postanowił, że nie podda się bez walki, i zaraz zatrudnił całą załogę przy ustawianiu wokół statku pionowej osłony z ciężkich belek, która miała złagodzić — na ile to było możliwe — nacisk lodu, rozkładając go na większą powierzchnię. Uzyskana w ten sposób bezpośrednia ochrona kadłuba już wkrótce spowodowała nowe nie przewidziane zagrożenie, mogące przynieść fatalne skutki.

Wprawdzie nie groziło już statkowi zmiżdżenie, ale teraz przy każdym ruchu ławicy lodu unosił się nad powierzchnię wody i opadał na lód z siłą mechanicznego młota. W każdej chwili w jednym z tych przerażających upadków mógł rozbić się na kawałki, pójść na dno, zniknąć na zawsze. Był tylko jeden sposób zażegnania niebezpieczeństwa. Należało wzmocnić jeszcze i wzmacniać nieustannie barierę z kry i śniegu, ochraniającą jako tako kadłub, ażeby wtopił się w jednolitą masę lodu i wykonywał wraz z nią wszelkie ruchy.

Wszyscy z zapalem przystąpili do pracy. Zaczęła się dramatyczna walka garstki ludzi przeciwstawiających siłę swych wątłych mięśni siłom przyrody, usiłujących za pomocą kotwic, lin, desek łątać pospiesznie powstające w lodzie szczeliny i wypełniać szwy śniegiem po to tylko, by jedno tchnienie polarnego oceanu rozerwało je na nowo. Po

czterech czy pięciu godzinach nadludzkiego trudu wszyscy byli u kresu sił, a zagrożenie wciąż wzrastało, burza bowiem wzmagała się jeszcze.

Erik przeprowadził naradę z oficerami i zdecydował się umieścić w bezpiecznym miejscu na lodzie skład żywności i amunicji na wypadek, gdyby „Alaska” nie wytrzymała tych straszliwych uderzeń. Zresztą od pierwszej chwili każdy człowiek otrzymał osobistą rację żywności na tydzień z dokładnymi instrukcjami na wypadek katastrofy, a także rozkaz zachowania, nawet podczas pracy, strzelby przewieszanej przez ramię. Operacja przeładunku dwudziestu beczek nie należała do najłatwiejszych, ale w końcu uporano się z tym i skład żywności został umieszczony około dwustu metrów od statku, pod smołowaną płachtą, którą śnieg przykrył wkrótce grubym białym płaszczem.

Ów środek ostrożności, zabezpieczający przed bezpośrednimi następstwami ewentualnego zatonięcia statku, uspokoił nieco ludzi i mogli zasiąść do stołu, by podreperować nadwątlone siły dodatkową kolacją, zakrapianą herbatą z rumem.

Nagle, w samym środku biesiady, silniejszy niż poprzednie wstrząs poruszył ławicą. Ogromne ciśnienie złamało lodowo-śnieżne łożo, na którym spoczywała „Alaska”. Ściśnięta za rufę, podniosła się skrzypiąc potwornie i zanurzyła dziób w otchłani, jakby zaraz miała się w nią zapaść. Wybuchła panika. Wszyscy rzucili się na pokład. Kilku ludzi uznało, że nadeszła chwila, by szukać schronienia na lodzie i nie czekając na sygnał dowódców, wyskoczyło za burtę.

Czterem czy pięciu nieszczęśnikom udało się zeskoczyć na śnieg. Dwaj inni dostali się między masę otaczających statek lodów, a poszycie sterburty dokładnie w chwili, gdy „Alaska”, wracając do równowagi, podnosiła się ze skrzypieniem.

Krzyki bólu i odgłos miażdżonych kości zginęły w wyciu huraganu.

Wiatr na chwilę ustał i statek znieruchomiał. To była tragiczna lekcja. Erik posłużył się nią, by zalecić załodze zachowanie zimnej krwi i czekanie na konkretne rozkazy, bez względu na okoliczności.

— Zrozumcie — rzekł swym towarzyszom — opuszczenie statku jest środkiem ostatecznym, do którego możemy się uciec jedynie w sytuacji przymusowej. Wszystkie nasze wysiłki powinny zmierzać do ocalenia „Alaski”! Jeśli jej zabraknie, nasza sytuacja na ławicy lodu stanie się niesłychanie trudna. Jedynie w wypadku, gdy nie będziemy w stanie utrzymać statku, trzeba się będzie ewakuować. Najistotniejszą w każdym razie sprawą jest, żeby takie działanie przebiegało zgodnie z ustalonym porządkiem, inaczej zamieni się w nieszczęście! Liczę na was!... A teraz wróćcie do przerwanej kolacji i pozostawcie waszym oficerom decydowanie o tym, co należy robić!

Ta stanowcza wypowiedź podniosła na duchu najbardziej bojaźliwych i wszyscy zeszedli z powrotem na międzypokład.

Wówczas Erik zawołał Herseboma, kazał mu zabrać Klaasa i pójść po cichu za nim.

— Zejdziemy na lód — podjął półgłosem — i sprowadzimy uciekinierów. Niech

wracają do swych obowiązków! Lepsze to niż zostawić ich własnemu losowi.

Biedaczyska tkwili wciąż na skraju lodu, zawstydzeni swym postępkami. Na pierwsze wezwanie ruszyli w stronę „Alaski”.

Upewniwszy się, że wrócili na statek, Erik i maaster Hersebom poszli aż do składu żywności, gdzie — jak przypuszczali — któryś z marynarzy mógł szukać schronienia. Obeszli go, lecz nie spotkali nikogo.

— Od jakiegoś czasu zastanawiam się — rzekł wówczas Erik — czy nie należałoby, aby zapobiec nowej panice, przystąpić zaraz do wysadzania na lód części załogi?

— Tak by może było lepiej — odpowiedział rybak — lecz istnieje obawa, czy nie wzbudzi to zazdrości i niechęci tych, co pozostaną na pokładzie, których ten nowy środek ostrożności na pewno zaniepokoi.

— To prawda — odrzekł Erik. — Rozsądniej będzie aż do ostatniej chwili zająć ich wszystkich walką z żywiołem, i jest to w sumie jedyna szansa na uratowanie statku... Ale skoro już zesliśmy na lód, może skorzystalibyśmy z tego i zobaczyli, jak się on sprawuje? Wyznam, że te wszystkie trzaski i huki każą mi wątpić w jego solidność!

Erik i jego przybrany ojciec nie uszli jeszcze trzystu kroków na północ od składu żywności, gdy zniecka zatrzymała ich gigantyczna szczelina ziejąca u ich stóp. Do jej przebycia byłyby potrzebne długie tyczki, a oni zapomnieli się w nie zaopatrzyć. Toteż postanowili podążyć jej skrajem, zbacając na zachód, by zobaczyć, jak daleko się ciągnie.

Odkryli wówczas, że owa szczelina, a raczej rozpadlina, sięga w tym kierunku bardzo daleko — tak daleko, że po ponad półgodzinnym marszu jeszcze nie widzieli jej końca. Upewniwszy się w ten sposób co do rozciągłości pasa lodu, na którym znalazł się skład żywności, zawrócili.

Kiedy byli mniej więcej w połowie drogi do składu, ławica ponownie zadrżała, po czym rozległy się huki, trzaski i ogłuszający hałas zderzających się brył lodu. Nie zaniepokoiło ich to zbyt, ale przyspieszyli kroku, chcąc jak najszybciej zobaczyć, czy nowy wstrząs nie miał dla „Alaski” jakichś przykrych konsekwencji.

Wkrótce dotarli do składu żywności, a następnie do przystani, w której schronił się statek.

Tu przetarli ze zdumienia oczy, myśląc, iż śnią: „Alaska” zniknęła!...

W pierwszej chwili pomyśleli, że zatoneła, co było dość zrozumiałe po wypadkach tego wieczora.

Lecz prawie zaraz uderzył ich brak jakichkolwiek szczątków, a także całkiem nowy wygląd, jaki przybrała przystań podczas ich nieobecności. Nie było już obramowania z nagromadzonej tu w kilka godzin przez burzę kry, w którą wrosła „Alaska”. Przeciwnie, brzeg był wyraźnie zarysowany, jakby zwarty lodowy pas uwolnił się wreszcie od wszystkich kawałków tej przypadkowej otoczki i stał się od niej niezależny.

Niemal w tym samym momencie maaster Hersebom stwierdził coś, co uszło jego uwagi, gdy przymierzał ów pas, a co uderzyło go teraz, kiedy znalazł się w punkcie wyjścia — wiatr zmienił kierunek i wiał z zachodu.

Czy było możliwe, by burza, zmieniając kierunek, po prostu przepędziła w głąb zatoki pływające lody, wśród których tkwiła „Alaska”?

Tak, oczywiście, to było możliwe. Pozostawało sprawdzić, czy tak stało się naprawdę.

Erik nie zwlekając udał się w tamtym kierunku, a za nim podążył maaster Hersebom.

Szli długo; przebyli jakieś pięć, sześć kilometrów. Wszędzie skraj lodu był wolny od kry. Wściekłe fale rozbijały się o niego jak o skałę, ale ciągle nie było widać końca zatoki i co dziwniejsze, zniknął cypel, który ją zamykał od południa.

Wreszcie Erik zatrzymał się. Tym razem zrozumiał. Ujął rękę Herseboma i ścisnął ją w swoich dłoniach.

— Ojczy — rzekł poważnym tonem — należysz do ludzi, którym można powiedzieć całą prawdę... A prawda jest taka, że lodowy pas złamał się, oddzielił od masy, która więzi „Alaskę”, i znaleźliśmy się na lodowej wyspie, mającej parę kilometrów długości i kilkaset metrów szerokości, unoszonej na wodzie, zdanej na łaskę burzy!

XIX. Na lodowej wyspie

Około drugiej nad ranem upadający ze zmęczenia Erik i maaster Hersebom wsunęli się pod płachtę składu żywności, by tam wyciągnąć się obok siebie między dwiema beczkami. Przytuleni do ciepłej sierści Klaasa, szybko usnęli. Kiedy się zbudzili, słońce wzeszło już wysoko nad horyzont, niebo znów stało się niebieskie, a morze — spokojne. Olbrzymia kra, na której płynęli, zdawała się tkwić nieruchomo, tak dalece jej ruch był łagodny i regularny. Lecz po obu jej stronach przesuwwały się z oszałamiającą prędkością ogromne góry lodowe, goniąc się, zderzając, a czasem rozbijając jedna o drugą. Niemniej krajobraz stworzony przez te gigantyczne kryształy, odbijające lub rozszczepiające jak pryzmat promienie słoneczne, był jednym z najcudowniejszych, jakie Erik kiedykolwiek podziwiał. Nawet maaster Hersebom, niezbyt czuły w ogóle na piękno arktycznej przyrody, a cóż dopiero w sytuacji, w jakiej się znalazł, uległ ich urokowi.

— Byłby to niezły widok z pokładu dobrego statku — westchnął.

— E, tam! — odpowiedział mu Erik, jak zwykle nie tracąc dobrego humoru. — Na pokładzie statku trzeba by myśleć wyłącznie o tym, jak uniknąć tych wszystkich lodowych kolosów i nie dać się rozbić na kawałki! Tymczasem tu, na tej lodowej wyspie, nie musimy się tym kłopotać.

Naturalnie, był to nader optymistyczny punkt, widzenia. Maaster Hersebom tylko uśmiechnął się smutno. Ale Erik był zdecydowany brać rzeczy od ich dobrej strony.

— Czy to nie nadzwyczajne szczęście, że mamy skład żywności? — podjął. — Nasz przypadek byłby prawdziwie beznadziejny dopiero wtedy, gdybyśmy zostali wszystkiego pozbawieni. Ale mając dwadzieścia beczek sucharów, wędzonego mięsa i brandewinu, a na dodatek strzelby i pasy z nabojami, czegoż mielibyśmy się obawiać? Że w najgorszym wypadku przez kilka tygodni nie ujrzymy ziemi, do której moglibyśmy przybić?... Zobaczysz, drogi ojcze, że wyjdziemy cało z tej opresji, jak niegdyś rozbitkowie z „Hansy”!

— Z „Hansy”? — zainteresował się maaster Hersebom.

— Tak, ze statku, który wypłynął w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym

na morza arktyczne. Część jego załogi znalazła się, podobnie jak my, na lodowej tratwie, na którą właśnie przenosiła żywność i węgiel. Dzielni ludzie musieli się przystosować do życia na pływającej płycie lodu, gdzie spędzili sześć i pół miesiąca, przemierzając wraz z nią odległość kilku tysięcy mil, zanim wreszcie przybili do arktycznych ziem Ameryki Północnej.

— Obyśmy i my mieli tyle szczęścia! — westchnął maaster Hersebom. — A na razie myślę, że nie zaszkodziłoby coś zjeść.

— Jestem tego samego zdania — odparł Erik. — Suchar i plaster wędzonej wołowiny będą mile widziane!

Maaster Hersebom odbił dna dwóch beczek i wydobył z nich składniki obiadu. Czubkiem noża wywiercił w beczułce brandevinu otwór, który zatkał zaraz drewnianym szpuntek wycietym z obręczy antałka, by móc utaczać z niej do woli. Następnie obaj zabrali się do pałaszowania posiłku.

— Czy lodowa tratwa załogi „Hansy” była równie duża jak nasza? — zapytał stary rybak po dziesięciu minutach starannego regenerowania sił.

— Nie sądzę! Nasza musi mieć co najmniej dziesięć, dwanaście kilometrów długości, tratwa „Hansy” zaś miała zaledwie dwa. Co więcej, po sześciu miesiącach służenia zmniejszyła się do tego stopnia, że nieszczęśni rozbitkowie musieli opuścić ją, gdyż fale zalewały ich schronienie. Na szczęście mieli dużą łódź, która umożliwiła im wyprowadzkę, kiedy kra nie nadawała się już do zamieszkiwania. Popłynęli na poszukiwanie innej i tak przenosili się kilka razy z jednej kry na drugą jak białe niedźwiedzie, aż wreszcie udało im się odnaleźć stały ląd.

— Ano, właśnie! — rzekł maaster Hersebom. — Oni mieli łódź, a my nie mamy!... Chyba że wsiądziemy do pustej beczki, bo nie bardzo widzę, jak inaczej moglibyśmy opuścić naszą tratwę!

— Zobaczymy, gdy przyjdzie na to czas — odparł Erik. — Na razie najlepsze, co możemy zrobić, to przejść do generalnego przeglądu naszej posiadłości!

Najpierw wspięli się na coś w rodzaju kopca utworzonego z brył lodu i śniegu — na tak zwany tłoczeń lodowy, bo taka jest jego fachowa nazwa — by wyrobić sobie ogólne pojęcie o krze. Miała ona kształt wydłużonej tratwy lub może raczej wyspy, długiej na dwanaście do piętnastu kilometrów, przypominającej w swych zarysach olbrzymiego wieloryba wyciągniętego na powierzchni oceanu. Skład żywności znajdował się mniej więcej na linii wyznaczającej jedną trzecią, czyli głowę wieloryba. W sumie jednak trudno było ocenić rzeczywistą wielkość kry i jej prawdziwy kształt, albowiem duża liczba kopców urozmaicających powierzchnię przesłaniała widok. Miejsce, w którym istniejąca jeszcze poprzedniego dnia zatoka najgłębiej wcinała się w lód, było teraz najbardziej oddalonym krańcem lodowej płyty. Erik i maaster Hersebom postanowili udać się najpierw w tym kierunku. Z pozycji słońca wywnioskowali, na ile to było możliwe, że ta

część kry, która ciągnęła się ku zachodowi przed oddzieleniem się od masy lodowej, stanowiącej z nią całość, obróciła się teraz ku północy. Mieli więc podstawę przypuszczać, że tratwa płynęła na południe niesiona prądem lub wiatrem, a to, że nie zauważyli już ani śladu długiej bariery lodowej, biegnącej ze wschodu na zachód w okolicach 78 równoleżnika, potwierdzało w pełni tę hipotezę.

Całą powierzchnię kry przykrywał śnieg, na którym widniały z rzadka czarne cętki. Maaster Hersebom zidentyfikował je bez trudu — były to duże, wąsate morsy, zamieszkujące prawdopodobnie szczeliny i lodowe pieczary, a teraz, pewne, iż nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, wygrzewające się na słońcu. Dojście do końca tratwy zabrało im ponad godzinę. Prawie cały czas posuwali się wzdłuż jej wschodniego brzegu, co pozwalało im na jednoczesną obserwację morza i lodu. Biegący przodem Klaas co chwila zmuszał do ucieczki jakiegoś dostrzeżonego z daleka morsa. Czołgały się niezgrabnie do brzegu, by rzucić się do wody. Zabicie ich, nawet w dużej ilości, przysłoby im bez najmniejszego trudu. Tylko po co, skoro i tak nie mogli nawet marzyć o rozpaleniu ogniska, by usmażyć lub upiec skądinąd bardzo delikatne mięso tych biednych stworzeń? Erik miał inne zajęcie: przyglądał się uważnie powierzchni kry i stwierdził, iż nie jest monolitem. Liczne szczeliny i rysy, biegnące niekiedy przez całą jej szerokość stwarzały obawę, że przy najbliższym uderzeniu podzieli się ona na kilka kawałków. Jakkolwiek każdy z tych kawałków byłby jeszcze pokaźnej wielkości, jednak sama możliwość takiego wypadku nakazywała trzymać się jak najbliżej składu żywności, by nie narażać się na niespodziewane oddzielenie od niego. Choć szczeliny przykrywała gruba warstwa śniegu, który spadł poprzedniego dnia i topiąc się, zaczynał już, jeśli nie zasklepiać, to przynajmniej zatykać je, Erik postanowił starannie wyszukać spośród wyznaczonych w ten sposób działek najsolidniejszą i najbardziej wytrzymałą, żeby uczynić zeń kwaterę główną, przenosząc na nią skład żywności.

Pod tym kątem podjął wraz z Hersebomem badanie zachodniej strony lodowej płyty, odpocząwszy przedtem kilka minut na jej północnym krańcu. Szli teraz wzdłuż tego brzegu, co jeszcze tak niedawno był wybrzeżem zatoki, w którą dał się zapędzić amerykański jacht. Klaas biegł przodem, ożywiony mroźnym powietrzem, i zdawał się być w swoim żywiole na śnieżnym dywanie przypominającym mu zapewne równiny Grenlandii.

Nagle zaczął węszyć, po czym pognał jak strzała i zatrzymał się szcękając obok czegoś, co kryło się za lodowym kopcem.

— Jeszcze jeden mors lub foka — pomyślał Erik i nie przyspieszył kroku.

To, co spoczywało na skraju lodu i powodowało poruszenie Klaasa, nie było ani morsem, ani foką, lecz człowiekiem — nieruchomo leżącym, skrwawionym mężczyzną, którego ubiór ze zwierzęcej skóry nie należał z pewnością do marynarza z „Alaski”. Przez głowę Erika przemknęło wspomnienie o zimowaniu „Vegi”. Podniósł głowę

mężczyzny... Była pokryta gęstą rudą czupryną, a twarz odznaczała się spłaszczonym jak u Murzyna nosem.

Erik zastanawiał się, czy nie uległ złudzeniu. Rozpiął kamizelkę mężczyzny i obnażył jego tors. Może nie tyle po to, by sprawdzić, czy serce bije, ile by poszukać nazwiska...

I znalazł! Wytatuowane na niebiesko, w niezgrabnie zarysowanej ramce: „Patrick O’Donoghane, „Cynthia”.

A serce biło!... Mężczyzna żył!... Miał tylko szeroką ranę na głowie, drugą na ramieniu i stłuczoną klatkę piersiową, co musiało utrudniać oddychanie.

— Trzeba go przenieść do naszego schronienia, opatrzyć i ocucić — rzekł Erik do Herseboma.

I dodał po cichu, jakby się bał, że ktoś go może usłyszeć:

— To on, ojciec, ten, którego od tak dawna bezskutecznie poszukiwaliśmy. To Patrick O’Donoghane!... Otóż i on, bliski śmierci!

Myśl, że tajemnica jego życia była tu, pod tą masywną, skrwawioną czaszką, na której śmierć jak gdyby już odcisnęła swoje piętno, zapalała w oczach Erika mroczny ogień. Jego przybrany ojciec odgadł, co się w nim dzieje, i nie mógł się powstrzymać od wzruszenia ramionami, jakby chciał powiedzieć:

— Też mi postę! Nawet jeśli będziemy mogli się teraz wszystkiego dowiedzieć, jakie znaczenie mogą mieć w naszej sytuacji choćby wszystkie sekrety świata?

Wziął jednak ciało za nogi, gdy Erik schwycił je pod ramiona, i obarczeni tym ciężarem, ponownie ruszyli w drogę.

Pod wpływem ruchu ranny otworzył oczy. Wkrótce ból, jaki mu sprawiały rany, stał się tak dotkliwy, że zaczął wydawać niezrozumiałe jęki, wśród których zdawało się dominować angielskie słowo „drink” — pić! Byli jeszcze daleko od składu żywności, więc Erik zatrzymał się, położył nieszczęśnika na śniegowym łożu, oparł o lodowy kopiec i przyłożył mu do ust swój bukłak.

Był prawie pusty, ale łyk wódki wystarczył, by w Patricka O’Donoghana na nowo wstąpiło życie. Rozejrzał się wokoło, westchnął i zapytał:

— Gdzie Jones?...

— Znaleźliśmy tylko pana na skraju lodu — rzekł mu Erik. — Dawno pan tu leży?

— Nie wiem — odparł ranny z wysiłkiem. — Jeszcze pić — dorzucił, utkwivszy swój wzrok w oczach Erika.

Pociągnął drugi łyk wódki i nabrał sił do mówienia.

— Kiedy rozpętała się burza, jacht poszedł na dno. Niektórzy zdążyli wskoczyć do szalup, inni zginęli. Zaraz na początku pan Jones dał mi znak, żebym poszedł z nim do malegu kajaka ratunkowego zawieszzonego na rufie, którym wszyscy wzgardzili ze względu na jego nieduże rozmiary, a który okazał się niezatapialny!... On jeden dotarł do lodu... Wszystkie szalupy wywróciły się, zanim do niego przybiły!... Potłukliśmy się

strasznie, kiedy fale rzuciły na krę nasz kajak, ale w końcu udało nam się wyczołgać poza ich zasięg i doczekać dnia!... Dziś rano pan Jones zostawił mnie i poszedł zaplować na fokę albo jakiegoś morskiego ptaka, żebyśmy mieli co jeść. Więcej go nie widziałem...

— Ten pan Jones jest jednym z oficerów „Albatrosa”? — zapytał Erik.

— To właściciel i kapitan — odrzekł O'Donoghnan z nutą zaskoczenia w głosie.

— Więc właścicielem nie jest Tudor Brown?

— Ja... ja nie wiem — rzekł z wahaniem ranny, jakby zastanawiał się, czy nie powiedział za wiele.

Erik nie nalegał. O tyle innych rzeczy chciał go zapytać!

— No cóż — rzekł do Irlandczyka, siadając przy nim na śniegu. — Kiedyś odmówił pan przyścia na mój pokład, żeby porozmawiać ze mną, i ta odmowa sprowadziła już wiele nieszczęść! Ale teraz, skoro jesteśmy tu razem, skorzystajmy z tego i pomówmy jak ludzie rozsądni! Oto znalazł się pan na pływającej krze, ranny, bez żywności, niezdolny bez czyjejś pomocy uniknąć najokrutniejszej śmierci!... Mój przybrany ojciec i ja mamy to, czego panu brakuje: żywność, broń, brandevin! Jesteśmy gotowi zaopiekować się panem, dzielić się tym wszystkim, postawić pana na nogi!... Czy w zamian za opiekę nie należy nam się odrobina zaufania?

Irlandczyk spojrział niezdecydowanie na Erika, a w jego wzroku wdzięczność mieszała się z nieokreśloną, niezrozumiałą obawą.

— To zależy, jakiego rodzaju zaufania pan oczekuje — odparł wymijająco.

— Och, pan dobrze wie! — odpowiedział Erik usiłując się uśmiechnąć i ujmując dłonie rannego. — Powiedziałem panu wtedy; wie pan, czego muszę się dowiedzieć, wie pan, po co przybyłem na te odległe morza!... Dalejże, Patricku O'Donoghnan, odrobina wysiłku! Wyjaw mi sekret, który ma dla mnie tak ogromne znaczenie: powiedz mi, co wiesz o dziecku na kole!... Udziel mi choć jednej wskazówki, która pozwoliłaby mi odnaleźć moją rodzinę!... Czego możesz się obawiać? Co ryzykujesz, spełniając moją prośbę?...

O'Donoghnan nie odpowiadał i zdawał się ważyć w swym ciasnym umyśle przedstawione mu przez Erika argumenty.

— No ale — wykrztusił w końcu — jak już wyjdziemy z tego cała i dotrzemy do jakiegoś kraju, gdzie będą sędziowie, pan może spowodować, że zrobią mi krzywdę!

— Ależ nie, przysięgam panu!... Przysięgam na wszystkie świętości! — wykrzyknął z zapalem Erik. — Jakiegokolwiek krzywdy wyrządził pan mnie lub innym, gwarantuję, że nie wynikną z tego dla pana żadne przykre konsekwencje!... Zresztą jest coś, czego pan zdaje się nie wiedzieć, a mianowicie że wszystko uległo już przedawnieniu! Oznacza to, że cokolwiek wtedy zaszło, ludzka sprawiedliwość nie może już pociągnąć pana do odpowiedzialności, ponieważ od tamtego czasu minęło ponad dwadzieścia lat!

— Naprawdę? — zapytał Patrick z resztką nieufności. — Jednak pan Jones powiedział mi, że „Alaskę” wysłała policja, a i pan sam mówił coś o trybunałach...

— To odnosiło się do całkiem świeżych faktów, do pewnego wypadku, jaki nam się przytrafił na początku naszej podróży. Może pan być pewien, że ten Jones zakpił sobie z pana! Musi mieć jakiś interes w tym, aby pan milczał!

— A pewnie, że ma! — rzekł Irlandczyk z przekonaniem.

— Niech mi pan powie, jak pan odkrył, że ja znam sekret? — podjął, spoglądając na Erika.

— Dowiedziałem się od Bowlesów z oberży „Pod Czerwoną Kotwicą” w Brooklynie. Nieraz słyszeli, jak pan mówił o dziecku na kole.

— To prawda! — rzekł Irlandczyk, a pomyślawszy jeszcze chwilę, dodał:

— Więc na pewno nie jest pan nasłany przez policję?

— Ależ nie! Co za absurdalny pomysł!... Przybyłem tu z własnej woli, wiedziony żarliwą chęcią poznania prawdy, pragnąc dowiedzieć się, gdzie jest moja ojczyzna, kim są moi rodzice, i to wszystko!

O'Donoghnan uśmiechnął się pyszałkowato.

— A więc tego chce się pan dowiedzieć? — rzekł. — No cóż, to prawda, ja mogę to panu powiedzieć!... Tak, to prawda, ja to wiem!

— No to niech mi pan powie, O'Donoghnan, niechże mi pan to powie! — wykrzyknął Erik widząc, że tamten się łamie. — Niech pan powie, a ja obiecuję panu wybaczenie wszelkich krzywd, jeśli je pan wyrządził, i wdzięczność, jeśli będzie mi dane ją panu okazać!

Irlandczyk rzucił pożądliwie okiem na bukłak.

— Takie długie gadanie strasznie wysusza gardło — rzekł matowym głosem. — Napiłbym się trochę wódki, jeśli pan łaskaw...

— Tu już nie mam, ale poślę po nią dla pana do składu żywności! Mamy dwie pękaty beczułki — odparł Erik i podał bukłak Hersebomowi.

Ten zaraz się oddalił, zabierając Klaasa.

— To nie potrwa długo podjął młodzieniec zwracając się ku rannemu. — A teraz niech mi pan nie odmawia swojego zaufania!... Niech choć na chwilę wejdzie pan w moje położenie! Proszę sobie wyobrazić, że przez całe życie nie znał pan imienia swej ojczyzny, swej matki, że znalazł się pan twarzą w twarz z człowiekiem, który to wszystko wie i że ten człowiek odmawia tak cennej dla pana informacji właśnie w chwili, gdy go pan uratował i przywrócił do życia!... To by było okrutne, prawda?... To by było nie do zniesienia!... Nie wymagam od pana rzeczy niemożliwych! Nie żądam, aby się pan oskarżał, jeśli ma pan sobie coś do zarzucenia!... Chcę tylko wskazówki, choćby najdrobniejszej! Niech mnie pan naprowadzi na ślad, to wszystko, czego mi trzeba!...

— Słowo daję, już chyba zrobię panu tę przyjemność! — rzekł Patrick wyraźnie po-

ruszony. — No więc, byłem majtkiem na pokładzie „Cynthii”...

Nagle przerwał.

Erik zawisnął wzrokiem na jego ustach... Czy wreszcie osiągnął cel? Czy pozna zaraz rozwiązanie zagadki? Nazwisko swej rodziny? Imię ojczyzny? Tym razem nadzieja nie wydawała się już złudna... Wsłuchany w słowa rannego, utkwił w nim wzrok, gotów chłonąć wszystko, czego miał się dowiedzieć. Za nic w świecie nie zakłóciłby tej opowieści, nie przerwał jej słowem czy gestem. Nawet nie zauważył, że wyrósł za nim jakiś cień, a to on właśnie przerwał opowiadanie Patricka.

— Pan Jones! — rzekł O'Donoghane tonem uczniaka przyłapanego na gorącym uczynku.

Erik odwrócił się i zobaczył Tudora Browna stojącego przy sąsiednim kopcu, który go dotąd zasłaniał. Słowa Irlandczyka potwierdziły podejrzenie, jakie przed chwilą przemknęło mu przez myśl: panowie Jones i Brown byli jedną i tą samą osobą!

Ledwie zdążył sformułować w myśli to stwierdzenie, gdy dwa strzały, które rozległy się jeden po drugim z trzema sekundami przerwy, położyły trupem dwie osoby.

Tudor Brown, przyłożywszy strzelbę do ramienia, strzelił w serce Patricka O'Donoghane, który osunął się martwy.

Zanim zabójca zdążył opuścić broń, dostał kulę w czoło i upadł na twarz.

— Jak to dobrze, że zawróciłem, zobaczywszy na śniegu podejrzone ślady kroków!
— rzekł maaster Hersebom, zjawiając się z dymiącą strzelbą w rękę.

XX. Koniec dalekiej podróży

Erik krzyknął i rzucił się na kolana obok Patricka O'Donoghana, szukając ostatniego tchnienia życia, isierki nadziei! Niestety, tym razem Irlandczyk odszedł na zawsze, zabierając ze sobą swój sekret.

Natomiast Tudor Brown, w ostatniej konwulsji, wypuścił z dłoni broń, którą ścisnął jeszcze w momencie upadku, i wyzionął ducha nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

— Ojcie, coś ty zrobił! — wykrzyknął z goryczą Erik.- Dlaczego zniweczyłeś ostatnią szansę poznania tajemnicy mojego życia?... Czy nie lepiej było rzucić się na tego człowieka i uczynić go naszym więźniem?!

— A myślisz, że dałby nam na to czas? — odpowiedział maaster Hersebom. — Jego drugi strzał był przeznaczony dla ciebie, możesz być pewien!... Pomściłem zabójstwo tego nieszczęśnika, wymierzyłem karę za zbrodnię na Basse-Froide i być może za inne jeszcze zbrodnie!... Cokolwiek się stanie, nie żałuję tego! Jakże zresztą w naszej sytuacji ma znaczenie tajemnica twego życia?... Pewnie już wkrótce zapytamy o nią samego Pana Boga!

Ledwie wymówił te słowa, rozległ się strzał z działa, odbity echem przez góry i ławice lodowe, jakby w odpowiedzi na słowa zwątpienia starego rybaka. Ale była to raczej odpowiedź na dwa strzały, które padły przed chwilą na lodowej tratwie.

— Działo „Alaski”!... Jesteśmy uratowani! — wykrzyknął Erik podnosząc się z kłęczek, by wskoczyć na najbliższy lodowy kopiec i rozejrzeć się po bezkresnym morzu.

Początkowo nie dojrzał niczego prócz pchanych wiatrem i kołyszących się w słońcu gór lodowych. Kiedy jednak maaster Hersebom ponownie nabił strzelbę i wystrzelił w powietrze, natychmiast odpowiedział mu kolejny strzał z działa.

Tym razem Erik zauważył wyraźną smużkę czarnego dymu odcinającą się od błękitnego tła nieba na zachodzie. Strzały działa i strzelby odpowiadały sobie odtąd z kilkuminutowymi przerwami i wkrótce „Alaska” wyłoniła się zza lodowej góry, mknąc pełną parą ku północnemu brzegowi kry.

Erik i maaster Hersebom padli sobie w ramiona, płacząc z radości. Machali chusteczkami, podrzucali w górę czapki, usiłując wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę przyjaciół.

Wreszcie „Alaska” zatrzymała się. Łódź wielorybnicza oderwała się od jej burty i nie minęło dwadzieścia minut, jak przybiła do kry.

Nie da się wyrazić szalonej radości doktora Schwaryencrony, Malariusza, Bredejorda i Ottona z odnalezienia całych i zdrowych tych, których mieli już za utraconych na zawsze.

Opowiedzieli sobie wszystko: o przerażeniu i rozpaczycy nocy, o próżnych nawoływaniach, o bezsilnej złości. Rankiem za pomocą miny „Alaska” ostatecznie uwolniła się od lodów. Bosewitz, jako drugi oficer, przejął dowództwo i ruszyli zaraz na poszukiwanie pływającej lodowej płyty z wiatrem, który ją porwał. Ta żegluga wśród dryfujących brył lodu była najniebezpieczniejszą z dotychczasowych. Jednak dzięki doskonałym nawykom zaszczeponym załodze przez młodego kapitana, dzięki nabytemu doświadczeniu, precyzji manewrów, udało im się przejść bez szwanku między tymi wędrującymi masami. Sprzyjającą okolicznością było też i to, że „Alaska” płynęła w tym samym kierunku co lody z większą od nich prędkością. Szczęśliwym trafem pogoń nie okazała się daremna. O dziewiątej rano zauważyli po zawietrznej wielką krę, a z wysokości bocianiego gniazda można było nawet rozróżnić jej kształt. Wkrótce dwa strzały obudziły nadzieję, że obaj rozbitkowie nadal na niej przebywają.

Odtąd reszta była mało ważna. Popłyną prosto na Atlantyk i wszystkie diabelskie moce musiałyby się sprzysiąc, żeby tam nie dotarli — oczywiście pod żaglami, nie mieli już bowiem węgla.

— Nie, nie pod żaglami! — rzekł Erik. — Mam dwa inne pomysły. Pierwszy, to dać się holować krze tak długo, dopóki będzie podążała na południe lub zachód. To nam oszczędzi ustawicznej walki z górami lodowymi, których rozpędzeniem zajmie się nasza tratwa. Drugi, to zebrać na niej paliwo konieczne do zakończenia naszej podróży, kiedy znów staniemy się samodzielni.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że lód kryje w sobie kopalnię węgla? — spytał śmiejąc się doktor.

— Niezupełnie kopalnię węgla — odparł Erik — ale coś, co wychodzi prawie na to samo: kopalnię „węgla” zwierzęcego pod postacią tłuszczu morsów. Skoro mamy paleńsko specjalnie przystosowane do tego rodzaju paliwa, chciałbym je wypróbować.

Najpierw jednak oddali ostatnią przysługę dwóm zmarłym, wrzucając ich do wody z pociskiem armatnim u stóp.

Następnie „Alaska” przybiła do brzegu kry w taki sposób, by chroniona przez jej masę, mogła wykonywać te same co ona ruchy. Ułatwiło to przeniesienie z powrotem na pokład wyładowanej uprzednio żywności, której zachowanie było sprawą szczegól-

nej wagi. Po zakończeniu tej operacji statek został przycumowany do północnego krańca lodowej tratwy, gdzie był lepiej chroniony przed górami lodowymi. Erik sprawdził już, że tak holowani płynęli ze średnią prędkością sześciu węzłów, co na razie było całkowicie wystarczające, zważywszy, że nie musieli się już obawiać pływających lodów.

Podczas gdy kra, jak dryfujący kontynent, posuwała się majestatycznie na południe holując satelitę, na jej powierzchni prowadzono regularne polowania na morsy.

Dwa lub trzy razy dziennie uzbrojone w strzelby i harpuny grupy wychodziły na lodową płytę w towarzystwie wszystkich grenlandzkich psów i osaczały śpiące u wylotów jam morskie olbrzymy. Zabijano je strzałem w ucho, ćwiartowano, odkrawano tłuszcz i napełniano nim beczki, które psy ciągnęły na „Alaskę”. Polowanie było tak łatwe i tak owocne, że po ośmiu dniach zasobnie wręcz pękały w szwach.

Holowana przez krę „Alaska” osiągnęła wtedy 40 stopień długości wschodniej na 74 równoleżniku, co oznaczało, że zostawiła za sobą Nową Ziemię, minawszy ją od północy.

Lodowa tratwa zmniejszyła się do połowy, a to, co z niej zostało, było już bliskie rozpadu. Nadchodził moment, gdy wyspa, spękana pod wpływem słońca, pocięta coraz głębszymi szczelinami, przekształci się w dryfujący gruz. Erik, nie czekając, aż to nastąpi, kazał odcumować i ruszyć prosto na zachód.

Tłuszcz morsów z niewielką domieszką węgla, spalany w specjalnie do tego celu przystosowanym palenisku „Alaski”, okazał się doskonałym paliwem. Jego jedyną wadą było zanieczyszczanie komina, który teraz trzeba było czyścić codziennie. Co się zaś tyczy zapachu, to niewątpliwie drażniłby on nozdrza pasażerów z południa, ale dla szwedzko-norweskiej załogi był całkiem drugorzędną niedogodnością.

Tak czy inaczej „Alaska” mogła do ostatniej chwili korzystać z napędu parowego i dzięki temu przebyć szybko, pomimo przeciwnych wiatrów, odległość, jaka dzieliła ją jeszcze od mórz europejskich, i dotrzeć 5 września w okolice Przylądka Północnego w Norwegii. Nie było potrzeby zatrzymywać się w Tromse, pożegłowała więc dalej, opłynęła Półwysep Skandynawski, przeszła ponownie przez cieśninę Skagerrak i wróciła do punktu wyjścia.

W dniu 14 września rzuciła kotwicę na wysokości Sztokholmu, na tych samych wodach, które opuściła 10 lutego poprzedniego roku.

W ten sposób, w siedem miesięcy i cztery dni, dwudziestodwuletni żeglarz dokonał pierwszego opłynięcia bieguna.

Ów wyczyn geograficzny, który w tak krótkim czasie uzupełnił i zweryfikował wielką ekspedycję Nordenskjolda, miał wkrótce nabrać nadzwyczajnego rozgłosu w świecie.

Na razie jednak gazety nie wyjaśniły jeszcze jego wartości. Zaledwie kilku wtajemniczonych było w stanie ją ocenić, natomiast przynajmniej jedna osoba ani myślała jej

uznać. Tą osobą była Kajsa.

Relację z podróży skwitowała uśmiechem wyższości i takim oto komentarzem:

— Trzeba nie mieć zdrowego rozsądku, żeby się dobrowolnie wystawiać na podobne niebezpieczeństwa!

Nie mówiąc już, że przy pierwszej okazji nie omieszkła dorzucić pod adresem Erika:

— W każdym razie teraz, kiedy ów słynny Irlandczyk nie żyje, nareszcie pozbyliśmy się tej nudnej sprawy!

Jakże różnił się ów oschły i oziębły sąd od pełnego serdeczności i czułości listu, jaki Erik otrzymał wkrótce z Nore! Vanda pisała mu o lęku, w jakim obie z matką żyły przez te długie miesiące, o tym, jak duchem były wciąż z podróżnikami, o szalonej radości z ich szczęśliwego powrotu!... A jeśli wyprawa nie przyniosła wszystkich oczekiwanych przez Erika rezultatów, to nie powinien się tym nadmiernie przejmować, bo przecież wie, że choć pozbawiony prawdziwej rodziny, ma w biednej norweskiej wiosce inną, która go kocha i łączy się z nim w myślach. Może by przyjechał niebawem odwiedzić tę rodzinę, co zawsze uważała go za swego i nie chciała się go wyrzec? Może udałoby mu się znaleźć dla niej jeden mały miesiąc? Tego najgoręcej pragnęły jego przybrana matka i siostrzyczka Vanda, przesyłając uściski, i tak dalej.

Na dodatek do środka włożone były trzy śliczne kwiatuszki zerwane na brzegu fiordu — w ich zapachu Erik odnajdywał całe swoje bez troskie i wesołe dzieciństwo. Wpłynęło to niesłychanie kojąco na jego biedne, znękanе serce i osłodziło gorzyc zawodu, jaki odczuwał po ukończeniu wyprawy.

Wkrótce jednak należało ustąpić wobec oczywistej prawdy. Podróż „Alaski” była wydarzeniem, które doniosłością dorównywało podróży „Vegi”. Wszędzie nazwisko Erika łączono ze słynnym nazwiskiem Nordenskjolda. Gazety rozpisywały się już tylko o nowej podróży. Statki wszystkich krajów, zakotwiczone w Sztokholmie, porozumiały się i wywiesiły galę flagową na cześć tego żeglarskiego zwycięstwa. Zaskoczony i zmieszany Erik przyjmowany był wszędzie owacjami, jakimi wita się zwycięzców. Towarzystwa naukowe przybywały w pełnym składzie powitać kapitana i załogę „Alaski”, władze publiczne zaś przyznały im nagrodę państwową.

Hołdy i rozgłos krępowały Erika. Miał bowiem świadomość, że w swym przedsięwzięciu kierował się głównie względami natury osobistej i teraz wyrzucał sobie, że zbiera niezasłużone hołdy, skądinąd mocno — jego zdaniem — przesadzone. Toteż skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, by wyznaczyć szczerze, czego szukał, nie znalazłszy zresztą, na polarnych morzach: sekretu swego pochodzenia, tajemnicy zatonięcia „Cynthii”!

Okazja owa przybrała postać gołowąsa wzrostu siedzącego psa, zwinnego jak wieiórka, zatrudnionego w charakterze reportera w jednej z największych gazet w Sztok-

holmie. Przybył na pokład „Alaski”, by ubiegać się o osobiste widzenie z młodym kapitanem. Celem sprytnego dziennikarza, powiedzmy to sobie od razu, było wyciągnięcie ze swej ofiary paru szczegółów biograficznych na sto wierszy. Nie mógł trafić na obiekt bardziej skłonny do poddania się wiwisekcji. Erik czuł wewnętrzną potrzebę wyznania prawdy i ogłoszenia, że nie zasłużył na to, by go uważać za jakiegoś Krzysztofa Kolumba.

Opowiedział więc wszystko bez wahania, całą swoją historię: jak został znaleziony na morzu przez biednego rybaka z Nore, wykształcony przez pana Malariusza, zabrany do Sztokholmu przez doktora Schwaryencronę; w jaki sposób dowiedzieli się, że Patrick O’Donoghane zna prawdopodobnie rozwiązanie zagadki i że znajduje się na pokładzie „Vegi”; co sprawiło, że popłynęli go tam szukać; jak doszło do zmiany drogi; dlaczego podążyli aż na Wyspy Lachowskie, a potem do przylądka Czeluskin... Erik mówił to wszystko, by się w pewnym sensie usprawiedliwić z tego, że został bohaterem, ponieważ teraz czuł się zażenowany pochwałami, którymi obsypano go za coś, co on uważał za tak naturalne i tak proste.

Tymczasem ołówek reportera, niejakiego Squirreliusa, biegał po papierze ze stenograficzną prędkością. Daty, nazwiska, najdrobniejsze szczegóły — wszystko zostało zapisane. Squirrelius z bijącym sercem mówił sobie, że nie sto, lecz pięćset, sześćset wierszy wyciągnie z tego wyznania. I to jakich wierszy!... Toż to całe opowiadanie, żarliwe, tętniące życiem, spisane na gorąco, wzruszające jak melodramat!

Nazajutrz opowiadanie to wypełniło trzy kolumny najpoczytniejszej gazety Szwecji. I jak to zwykle bywa w takich wypadkach, szczerść Erika nie tylko nie pomniejszyła jego zasług, lecz przeciwnie, uwydatniła je poprzez skromność, której była świadectwem, i romantyczny posmak, jaki wносиła do jego historii. Prasa i publiczność rzuciły się na to łapczywie. Szczegóły biografii Erika, przełożone na wszystkie języki, obieły niebawem całą Europę.

I w taki oto sposób dotarły do Paryża i przeniknęły pewnego wieczoru, pod jeszcze wilgotną banderolą francuskiego dziennika, do pewnego skromnego saloniku przy ulicy Varennes, na drugim piętrze starej kamienicy.

W salonie znajdowały się dwie osoby. Jedną z nich była na czarno ubrana dama o siwych włosach, choć wydawała się jeszcze młoda. Cała jej postać nosiła piętno wielkiej, wieczystej żałoby. Siedząc pod abażurem lampy, haftowała machinalnie, wpatrzona w mrok, jakby w jakieś bolesne wspomnienie nie dające się wymazać z pamięci.

Z drugiej strony stołu wysoki starzec przebiegał roztargnionym wzrokiem gazetę, którą służący właśnie mu przyniósł.

Był to pan Durrien, honorowy konsul generalny i jeden z sekretarzy Towarzystwa Geograficznego — ten sam, który znalazł się w Breście u szefa okręgu morskiego, gdy przebywała tam „Alaska”.

Pewnie dlatego nazwisko Erika szczególnie przyciągnęło jego uwagę, a podczas lektury artykułu biograficznego, poświęconego młodemu żeglarzowi, przeniknął go dreszcz. Począł czytać jeszcze raz, niezwykle uważnie, i stopniowo jego blada twarz bladeła coraz bardziej, a ręce opanowało nerwowe drżenie. Poruszenie czytającego stało się tak widoczne, że nie uszło uwagi jego milczącej towarzyszki.

— Ojczy, czy coś ci dolega? — spytała zaniepokojona.

— Ja... myślę, że pospieszylismy się zbytnio z rozpaleniem ognia!... Pójdę zaczerpnąć powietrza do mojego gabinetu... To nic... taka przejściowa niedyspozycja! — odpowiedział Durrien wstając, by przejść do sąsiedniego pokoju.

Niby niechcący zabrał ze sobą gazetę, którą trzymał w ręku. Gdyby córka mogła czytać w jego myślach, zobaczyłaby, że nad gwałtownym przypływem nadziei i jednocześnie obawy góruje zdecydowana chęć, aby usunąć gazetę z zasięgu jej wzroku.

Przez chwilę chciała pójść za ojcem do jego gabinetu, lecz odgadła, że pragnie być sam, i dyskretnie dostosowała się do tego kaprysu. Zresztą wkrótce słysząc, jak ojciec przemierza wielkimi krokami gabinet, otwiera i zamyka okno, upewniła się, że nic mu nie jest.

Dopiero po godzinie zdecydowała się uchylić drzwi, by zobaczyć, co robi. Durrien siedział za biurkiem i pisał list.

Nie widziała jednak, że pisząc, miał oczy pełne łez.

XXI. List z Paryża

Od czasu powrotu do Sztokholmu Erik otrzymywał niemal każdego dnia obfitą korespondencję ze wszystkich krajów Europy. Pisały do niego towarzystwa naukowe i osoby prywatne przesyłające gratulacje, obce rządy przyznające mu honory i nagrody, armatorzy i kupcy starający się uzyskać jakąś informację mającą zastosowanie w ich interesach. Toteż nie był zbyt zaskoczony, gdy pewnego ranka doręczono mu dwa listy z Paryża.

Pierwszy był zaproszeniem od Francuskiego Towarzystwa Geograficznego, dla niego i jego towarzyszy podróży, na wręczenie wielkiego medalu honorowego, przyznanego na uroczystym posiedzeniu „temu, który pierwszy opłynął biegun po morzach arktycznych”.

Przy łamaniu pieczęci drugiego listu Erika przeniknął dreszcz. Nosiła ona odcisk medalionu z wygrawerowanymi inicjałami E.D., otoczonymi dewizą: *Semper idem...*

Te same inicjały i dewiza znajdowały się w rogu listu, który, jak się okazało, był od pana Durriena. Pisał on:

Moje Drogie Dziecko,

Niech mi wolno będzie tak Pana nazywać, cokolwiek się stanie. Właśnie przeczytałem we francuskiej gazecie przełożoną ze szwedzkiego notę biograficzną, która wstrząsnęła mną bardziej, niż umiałbym wyrazić. Dotyczy ona Pana. Jeśli wierzyć temu, co w niej napisano, został Pan jakoby znaleziony na morzu, 22 lata temu, przez norweskiego rybaka z okolic Bergen, na kole ratunkowym z wypisaną na nim nazwą „*Cynthia*”; Pańska arktyczna podróż miała na celu odnalezienie osoby ocalałej z katastrofy statku o tej nazwie, który zatonął w październiku roku 1858 w pobliżu Wysp Owczych; podobno wrócił Pan ze swej wyprawy nie dowiedziawszy się niczego *na ten temat*.

Jeśli to wszystko prawda — a czegoż bym nie dał, by tak było! — błagam, aby Pan, nie tracąc ani chwili, pobiegł zaraz do telegrafu i powiadomił mnie o tym!

W takim wypadku bowiem, moje dziecko — stąd ma niecierpliwość, niepokój i ra-

dość — w takim wypadku byłby Pan moim wnukiem, opłakiwanym od tylu lat, którego uważałem za bezpowrotnie utraconego, tym, którego moja córka, moja biedna córka ze złamanym przez tragedię „Cynthii” sercem, przyzywa wciąż i o którego upomina się każdego dnia — jej jedynym dzieckiem, jej uśmiechem, pociechą, a potem rozpaczą jej wdowieństwa!...

Odnalezienie Pana, żywego i okrytego chwałą, to szczęście zbyt nadzwyczajne i zbyt wielkie, bym śmiał w nie uwierzyć, zanim znak od Pana mnie do tego upoważni!... A przecież wydaje się to teraz tak prawdopodobne!... Zgadzą się daty i wszystkie szczegóły... Pańska fizjonomia i Pański sposób bycia tak wyraźnie przypominają mi mego nieszczęsnego zięcia! Kiedy jeden, jedyny raz przypadek zbliżył nas do siebie; poczułem, że ciągnie mnie coś do Pana, jakaś nagła, głęboka sympatia!... Wydaje się niemożliwe, by to wszystko było bezpodstawne.

Jedno słowo, zaraz, przez telegraf!... Nie będzie dla mnie życia, póki nie przyjdzie depesza. Oby przyniosła mi odpowiedź, na jaką czekam, której tak gorąco pragnę! Oby zwiastowała mojej biednej córce i mnie szczęście, które zatrze lata żalu i łez!

E. Durrien

Honorowy konsul generalny

104, rue Varennes, Paryż

Do listu dołączone było wyjaśnienie, na które Erik rzucił się zachłannie. Skreślone również ręką Durriena, zawierało co następuje:

Byłem francuskim konsulem w Nowym Orleanie, kiedy moja jedyna córka, Catherine, poślubiła pewnego młodego Francuza, niejakiego *Georges'a Durriena, naszego dalekiego krewnego, podobnie jak my pochodzenia bretońskiego*. Georges Durrien, inżynier górniczy, przybył do Stanów Zjednoczonych, by zbadać niedawno odkryte złoża ropy naftowej i zamierzał pozostać tam przez kilka lat. Przyjąłem go do mego domu, był bowiem człowiekiem wartościowym, noszącym to samo co my nazwisko i synem drogiego mi przyjaciela z czasów młodości. Wkrótce poprosił o rękę mej córki. Zgodziłem się z radością. Krótco po ślubie zostałem nieoczekiwanie powołany na stanowisko konsula w Rydze. Ponieważ mego zięcia trzymały w Stanach poważne interesy, musiałem zostawić tam córkę. Tam też urodziła syna, któremu dano imiona moje i jego ojca. Został nazwany Emile-Henri-Georges.

Sześć miesięcy później zięć zginął w wypadku w kopalni. Natychmiast po uregulowaniu swoich spraw moja biedna córka, wdowa w dwudziestym roku życia, wsiadła w Nowym Jorku na pokład „Cynthii” płynącej do Hamburga, by dołączyć do mnie najkrótszą drogą.

W dniu 7 października 1858 roku „Cynthia” zatoniła na wschód od Wysp Owczych.

Okoliczności katastrofy od początku wydały się podejrzane, lecz pozostały nie wyjaśnione. W każdym razie, wśród zamieszania w chwili, gdy pasażerowie zajmowali miejsca w szalupach, mój siedmiomiesięczny wnuk, przywiązany przez matkę do koła ratunkowego, zsunął się lub został zepchnięty do morza i zniknął, porwany przez sztorm.

Wstrząśnięta tym okropnym widokiem moja córka chciała się rzucić do morza. Postrzymano ją siłą, wrzucono nieprzytomną do łodzi, w której znajdowały się trzy inne osoby i która jako jedyna uniknęła nieszczęścia. Po 49 godzinach łódź przybiła do jednej z Wysp Owczych. Stamtąd, po siedmiu tygodniach śmiertelnego oczekiwania, córka wróciła do mnie dzięki oddaniu i opiece pewnego marynarza, który ją uratował i przywiózł. Ten dzielny chłopiec, John Denman, pozostał w mej służbie do końca życia. Zmarł w Azji Mniejszej.

Choć tak naprawdę nie mieliśmy większej nadziei, że biedne niemowlę przeżyło katastrofę, wszcząłem jednak poszukiwania na Wyspach Owczych, na Szetlandach i na wybrzeżu norweskim, na północ od Bergen. Myśl, że kołyska mogła dopłynąć dalej, wydawała się nie do przyjęcia. Jednak dopiero po trzech latach zaprzestałem poszukiwań. Skoro nie objęły one Nore, to musi ono leżeć gdzieś na uboczu, z dala od uczęszczanego wybrzeża.

Kiedy ostatecznie utraciłem wszelką nadzieję, poświęciłem się całkowicie mojej córce, której zdrowie fizyczne i psychiczne wymagało szczególnej troski. Postarałem się, aby mnie wysłano na Wschód, próbowałem ją rozerwać podróżami i przedsięwzięciami naukowymi. Była nieodłączną towarzyszką wszystkich moich prac, ale nie udało mi się jej uzdrowić z nieuleczalnego smutku. Dwa lata temu odszedłem na emeryturę i wróciliśmy do Francji. Mieszkamy na przemian w Paryżu i w starym domu w Val-Feray, niedaleko Brestu.

Czy będzie nam dane ujrzeć wchodzącego tam mego wnuka, którego opłakujemy od tylu lat? To zbyt cudowne, bym odważył się powiedzieć mojej córce, zanim nadzieja zmieni się w pewność. Wszak byłoby to prawdziwe zmartwychwstanie! Gdyby jednak teraz przyszło ową nadzieję postradać, ten cios byłby zbyt okrutny!

Dziś mamy poniedziałek. Na poczcie powiedzieli mi, że w przyszłą sobotę mogę się spodziewać odpowiedzi!...

Erik z trudem ukończył czytanie. Łzy przesłoniły mu wzrok. On też bał się zbyt szybko poddać tak nagle przywróconej nadziei. Choć mówił sobie, że wszystko się zgadza — daty, wydarzenia, najdrobniejsze szczegóły, jednak nie śmiał uwierzyć w coś, co wydawało mu się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe! Odnaleźć za jednym zamachem rodzinę, matkę, ojczyznę!... I to jaką ojczyznę! Właśnie tę, którą wybrałby spośród wszystkich innych, ponieważ ona uosabiała wielkość, urok i talent ludzkości, łącząc geniusza starożytnych cywilizacji z płomiennym duchem nowych czasów!

Obawiał się teraz, by to wszystko nie okazało się snem. Już tyle razy jego nadzieje zostały zawiedzione!... Możliwe, iż doktor jednym słowem obali całą tę przemyślną konstrukcję. Przede wszystkim jego trzeba spytać o zdanie.

Doktor przeczytał uważnie przedstawione mu pisma. Nie obyło się bez okrzyków zaskoczenia i radości.

— Nie ma cienia wątpliwości! — rzekł wreszcie. — Zgadza się wszystkie szczegóły, nawet te, o których twój korespondent nie wspomina: inicjały z bielizny i dewiza wygrawerowana na grzechotce widnieją także na liście!... Mój drogi chłopcze, tym razem odnalazłeś swoją rodzinę! Trzeba natychmiast zatelegrafować do twego dziadka...

— Ale co ja mam mu powiedzieć? — zapytał Erik, pobladły z radości.

— Że zaraz jutro wsiądziesz w dylizans pocztowy, by rzucić się w jego i twojej matki ramiona!

Młody kapitan przycisnął jeszcze do serca rękę doktora i wskoczył w kabriolet, by pognać do telegrafu.

Tego samego dnia opuścił Sztokholm, wsiadł w pociąg, który zawiózł go do Malmö na północno-zachodnim wybrzeżu Szwecji, przebył w dwadzieścia minut cieśninę Sund i znalazł się w Kopenhadze, gdzie wskoczył w ekspres jadący do Holandii i Belgii, a następnie, dotarwszy do Brukseli, przesiadł się do pociągu paryskiego.

W sobotę o siódmej wieczorem, dokładnie w sześć dni po nadaniu listu, Durrien z radością oczekiwał swego wnuka na Dworcu Północnym. Kolejne depesze, wysyłane przez Erika w trakcie podróży, pomogły mu uzbroić się w cierpliwość.

Wreszcie pociąg wtoczył się z hukiem pod wysoką szklaną kopułę dworca. Durrien i jego wnuk padli sobie w ramiona. Tych kilka ostatnich dni wspólnego oczekiwania bardzo ich do siebie zbliżyło i teraz mieli wrażenie, że zawsze się znali.

— Moja matka...? — zapytał Erik.

— Postanowiłem nie mówić jej wszystkiego, póki nie będę cię trzymał w ramionach! — odpowiedział Durrien, przyjmując od razu formę „ty”, słodką jak matczyzna pieszczota, której wszystkie języki zazdroszczą francuskiemu.

— Ona jeszcze nic nie wie?

— Na razie przeczuwa, obawia się, ma nadzieję! Od nadejścia twojej depeszy przygotowuję ją, najlepiej jak potrafię, do niesłychanej radości, jaka ją czeka! Mówiłem o tropie, na jaki naprowadził mnie pewien szwedzki oficer, ów marynarz poznany w Breście, o którym jej często opowiadałem... Jeszcze nie wie, waha się, ale myślę, że przeczuwa rychłe nadejście nowin! Dziś rano przy śniadaniu wiele trudu kosztowało mnie, żeby ukryć niecierpliwość. Dobrze wiedziałem, że ona bacznie mnie obserwuje. Dwa czy trzy razy odniosłem wrażenie, że zaraz zażąda ode mnie szczegółowych wyjaśnień i przyznam, iż bardzo się tego obawiałem. Bo gdyby tak jakieś nieporozumienie, jakiś nagły nieszczęśliwy traf lub, co gorsza, jakieś nieszczęście spadło na nas... Człowiek boi

się wszystkiego w takiej sytuacji!... Toteż dziś wieczór nie jadłem z nią kolacji. Wymówiwszy się koniecznością załatwienia pewnej sprawy, salwowałem się ucieczką z sytuacji nie do zniesienia!

Nie czekając na bagaż, odjechali koczem, który przywiózł Durriena.

Tymczasem pani Durrien, sama w saloniku przy ulicy Varennes, czekała z niecierpliwością na ojca. Słusznie podejrzewał, że przy kolacji poprosiłaby go o wyjaśnienia. Od kilku dni niepokoilo ją jego zachowanie, te bezustanne depesze, niedomówienia kryjące się w jego słowach... Przyzwyczajonej do wymieniania z nim najdrobniejszych myśli czy wrażeń, nie mieściło się w głowie, że mógłby choć pomyśleć o ukryciu czegoś przed nią. Kilka razy miała już zażądać rozwiązania zagadki, lecz rezygnowała, widząc oczywistą determinację ojca.

— Chodzi zapewne o przygotowanie mi jakiejś niespodzianki — pomyślała. — Nie będę mu psuła przyjemności!

Ale od dwóch czy trzech dni, a szczególnie tego ranka, uderzyło ją coś w rodzaju niecierpliwości we wszystkich ruchach ojca, dziwił wyraz szczęścia ożywiający jego spojrzenie i uporczywość, z jaką powracał do tak długo unikanego tematu katastrofy „Cynthii”. Nagle doznała czegoś w rodzaju olśnienia. Zaczęła pojmować, że musiało zajść coś nowego i jej ojciec, słusznie lub niesłusznie, sądzi, iż jest na dobrym tropie; może znów obudziła się w nim tak długo żywiona nadzieja na odnalezienie dziecka. Toteż, nie podejrzewając nawet, jak daleko zaszły sprawy, postanowiła poprosić o wyjaśnienia.

Pani Durrien nigdy tak do końca nie wyzbyła się myśli, że jej syn może jeszcze żyć. Dopóki matka nie ujrzy na własne oczy zwłok swego dziecka, nie chce, poprzez pogodzenie się, potwierdzić nieodwracalnego faktu śmierci. Mówi sobie, że świadkowie mogli się pomylić, że dali się zwieść pozorom. Nie przestaje wierzyć w możliwość nagłego powrotu, a nawet, w pewnym sensie, spodziewa się go. Tysiące matek żołnierzy i marynarzy ulegało temu przejmującemu złudzeniu. Pani Durrien, może bardziej niż inne, miała prawo żywić nadzieję. Po dwudziestu latach ciągle jeszcze, jak pierwszego dnia, miała przed oczyma całą tę tragiczną scenę. Widziała „Cynthię” zalewaną masami wody, bliską pójścia na dno przy każdej uderzającej w nią fali. Widziała siebie, jak własnymi rękoma przywiązuje swe maleństwo do wielkiego koła ratunkowego, podczas gdy wszyscy pasażerowie i marynarze rzucają się w popłochu do przepełnionych szalup... Zostawiona z tyłu błaga, zaklina, by zabrano chociaż dziecko... Jakiś człowiek wyjmuje z jej rąk drogi ciężar... Ją wrzucają do łodzi... A zaraz potem uderzenie fali, spadająca na nią trąba wodna i ten przerażający widok koła przesuwanego się na grzbiecie fali po kadłubie parowca, burzy wdzierającej się w muśliny kołyski i unoszącej, wśród bryzgów fal, swą lekką jak piórko zdobycz! I krzyk, rozdzierający krzyk wśród tylu innych krzyków... Szamotanina... Zanurzenie w noc i... nicość!... Potem przebudzenie, bezdenne rozpacz, noce gorączki i majaków... Potem nieustający ból. długie, bezskuteczne po-

szukiwania i poczucie bezsilności — narastające, pogłębiające się, wszechogarniające!... O, tak, to wszystko żyło nadal w pamięci tej biednej kobiety, czy też raczej cios był tak silny, że trwale okaleczył całą jej istotę. Minęło prawie ćwierć wieku od tamtych wydarzeń, a pani Durrien opłakiwała swe dziecko tak samo jak pierwszego dnia! Matczyne serce zamknęło się w swej żałobie i trawiło życie na rozpamiętywaniu jednego wspomnienia.

Wyobraźnia podsuwała jej czasami obraz syna przechodzącego kolejno przez wszystkie etapy życia: dzieciństwo, wiek młodzieńczy, wiek męski... Wyobrażała sobie, jak by się zmieniał z roku na rok, jak wyglądałby lub wygląda teraz, bo przecież trwała w niezachwianej wierze w możliwość jego powrotu. Nic nie przemogło jej niezrozumiałej nadziei — ani próżne zabiegi, ani bezskuteczne poszukiwania, ani mijający czas.

I właśnie dlatego czekała tego wieczoru na ojca z niezłomną wolą wyjaśnienia wszelkich podejrzeń.

Wreszcie otworzyły się drzwi i do salonu wszedł Durrien w towarzystwie młodego człowieka, którego przedstawił tymi słowy:

— Córnko, oto pan Erik Hersebom, o którym ci tyle opowiadałem! Właśnie przybył do Paryża na dekorację wielkim honorowym medalem Towarzystwa Geograficznego i uczynił mi zaszczyt przyjmując naszą gościń!

Po drodze umówili się, że Erik dopiero później, mimochodem, wspomni o dziecku znalezionym w Noro i że spróbują stopniowo doprowadzić do wyznania, kim jest naprawdę. Lecz kiedy stanął przed matką, zabrakło mu sił do odegrania tej roli. Pobladł śmiertelnie i skłonił się głęboko, nie mogąc wykrztusić słowa.

Tymczasem ona podniosła się z fotela i spoglądała na niego dobrotliwie. Nagle jej oczy rozszerzyły się, wargi drgnęły, ręka wyciągnęła się ku niemu.

— Mój syn... Pan jest moim synem! — wykrzyknęła.

A postąpiwszy krok ku Erikowi, rzekła:

— Tak... Jesteś moim dzieckiem! Twój ojciec żyje w każdym z twoich rysów!

I kiedy Erik, tonąc we łzach, przypadł do kolan swej matki, biedna kobieta, biorąc jego głowę w swe dłonie, zemdląła z radości i szczęścia, składając pocałunek na jego czole.

XXII. W Val-Feray

Miesiąc później rodzinna uroczystość zgromadziła w Val-Feray, o pół mili od Brestu, całą przybraną rodzinę Erika oraz jego matkę i dziadka. Wiedzioma delikatnością, pani Durrien chciała włączyć do swej głębokiej, nie dającej się wyrazić radości istoty proste i dobre, które uratowały jej syna. Zaprosiła tedy do Val-Feray wszystkich: panią Katri-
nę i Vandę, Herseboma i Ottona, a także Schwaryencronę z Kajsą, mecenasa Bredejor-
da i mistrza Malariusza.

W Paryżu jej norwescy goście czuliby się zapewne o wiele bardziej obco niż tu, wśród surowej bretońskiej przyrody, o dwa kroki od posępnego armorykańskiego mo-
rza. Tu mogli urządzać długie przechadzki po lesie, opowiadać o sobie, łączyć fragmen-
ty historii, która wciąż jeszcze była niejasna. Stopniowo nabierały znaczenia nie wyja-
śnione dotąd fakty. Z porównywania okoliczności, z rozmów i dyskusji wyłaniał się co-
raz klarowniejszy obraz całej sprawy.

Po pierwsze, kim był Tudor Brown? Dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, by Pa-
trick O'Donoghane nie naprowadził na ślad rodziny Erika? Jedno wypowiedziane przez
nieszczęsnego Irlandczyka słowo — nazwisko Jones, pod jakim go znał — tłumaczyło
wszystko. Otóż Noah Jones był współnikiem ojca Erika przy eksploatacji złoża ropy naf-
towej, odkrytego przez młodego inżyniera w Pensylwanii. Fakt ten rzucał ponure świa-
tło na tajemnicze dotąd wydarzenia. Podejrzanе zatonięcie „Cynthii”, upadek dziecka
do morza, a kto wie, może i śmierć ojca Erika — wszystko to, niestety, miało swe źró-
dło w umowie spółki. Pan Durrien odnalazł ją w swych papierach i naświetlił krótkim
komentarzem.

— Na kilka miesięcy przed swoim ślubem — tłumaczył przyjacielom Erika — mój
zięć odkrył niedaleko Harrisburga złoża ropy naftowej. Nie miał jednak wystarczające-
go kapitału, żeby wejść w jego posiadanie, i wyglądało na to, że utraci wszelkie płyną-
ce stąd korzyści. Przypadek sprawił, że poznał tego Noaha Jonesa, który podawał się za
sprzedawcę wołów z Dzikiego Zachodu, lecz jak się później dowiedzieliśmy, był w rze-
czywistości handlarzem niewolników z Południowej Karoliny. Indywiduum to zobo-

więzało się do wpłacenia sumy umożliwiającej zakup i eksploatację złoża o nazwie „Vandalia”. W zamian za swój wkład udało mu się nakłonić Georges’a do podpisania umowy przynoszącej korzyść wyłącznie jednej stronie. Nie znałem treści tej umowy w chwili ślubu mej córki, a i Georges najprawdopodobniej w ogóle już o niej nie myślał. Nikt nie był mniej biegły w tej materii niż on. Wszechstronnie uzdolniony, nieprzeciętny matematyk, chemik, mechanik, nie znał się absolutnie na interesach i już dwukrotnie przypłacił to fortuną. Nie ma wątpliwości, że i w stosunku do Noaha Jonesa zachował się ze swą zwykłą niefrasobliwością. Prawdopodobnie z zamkniętymi oczami podpisał podsunętą mu umowę. A oto jej główne punkty, wyłuskane i przetłumaczone z anglosaskich frazesów:

Art. 3. Źródło „Vandalia” pozostanie niepodzielną własnością odkrywcy — Georges’a Durriena, i komendytariusza — Noaha Jonesa.

Art. 4. Noah Jones będzie zarządzał całą gotówką włożoną w eksploatację źródła. Będzie sprzedawać produkty, inkasował wpływy, pokrywał wydatki, z obowiązkiem corocznego zdawania sprawy swemu wspólnikowi i dzielenia czystego zysku z rzeczonym wspólnikiem. Georges Durrien będzie kierował pracami eksploatacyjnymi i służbami technicznymi.

Art. 5. Gdyby jeden z właścicieli-wspólników chciał sprzedać swój udział, będzie zobowiązany dać prawo pierwokupu, poprzez formalną ofertę, swemu wspólnikowi, który z kolei będzie miał trzy pełne miesiące na jej przyjęcie lub odrzucenie.

Art. 6. Tylko dzieci każdego ze wspólników dziedziczą ich prawa. W wypadku braku dzieci zmarłego wspólnika lub śmierci dziecka lub dzieci zmarłego wspólnika przed ukończeniem dwudziestego roku życia, cała własność przechodzi na wspólnika żyjącego, z wyłączeniem wszelkich innych spadkobierców zmarłego.

N.B. Powyższy artykuł znajduje uzasadnienie w różnych obywatelstwach wspólników i kompilacjach proceduralnych, jakie każdy inny zapis musiałby w tej sytuacji spowodować.

— Oto jaką umowę — kontynuował Durrien — podpisał mój przyszły zięć, kiedy nawet nie myślał o ożenku i kiedy nikt jeszcze — z wyjątkiem być może Noaha Jonesa — nie znał ogromnej wartości, jakiej później miało nabrać złożo „Vandalia”. Był to okres poszukiwań i zawodów. Plan Jankesa sprowadzał się wtedy prawdopodobnie do zniechęcenia wspólnika przez wyolbrzymianie początkowych trudności i zapewnienia sobie w ten sposób tanim kosztem wyłącznej własności. Ślub Georges’a z moją córką, narodziny naszego kochanego chłopca i nagłe odkrycie nadzwyczajnej obfitości źródła złożyły się na całkowitą zmianę sytuacji. Nie mogło już być mowy o tym, by zapewnił sobie za bezcen wyłączność tej wspaniałej własności; wystarczyło jednak, żeby najpierw Georges, a potem jego spadkobierca zniknęli z tego świata, aby całość przeszła na Noaha Jonesa. Toteż dwa lata później, sześć miesięcy po narodzeniu mego wnuka,

martwego Georges'a znaleziono w pobliżu szybu wydobywczego. Lekarze stwierdzili zgon na skutek uduszenia trującymi gazami. Nie było mnie już wtedy w Stanach Zjednoczonych, ponieważ w międzyczasie objąłem stanowisko konsula w Rydze. Wszystkie sprawy spadkowe zostały uregulowane przez adwokata. Noah Jones okazał się bardzo ustępliwy i poszedł we wszystkim na ugodę z moją córką. Ustalono, że poprowadzi dalej wspólną firmę, a raz na pół roku będzie wpłacał do Central Banku w Nowym Jorku należną dziecku część czystego zysku. Niestety, nie musiał wpłacić nawet za pierwsze półrocze. Moja córka wsiadła na pokład „Cynthii”, żeby do mnie dołączyć. „Cynthia” zatonęła z całą załogą i ładunkiem w okolicznościach tak podejrzanych, że towarzystwu ubezpieczeniowemu udało się uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności, a jedyny dziedzic Georges zniknął. Od tej chwili Noah Jones został jedynym właścicielem źródła „Vandalia”, które dawało mu odtąd średnio sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznego dochodu.

— Czy nigdy nie podejrzewał go pan o spowodowanie tych kolejnych tragedii?
— zapytał Bredejord.

— Naturalnie, podejrzewałem go, jakże mogło być inaczej! Takie nagromadzenie rzekomych wypadków, zmierzających wyraźnie ku jednemu celowi, było aż nadto wymowne! Ale jak miałem skonkretyzować moje podejrzenia, a przede wszystkim jak je udowodnić przed sądem? Wszak były to tylko domysły! Wiedziałem z doświadczenia, jak mało można liczyć na sądy w sporach międzynarodowych. Poza tym musiałem pocieszyć, a przynajmniej rozerwać moją córkę; proces zaś tylko by spotęgował jej cierpienia, nie mówiąc już o tym, że uznano by chciwość za jedyny powód jego wytoczenia... Krótko mówiąc, poddałem się w milczeniu. Czy postąpiłem źle? Czy powinienem tego żałować? Nie sądzę, bo jestem przekonany, że i tak niczego bym nie wskórał. Sami widzicie, jak nam trudno nawet dziś, kiedy połączyliśmy nasze odczucia i wiadome fakty, dojść do precyzyjnych wniosków!

— Jaką rolę odegrał w całej sprawie Patrick O'Donoghane? — zapytał doktor Schwaryencrona.

— W tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, zdani jesteśmy wyłącznie na domysły, ale jeden z nich wydaje mi się dość prawdopodobny. Otóż ten O'Donoghane, jako chłopiec okrętowy na pokładzie „Cynthii” przydzielony do osobistej służby kapitana, był w stałym kontakcie z pasażerami pierwszej klasy, jadającymi zawsze przy kapitańskim stole. Znał więc na pewno nazwisko mojej córki i jej francuskie pochodzenie, a zatem mógł bez trudu doprowadzić do jej odnalezienia. Czy Noah Jones obarczył go jakąś ponurą misją? Czy przyłożył on ręki do tajemniczego zatonięcia „Cynthii” czy tylko do upadku dziecka do morza? Tego nie dowiemy się już nigdy. W każdym jednak razie musiał być świadom znaczenia, jakie dla eks-wspólnika Georges'a miało „dziecko na kole”, a stąd już tylko jeden krok do wykorzystania swej wiedzy, szczególnie dla

takiego indywiduum jak on, pijaka i lenia. Czy O'Donoghana wiedział, że „dziecko na kole” żyje, czy może nawet pomógł w uratowaniu go — bądź to wyławiając go z morza, by następnie podrzucić w okolice Nore, bądź to w jakiś inny sposób — tego nie wiemy. Musiał jednak oświadczyć Noahowi Jonesowi, że „dziecko na kole” przeżyło zatonięcie statku, chwalić się, że zna kraj, w którym je przygarnięto; dał mu też zapewne do zrozumienia, że dziecko dowie się wszystkiego, jeśli jemu. Patrickowi, przytrafi się jakieś nieszczęście. Zmusił tym Noaha Jonesa do opłacenia jego milczenia i takie było niewątpliwie źródło okresowych dochodów Irlandczyka w Nowym Jorku za każdym razem, gdy tam powracał.

— Uważam, że to bardzo prawdopodobne — rzekł Bredejord — i dodam, iż dalszy ciąg wydarzeń potwierdza w pełni tę hipotezę. Pierwsze ogłoszenia doktora zaniepokoiły Noaha Jonesa. Uznał za konieczne pozbyć się Patricka O'Donoghana, ale musiał działać z rozwagą ze względu na środki ostrożności, o których mówił mu Irlandczyk. Ograniczył się więc do postraszenia go, że w sprawę wkroczy policja kryminalna, czego dowodem miały być zamieszczone ogłoszenia. Wynika to choćby z relacji Bowlesa, właściciela oberży „Pod Czerwoną Kotwicą”, a także z pośpiechu, w jakim zbiegł O'Donoghana. Uważał pewnie, że grozi mu ekstradycja, skoro wyemigrował tak daleko, aż do Samojedów, i to pod przybranym nazwiskiem. Noah Jones, który bez wątpienia udzielił mu tej rady, czuł się już bezpieczny, kiedy ogłoszenia wzywające Patricka O'Donoghana zabiły mu, jak to mówią, nowego ćwieka. Udał się tedy osobiście do Sztokholmu, po pierwsze po to, by upewnić nas, że Patrick O'Donoghana nie żyje, a po drugie, by przekonać się na własne oczy, jak daleko posunęliśmy się w naszych poszukiwaniach. Na koniec nadeszła korespondencja z „Vegi” i „Alaska” wypłynęła na morza arktyczne. Widząc, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo, Noah Jones czy też Tudor Brown, który nie miał pewnie zbyt dużego zaufania do Patricka O'Donoghana, nie cofnie się już przed żadną zbrodnią, byle tylko zapewnić sobie bezkarność. Zrządzeniem losu sprawy przybrały pomyślny dla nas obrót, ale możemy sobie teraz powiedzieć, że mieliśmy nie lada szczęście!

— Kto wie, może to właśnie wszystkie te niebezpieczeństwa przyczyniły się do ostatecznego osiągnięcia celu? — rzekł doktor. — Gdyby nie wypadek na Basse-Froide, prawdopodobnie podążylibyśmy drogą przez Kanał Sueski i dotarlibyśmy do Cieśniny Beringa zbyt późno, aby zastać tam jeszcze „Vege”. A i z Patricka O'Donoghana niczego byśmy pewnie nie wyciągnęli, gdybyśmy go znaleźli w towarzystwie Tudora Browna... W gruncie rzeczy tragiczne wydarzenia na początku naszej podróży zdeterminowały jej dalsze losy, i tylko opłynięciu bieguna dokonanemu przez „Alaskę”, sławie, jaką dzięki temu zyskał Erik, zawdzięczamy odnalezienie jego rodziny!

— Tak — powiedziała pani Durrien, głaszcząc syna po włosach — to sława mi go zwróciła!

I zaraz dodała:

— .. Jak zbrodnia mi go zabrała, jak dobroć was wszystkich mi go zachowała i uczyniła z niego wielkiego człowieka...

— Tak niegodziwość Noaha Jonesa sprawiła, że nasz Erik jest jednym z najbogatszych ludzi obu Ameryk! — wykrzyknął pan Bredejord.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

— Ależ tak! — podjął znamienity adwokat. — Czyż Erik nie dziedziczy po ojcu jego części własności złoża „Vandalia”?... Czyż nie był bezprawnie pozbawiony swych dochodów przez dwadzieścia dwa lata? Przecież, aby je odzyskać, wystarczy wykazać filiację, biorąc na świadków nas wszystkich, począwszy od pana Herseboma i pani Katriny, a na panu Malariusie i nas samych kończąc! Jeśli Noah Jones pozostawił jakieś dzieci, to one ponoszą odpowiedzialność za tę olbrzymią zaległość w wypłacie! Prawdopodobnie pochłonie ona całą należącą do nich część kapitału spółki! Jeśli zaś nie ma dzieci tego łajdaka, to zgodnie z postanowieniami umowy, którą nam przeczytał pan Durrien, Erik jest jedynym spadkobiercą całej własności. Tak czy inaczej, czeka na niego w Pensylwanii coś około stu pięćdziesięciu lub dwustu tysięcy dolarów renty!

— No, no! — rzekł śmiejąc się doktor Schwaryencrona. — Oto jak mały rybak z Nore stał się całkiem niezłą partią!... Laureat Towarzystwa Geograficznego, pierwszy, który opłynął biegun, strapiony skromnym dochodem dwustu tysięcy dolarów — to mąż, jakich nie znajdzie się wielu w Sztokholmie!... Co ty na to, Kajsa?

Dziewczyna spiekła raka. Jej wuj pewnie nawet nie podejrzewał, jak okrutna była to zaczepka. Od jakiegoś czasu Kajsa mówiła sobie, że nie postępowała chyba zbyt mądrze zrażając tak znakomitego adoratora i postanowiła okazać mu w przyszłości więcej względów.

Ale Erik przestał się nią interesować, odkąd nie dosięgała go już jej niesłuszna pogarda. Może oddalenie i rozmyślenia podczas nocnych wart otwarły mu oczy na oschłość serca Kajsy, może wystarczyła mu satysfakcja płynąca z faktu, iż nie jest już w jej oczach nędznym „znajdą”, dość że dziś traktował ją tylko z kurtuazją należną młodej pannie i bratanicy doktora Schwaryencrony.

Całą uwagę poświęcał Vandzie, która stawała się coraz bardziej czarująca, wyzbywając się pod dachem miłej i dystyngowanej kobiety ostatnich drobnych niezręczności prowincjuszki. Jej niezwykła dobroć, wrodzony wdzięk, doskonała prostota sprawiały, że każdy, kto się do niej zbliżył, musiał ją pokochać. Nie spędziła jeszcze tygodnia w Val-Feray, a już pani Durrien oświadczyła głośno, iż nie wyobraża sobie rozstania z nią.

Erik zobowiązał się załatwić sprawę i nakłonił Herseboma oraz panią Katrinę do pozostawienia Vandy we Francji, obiecawszy im, że co roku przyjadą do Nore uściskać ich. Marzyło mu się zatrzymanie w Bretanii całej swej przybranej rodziny; chciał nawet przenieść na brzeg reddy Brestu drewniany dom, w którym spędził dzieciństwo. Jednak

ten pomysł masowej emigracji został ogólnie uznany za niewykonalny. Maaster Hersebom i pani Katrina byli już zbyt starzy na tak daleko idącą zmianę w ich przyzwyczajeniach. Nie byłiby naprawdę szczęśliwi w kraju, którego języka i obyczajów nie znali. To też trzeba było pozwolić, aby odjechali, zapewniwszy im dostatek, którego nie osiągnęli przez całe lata uczciwej pracy.

Erikowi nie udało się też zatrzymać przy sobie Ottona. On także wolał swój fiord od wszystkich red na świecie i nie widział dla siebie innego życia jak życie rybaka. A żeby już powiedzieć całą prawdę, włosy koloru lnu i błękitne oczy Regnild, córki zarządcy wytwórni tranu, miały też swój udział w nieodpartym uroku, jakim dla Ottona tchnęło Nore. Erik zrozumiał to, kiedy się dowiedział o planowanym na przyszłe Boże Narodzenie ślubie tych dwojga.

Pan Malarius już się cieszy, że wykształci ich dzieci tak, jak kiedyś Erika i Vandę. Zaznawszy zaszczytów u boku kapitana „Alaski”, powrócił skromnie na swe miejsce w wiejskiej szkole. Pracuje obecnie nad korektą swego wspaniałego dzieła o florze mórz arktycznych, wydanego nakładem Towarzystwa Linneuszowego. Co się zaś tyczy doktora Schwaryencrony, to wprowadza on właśnie ostatnie poprawki do pokaźnego traktatu ikonograficznego, dzięki któremu ma przejść do potomności.

Ostatnią sprawą sądową, jaką poprowadził mecenas Bredejord, było ustalenie prawa Erika do całkowitej własności złoża „Vandalia”. Wygrał ją zarówno w pierwszej instancji, jak i po odwołaniu, co jest nie lada sukcesem.

Dzięki wielkiej fortunie, jaka mu przypadła po sukcesie mecenasa Bredejorda, Erik mógł kupić „Alaskę”, która stała się jego jachtem spacerowym. Na jej pokładzie udaje się co roku, w towarzystwie pani Durrien i Vandy, do Nore, by odwiedzić swą przybraną rodzinę. Wprawdzie, zgodnie z prawem, nazywa się teraz Emile Durrien, przyłączył jednak do swego nazwiska drugie — Hersebom, a wszyscy bliscy nazywają go Erikiem.

Jego matka marzy skrycie o tym, by poślubił pewnego dnia Wandę, którą pokochała jak własną córkę. Jej marzenia idą w parze ze skłonnościami Erika, toteż należy się spodziewać, iż wkrótce się spełnią.

Tymczasem Kajsa nadal jest panną, niejasno czując, że, jak to się mówi, wypuściła z rąk wyjątkową okazję. Doktor Schwaryencrona, mecenas Bredejord i profesor Hochstedt wciąż grywają w wista.

Któs goś wieczoru, kiedy doktor okazał się wyjątkowo złym graczem, Bredejord nie odmówił sobie przyjemności przypomnienia mu o pewnej zapomnianej sprawie.

— Kiedyż to przyśle mi pan swego Pliniusza z oficyny Aldusa Manutiusa? — zapytał go ze złośliwym błyskiem w oku, postukując w tabakierkę. — Chyba już pan nie uważa, że Erik jest Irlandczykiem?

Ten niespodziewany cios oszołomił na chwilę doktora. Szybko jednak przyszedł do siebie.

— Och, były prezydent Republiki Francuskiej jest potomkiem królów Irlandii!
— rzekł z przekonaniem. — Nie zdziwiłbym się, gdyby tak też było z rodziną Durrie-
nów!

— Oczywiście! — odparł Bredejord. — Jest to nawet do tego stopnia prawdopodob-
ne, że chyba przyślę panu mojego Kwintylia!

Koniec

SPIS TREŚCI

I. Przyjaciół pana Malariusza	2
II. Z wizytą u rybaka	9
III. Rozmyślenia Herseboma	19
IV. W Sztokholmie	26
V. Wesołych Świąt!	35
VI. Erik podejmuje decyzję	43
VII. Zdaniem Vandy	50
VIII. Patrick O'Donoghane	57
IX. Pięćset funtów szterlingów nagrody	64
X. Wielmożny Pan Tudor Brown	70
XI. Jak donoszą z „Vegi”...	77
XII. Nieprzewidziani pasażerowie	85
XIII. Kierunek: południowy zachód	91
XIV. Rafa	98
XV. Najkrótszą drogą	106
XVI. Ku Wyspom Lachowskim	114
XVII. Nareszcie!	121
XVIII. Bitwa	128
XIX. Na lodowej wyspie	135
XX. Koniec dalekiej podróży	142
XXI. List z Paryża	148
XXII. W Val-Feray	154